BEZCZYNNOŚĆ NASZEGO RZĄDU

Jak odzyskać dobra polskiej kultury od Litwy, Ukrainy, Białorusi i Rosji?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 41/650 6–12 PAŹDZIERNIKA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Dlaczego Charlie Kirk nie zostanie świętym

PROJEKT „PIERWSZA DAMA" – MARTA NAWROCKA NIE CHCE POPEŁNIĆ BŁĘDÓW POPRZEDNICZKI

Amerykański TikTok będzie bronił Izraela

Kto kogo?

TWARDA GRA NA PRAWICY

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 41>

REPUBLIKA

Ostre rozmowy Miłosza Kłeczka ze znanymi politykami o najważniejszych sprawach dotyczących Polski. Wszystko W RUCHU, podczas aktywnego uprawiania sportu

MIŁOSZ KŁECZEK

W RUCHU

SEZON 2

PREMIERA
NIEDZIELA
17:45
w Republice

PONIEDZIAŁEK
OD 9:00

@Telewizja_Republika

Stanisław Karczewski

Paweł Kukiz

Karol Nawrocki

Patryk Jaki

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51. Trzy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lublina i Głogowa – MUX L7. Republikę ulubiony na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl c7cac20f2f

W oczekiwaniu na wieczny pokój

PAWEŁ LISICKI

Dziwne rzeczy dzieją się na świecie. Im bardziej obecny prezydent USA, Donald Trump, dąży do pokoju, tym bardziej rosną ceny szlachetnych kruszców, takich jak złoto czy platyna. Jest to o tyle zaskakujące, że wzrost cen złota zawsze wiązał się z przekonaniem o narastającym niepokoju. Im bardziej ogół sądzi, że światu grozi wojna, tym chętniej ludzie kupują metale szlachetne, bo – jak im się zdaje – w ten sposób zabezpieczają się przed spowodowanym wojną chaosem. Zjawisko to zatem – Donald Trump uważa, że należy mu się Pokojowa Nagroda Nobla, a coraz więcej ludzi ze strachu przed wojną inwestuje w złoto – można by śmiało nazwać paradoksem Trumpa. Chociaż jeśli owo dążenie do pokoju miałby symbolizować wspólny, izraelsko-amerykański, 20-punktowy plan pokoju dla Bliskiego Wschodu, przedstawiony na wspólnej konferencji premiera Beniamina Netanjahu i prezydenta Donalda Trumpa, to wspomniany paradoks może wcale nie być żadnym paradoksem, ale raczej koniecznym skutkiem zdrowego rozsądku.

Już same zwroty, którymi posłużył się amerykański prezydent, mówiąc o potencjalnie „najwspanialszym dniu w historii ludzkości" i „wiecznym pokoju", brzmiały dość osobliwie. Przecież wypowiadał je polityk, który ponosi współodpowiedzialność za działania armii Izraela co najmniej od chwili, gdy objął urząd, a więc od ponad dziewięciu miesięcy. W tym czasie, co stanowi kontynuację poprzednich działań zbrojnych, izraelscy żołnierze masowo zabijali cywilów i bezwzględnie niszczyli cały teren Strefy Gazy. Podobnie to prezydent Donald Trump wspominał o wysiedleniu wszystkich Palestyńczyków i snuł wizję budowy na terenie oczyszczonym z Arabów wielkiego SPA.

Podobne, a właściwie jeszcze większe wątpliwości można mieć w stosunku do drugiego gołąbka pokoju, czyli do premiera Izraela. W jaki sposób Beniamin Netanjahu rozumie negocjacje, dobrze pokazały dwa zdarzenia – atak na Iran i atak na Katar. W obu przypadkach celem działań Izraela byli negocjatorzy przeciwnej strony, przy czym atak na Katar dotyczył państwa formalnie sprzymierzonego z USA. Izrael wielokrotnie deklarował, że zamierza zabić wszystkich przywódców Hamasu, niezależnie od tego, gdzie ich dopadnie. Trudno zatem uwierzyć, żeby dali się oni przekonać obietnicy zawartej w planie pokojowym, że po złożeniu broni będą mogli swobodnie opuścić Strefę Gazy.

Niezbyt chyba zachęcały ich też słowa, które obaj miłujący pokój przywódcy wypowiedzieli podczas waszyngtońskiej konferencji. Przypomnę, że premier Netanjahu zapowiedział, iż brak zgody na pokój sprawi, że Izrael dokończy swoje dzieło po swojemu, a stojący obok niego amerykański przywódca przytaknął, iż w takiej sytuacji USA całkowicie będą wspierać trudną robotę izraelskiej armii.

Czymś zupełnie nierealistycznym jest, wydaje się, pomysł wysłania do Strefy Gazy Międzynarodowych Sił Stabilizacyjnych, które miałyby rozbroić Hamas. Jak miałoby się to stać, skoro nie osiągnęło tego wojsko żydowskie? I dlaczego Hamas miałby się na to zgodzić? Przecież dokonując samorozbrojenia, straciłby wszelką zdolność wywierania nacisku na Izrael.

Nie mniej mgliście brzmi obietnica przejęcia władzy przez apolityczną administrację, złożoną z palestyńskich technokratów. Kto ich powoła? W jaki sposób będą oni „apolityczni", skoro jedynym istotnym kryterium polityczności jest dla Arabów opowiedzenie się za państwem palestyńskim? Co więcej, ich pracę ma nadzorować międzynarodowe ciało, zwane Radą Pokoju (Board of Peace), na którego czele stanie sam Trump i w którym ma się znaleźć Tony Blair, były premier Wielkiej Brytanii, polityk całkowicie wspierający amerykańską operację w Iraku i jednocześnie symbol światowych globalistów. Nie muszę wspominać, że w tym 20-punktowym planie nie pada słowo o niezależnym, palestyńskim państwie.

O co zatem chodzi? Myślę, że zarówno sam plan pokojowy, jak i towarzyszące mu opowieści o wiecznym pokoju to zasłona dymna. Brutalność i okrucieństwo, z którymi Izrael rozprawia się z Arabami w Strefie Gazy, doprowadziły do jego coraz większej izolacji na arenie światowej. Żydowscy politycy nie posłuchali dobrej rady Joe Bidena, który zalecał im, żeby działali w białych rękawiczkach. Strzelanie do setek małych dzieci przez izraelskich snajperów, o czym pisał choćby „Haaretz", to za dużo dla opinii światowej. Dlatego trzeba było coraz bardziej osamotnionemu Izraelowi przyjść w sukurs. W tej dokładnie roli wystąpił, tak jak to miało miejsce podczas wojny z Iranem, prezydent Trump. Komunikat jest jasny: albo Hamas przystanie na nasze warunki, które tylko my będziemy kontrolować, albo wojna będzie trwać dalej. Na pewien czas sumienie opinii światowej zostanie uspokojone.

Czy to znaczy, że do żadnego porozumienia nie dojdzie? Wszystko zależy od tego, jak bardzo wyczerpani są wojną Palestyńczycy. Tak czy inaczej jedyne, czego można oczekiwać, to chwilowy przestój w wojnie. Nowej ery pokoju nie będzie. Ceny złota, mimo pokojowych deklaracji USA i Izraela, nie spadną. ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PRAWICA – SKAZANI NA POWTÓRKĘ?
Twarda rozgrywka między PiS i Konfederacją

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
OPERACJA „CELEBRYTA" – FAZA ZAMKNIĘCIA
Szymon Hołownia, czyli spadająca gwiazda

22 ŁUKASZ WARZECHA
SZORSTKA PRZYJAŹŃ. MORAWIECKI KONTRA ZIOBRO

24 ROZMOWA Z BARTOSZEM LEWANDOWSKIM
ZAKŁADNICY TRZECIEJ WŁADZY

27 ARKADIUSZ SIWKO
POLSKA A WOJNA PRZYSZŁOŚCI

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
PROJEKT „PIERWSZA DAMA"

33 ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ BINISZEWSKĄ
JAK ODZYSKAĆ DOBRA POLSKIEJ KULTURY OD LITWY, UKRAINY, BIAŁORUSI I ROSJI?

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
NIEUCHWYTNY CHOPIN
Produkcja bez pomysłu

39 KRZYSZTOF MASŁOŃ
FREDRO WIECZNIE ŻYWY

40 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
POLACY ZNÓW NA ŁAWIE OSKARŻONYCH

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 BOGDAN CHAZAN
EDUKACJA CZY INDOKTRYNACJA
Krytycznie o edukacji zdrowotnej

49 MICHAŁ MURGRABIA
ŚWIĘTY CHARLIE KIRK?

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
NADCHODZI PRZEŁOM. DZIEDZICTWO ABP. LEFEBVRE'A

HISTORIA

56 FILIP MEMCHES
SKLEJANIE PRAWICY Z KOMUNIZMEM
Mieczysław Moczar straszy zza grobu

59 MACIEJ KLEDZIK
CHŁOPCY I DZIEWCZYNKI POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

60 GRZEGORZ MAJCHRZAK
„SMUTNI PANOWIE" NA TROPIE NOBLA DLA MIŁOSZA

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
WOJNA NA REMIS
Na froncie bez zmian

66 JACEK PRZYBYLSKI
KONTRREWOLUCJA W ARMII USA: KONIEC Z UROJENIAMI

70 WOJCIECH GOLONKA
CZEMU WINNY JEST NICOLAS SARKOZY?

EKONOMIA

72 JAKUB WOZINSKI
KTO BĘDZIE WŁADAŁ ALGORYTMEM TIKTOKA?
Amerykanie przejmują chińską platformę

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (74), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl c7cac20f2f

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Piotr Polak, Leszek Szymański/PAP**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Geniusz i biedak", Piotr Gociek, „DRz" nr 37/2025

Szanowni Państwo,
w swoim peanie na cześć filmu „Amadeusz" Miloša Formana (37/2025) red. Piotr Gociek wziął niestety fabułę filmu za rzeczywistość i w kilku lekceważących frazach sponiewierał Antonia Salierego jako beztalencie, zawistnika i nienawistnika. Obraz ten ma się jednak nijak do rzeczywistości – już sam fakt, że u Salierego nauki kompozycji pobierali tacy giganci jak Schubert, Beethoven czy Liszt, powinien dawać co nieco do myślenia. To, co z Salierego robi Forman do spółki z Shafferem, to dość obrzydliwy przykład „character assassination". Przykre, że red. Gociek powiela te oczerniające Włocha fikcje. Stan wiedzy na temat rzeczywistej relacji kompozytorów można podsumować cytatem z pracy Johna A Rice'a, „Antonio Salieri and Viennese Opera" (The University of Chicago Press, 1998):

„Jako rywale ubiegający się o patronat Józefa II i wiedeńskiej publiczności Salieri i Mozart musieli darzyć się wzajemną nieufnością i niechęcią [...]. Mozart był zawistny o pozycję Włocha na dworze. W swoich listach rzadko wspominał o Salierim, a jeśli już, to tylko w tonie rozczarowania lub niechęci. Salieri ze swojej strony rzadko wyrażał swoją opinię na temat Mozarta lub jego muzyki; ta powściągliwość współgra z jego ogólną tendencją do niekomentowania muzyki swoich współczesnych [...].

Salieri i Mozart byli rywalami, ale nie wiemy, czy zrozumiała niechęć i zazdrość, jakie obaj musieli wzajem siebie odczuwać, doprowadziły ich do działań, które poważnie zaszkodziły karierze tego drugiego. Mozart i jego ojciec często wyrażali podejrzenia, że Salieri był zaangażowany w tajne intrygi – »spiski« – mające na celu uniemożliwienie wystawiania oper Mozarta lub przyspieszenie ich wycofania. Jednak takie podejrzenia były powszechne w świecie operowym. Salieri prawdopodobnie obawiał się tego typu intryg tak samo jak Mozart".

Z eleganckim podsumowaniem sprawy można też zapoznać się dzięki tekstowi Michała Patryarchy „Antonio Salieri – ofiara czarnej legendy" („Polonia Christiana" nr 95).

Pozdrawiam serdecznie
Szymon Czarnik

Od autora

Szanowny Panie,
dziękuję za list i refleksję. Pragnę jedynie podkreślić, że analiza relacji między bohaterami filmowej fikcji to... właśnie analiza relacji między bohaterami filmowej fikcji. Inaczej za każdym razem, pisząc np. o „Panu Wołodyjowskim", musielibyśmy, zamiast debatować o zaletach i wadach filmowej fikcji, oburzać się na Sienkiewicza i Hoffmana, że dopisali wiele szlachetnych kart do życiorysu imć Wołodyjowskiego, zamiast opowiedzieć o nim prawdę historyczną.

Ukłony
Piotr Gociek

eprasa.pl c7cac20f2f

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nowacka na tarczy

Ilu dokładnie uczniów zrezygnowało z udziału w lekcjach edukacji zdrowotnej? Tego dowiedzieć się mamy po 10 października. Tak przynajmniej brzmiały zapowiedzi minister oświaty Barbary Nowackiej. Jednak z informacji, które ujawniła w czasie wizyty w Radiu TOK FM wiceminister edukacji Paulina Piechna-Więckiewicz, wynika, że w lekcjach nie będzie brać udziału co najmniej połowa uczniów. To bardzo dużo. Nic dziwnego więc, że w resorcie oświaty panują minorowe nastroje.

Na razie rzecznik rządu Adam Szłapka broni edukacji zdrowotnej, głosząc, że jest to dobry przedmiot. Jedyne ustępstwo to jego deklaracje, że „można się zastanowić, co ulepszyć", i obietnica, że wnioski będzie można wyciągnąć po paru tygodniach. Ten sposób myślenia dobrze wykpiwa mem z wizerunkiem minister Nowackiej. Portret pani minister ozdabiają dwie sentencje. Pierwsza głosi: „Niska frekwencja na religii to argument, by lekcje religii zlikwidować". Drugie zdanie brzmi: „Niska frekwencja na edukacji zdrowotnej to argument, by była ona obowiązkowa".

Zostawmy jednak na boku problemy, jakie resort edukacji ma z przyszłością swojego ukochanego przedmiotu. Ważne jest co innego. Polscy konserwatyści mogą sobie pogratulować. Akcja przeciwko zapisywaniu dzieci na edukację zdrowotną stała się swoistym referendum sprzeciwu wobec cywilizacyjnych eksperymentów lewicowych ideologów z MEN. Duża część rodziców po prostu nie ufa minister Nowackiej, i ma ku tego powody. I ta akcja obywatelskiego nieposłuszeństwa zakończyła się sukcesem.

Po zlikwidowaniu prac domowych pani minister wyczerpała już limit kontrowersyjnych pomysłów. To, że tak wielu rodziców nie chce narażać swoich dzieci na radosną twórczość działu programowania MEN, opanowanego przez ideologów spod znaku Krytyki Politycznej, pokazuje, jak niewielkim zaufaniem cieszy się rząd Donalda Tuska. Premier oddał wrażliwy resort szkolnictwa w ręce fanatyków. Teraz to koalicja 13 grudnia musi ponosić koszty propagandowe masowego sprzeciwu wobec ideologicznych eksperymentów na dzieciach.

I jeszcze jedno. Kiedy wyraźny głos sprzeciwu wobec zajęć edukacji zdrowotnej wyrazili polscy biskupi zgromadzeni w Konferencji Episkopatu Polski, wiele mediów ogłosiło, że polscy hierarchowie ryzykują swoim autorytetem. Złośliwie wieszczono, że biskupi kolejny raz zostaną zignorowani. A jednak okazuje się, że Episkopat doskonale wyczuł nastroje sporej części społeczeństwa i w jakimś stopniu przyczynił się do sukcesu tej akcji obywatelskiego nieposłuszeństwa wobec zamiarów minister Nowackiej.

Oczywiście część rodziców zabrała dzieci z dodatkowych zajęć, gdyż uważają, iż dzieci są przeciążone nauką w szkole. Tak czy inaczej, coś prawej stronie się udało i minister Nowacka dostała czerwoną kartkę. W ciągu ostatniego ponad półtora roku solidnie na to zapracowała. ©℗

WIĘCEJ O EDUKACJI ZDROWOTNEJ NA STR. 46

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

SERGIUSZ PIASECKI SPOCZĄŁ W POLSCE

Z honorami złożono w polskiej ziemi doczesne szczątki Sergiusza Piaseckiego – uczestnika wojny polsko-bolszewickiej, oficera wywiadu, żołnierza AK, pisarza. Piasecki zmarł 12 września 1964 r. w Polskim Szpitalu Wojskowym w Penley w Walii. Pochowano go na Borough Cemetery w Hastings. 29 września spoczął na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Sprowadzenie szczątków pisarza do ojczyzny zainicjował, jeszcze jako szef IPN, prezydent Karol Nawrocki, który wziął udział w uroczystościach. *(raw)* ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

dwaj panowie g

Zmiany, zmiany, zmiany. W pałacu na Krakowskim wielkie zamieszanie i jakoś tak ludno się zrobiło. Otóż prezydent Karol Tadeusz zażyczył sobie, by wszyscy ministrowie prezydenccy rezydowali i pracowali w Pałacu. Za poprzednika tylko część miała gabinety przy Krakowskim, mniej istotni rezydowali przy Wiejskiej. Teraz zapanowało równouprawnienie. Choć oczywiście nie do końca. Pozycję liczy się teraz odległością od gabinetu, w którym urzęduje prezydent.

Uwaga – walka o pozycję i mierzenie kroków między gabinetami nie dotyczy Sławka Cenckiewicza. On urzęduje w tzw. bunkrze, czyli w siedzibie BBN ulokowanej w ogrodach prezydenckich. Cenckiewicz wjazd do Karola ma o każdej porze dnia i nocy. Noc zresztą była już ćwiczona przy okazji nalotu ruskich dronów.

Dobiegają tymczasem końca wielkie przygotowania do wielkiego kongresu wielkiej partii, znaczy PiS. Postanowiliśmy więc sprawdzić, jak przebiegają. Otóż zabawnie. Okazało się bowiem, że planowane na różne tematy panele i dyskusje często się tematycznie powielają. A to dlatego, żeby zadowolić wszystkie frakcje, grupki i ambicje. Uważamy, że to bardzo nowoczesne: zamiast dyskutować ze sobą, dyskutować równolegle.

Dla wszystkich PiS-ologów i PiS-oznawców mamy ważną radę: śledźcie uważnie skład osobowy planowanych paneli, gdyż wedle tego oceniać można, czy ktoś jest aktualnie w łaskach czy też z łask wypadł. Szeregowy poseł prezes Jarosław Kaczyński koryguje bowiem te sprawy osobiście. Zatem na miejscu tych, którzy wystąpią, bylibyśmy zadowoleni, a na miejscu tych, którzy dowiedzą się, że nie wystąpią – zaniepokojeni. Niektórzy już są zaniepokojeni. Wśród nich paru byłych ministrów.

Kibicujemy Marszymonowi Hołowni w jego walce o awans do ONZ. Uważamy, że na stanowisko komisarza do spraw uchodźców nadaje się idealnie. Wszak poparcie dla jego partii skurczyło się do jednego procenta. Trudno o lepszy przykład skutecznego uchodzenia.

Jeszcze bardziej kibicujemy Ryszardowi Petru, który ogłosił, że będzie się ubiegał o stanowisko szefa Polski 2050 po Szymonie. Mamy nadzieję, że wygra. Dla polityki dużo lepiej jest, gdy stanowiska zajmują ludzie, którzy nic nie umieją, ale którzy mają znane nazwiska. Bo przecież mogliby to być ludzie, którzy nic nie umieją, ale których nikt nie zna.

Zapowiedziane odejście Marszymona zmienia oczywiście dynamikę wewnątrz koalicji rządowej, ale na razie w Polsce 2050 separatyści mają przewagę nad unionistami. Separatyści chcą utrzymania partii jako osobnego bytu. Unioniści chcą się rozpuścić w Platformie. Jakby ktoś nie wiedział: Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz jest separatystką. Co do Petru, to nie wiadomo, gdyż on sam nie wie, kim jest i za czym jest.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Dyplomacja. „Lizał, lizał i dolizał" – jak mawiał swojego czasu dziennikarz „GazWybu", a do niedawna rzecznik Zdradka, czyli Paweł Wroński. Otóż Paweł dolizał się nominacji ambasadorskiej w Sofii. Choć wszystko wskazuje na to, że nie będzie pełnym ambasadorem, a jedynie, jak to się mówi w żargonie MSZ, „kierplacem w randze czardża", co na polski i francuski wykłada się „kierownik placówki w randze charge d'affaires". Niektórzy dodają jeszcze łacińskie sformułowanie „ad interim", czyli tymczasowy. Tymczasowy oznacza dwa lata. Pawełek nie jest jednak w ciemię bity i zamierza uzyskać jeszcze nominację na tzw. członka, a konkretnie członka służby zagranicznej, co na wypadek zmiany władzy chroni przed zwolnieniem. A że Paweł jest już w tzw. ochronie przedemerytalnej, to liczy, że do emerytury się przechowa na państwowej posadce.

Skoro o dyplomatach. Może zwróciliście uwagę, że od chwili, kiedy Mark Brzezinski opuścił stanowisko ambasadora USA w Polsce (w styczniu), na czele amerykańskiej placówki wciąż stoi Stephanie Holmes, która podobnie jak Bogdan Klich w Waszyngtonie jest tylko czardżem czy szarżem. Co prawda, ogłoszono, że nowym ambasadorem będzie Tom Rose. Jednak wciąż nie przybył on do Warszawy, by objąć placówkę, choć minęło już osiem miesięcy od ogłoszenia jego nominacji. Złe języki mówią, że Amerykany czekają, aż Warszawa przyśle pełnoprawnego ambasadora do Waszyngtonu. Wtedy i Tom dotrze do Warszawy.

Do Warszawy tymczasem dotarł nowy ambasador Izraela. Yaakov Finkelstein. Ma pewną przewagę nad swoimi ostatnimi poprzednikami. Jego przodkowie nie wywodzą się z Żydów rosyjskich czy sowieckich, ale z Żydów polskich. W odróżnieniu od swoich ostatnich poprzedników, którzy do rosyjskich słów dawali polskie końcówki, włada mową Mickiewicza i Słowackiego znacznie lepiej. Co już zyskało mu sympatię nie tylko w gmachu przy Szucha, lecz także w pałacu przy Krakowskim.

Na koniec ciekawa historia z Brukseli. Dotyczy przyjaźni polsko-węgierskiej. Otóż Kinga Gál, europosłanka z Węgier i ważna figura Fideszu, miała kłopot. Przydzielono jej gabinet sąsiadujący z powszechnie dostępną na jej piętrze toaletą. A ściany cienkie i bywało głupio, kiedy podczas rozmów oficjalnych słychać było to i owo. Tu z pomocą przybył Kosma Złotowski. Jako kwestor ma pewne sprawy w uprawnieniach i czym prędzej nakazał ścianę pracami budowlanymi pogrubić. Którą to historię przytaczamy, by przypomnieć, jak straszna jest polska prawica, która buduje mury nie tylko między Polakami i narodami, lecz także nawet między narodami a toaletami. ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zagadki istnienia

Trybunał Konstytucyjny i Krajowa Rada Sądownictwa z punktu widzenia „grupy trzymającej władzę" są jak kot Schrödingera, który jednocześnie jest i go nie ma. Weźmy KRS – oficjalnie nie tylko jest „nieistniejący", lecz także jego nieistnienie sprawia, że również sędziowie, których rekomendował, są „nieistniejący", które to nieistnienie stanowi podstawę wszystkich działań nazywanych przez wspomnianą grupę „przywracaniem praworządności". Ale 170 tys. zł, które z nieistniejącego KRS pobierają rocznie mianowani doń posłowie z grupy, pp. Kropiwnicki i Gasiuk-Pihowicz, są istniejące. Mało tego, choć rekomendowani przez „neo-KRS" sędziowie nie są sędziami i ich wyroki są zdaniem ministra Żurka nieważne, to rekomendowany przez ten sam KRS asesor sądowy jest ważny i umorzenie przez niego śledztwa w sprawie Sławomira Nowaka jest istniejące.

Ten sam minister Żurek, który nie uznając „neosędziów", ogólnie uznał konkretnego, tego, który mu był przyznał odszkodowanie od banku, i odszkodowanie to przytulił, wysłał właśnie do „nieistniejącego" TK wniosek o uchylenie immunitetu jego „nieistniejącemu" przewodniczącemu. Czyżby więc jednak nieistniejące istniało? Z wykładnią pośpieszył związany z władzą licznymi zleceniami prof. Chmaj: wprawdzie KRS i TK obecnie nie istnieją, bo zostały wybrane według wadliwej procedury – wyjaśnił w Polsat News – ale niebawem Sejm wybierze nowych członków KRS i TK, według tej samej procedury, i wtedy, gdy w ten sposób członkowie z obecnej grupy zdobędą w obu instytucjach większość, staną się one istniejące i rozstrzygną wniosek ministra należycie.

Takie to się okazało proste: „praworządność" nie jest kwestią takiej czy innej procedury, tego czy owego orzeczenia TSUE albo opinii Komisji Weneckiej. To prostsze: czy nasza sitwa kontroluje sędziów i wyroki, tak jak przed rokiem 2015, czy tej kontroli nie ma. Ciekawe, czy wszyscy „obrońcy praworządności" od początku to rozumieli. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Sprawa 20 milionów

Prawie półtora wieku temu Jan Ludwik Popławski pisał, że dla odzyskania niepodległości sprawę 200 tysięcy trzeba uczynić sprawą 20 milionów. Postulat ten pozostaje zadziwiająco aktualny. Głosować może blisko 30 milionów Polaków, głosuje 21. Dziś więc „sprawa 20 milionów" oznaczałaby przynajmniej złagodzenie dzielących nas konfliktów i sprowadzenie postaw anarodowych do rzędu choćby licznej, ale jednak – osobliwości.

Oczywiście są różnice między sytuacją z lat 80. XIX w. i współczesną. Sprawa niepodległości ma oczywiście szersze poparcie. I dziś od upowszechnienia sprawy polskiej zależy nie tyle odzyskanie, ile umocnienie i zrealizowanie potencjału niepodległości.

Ale co z tego wynika? Przez dwa wieki – od połowy XVIII do połowy XX w. – zasadniczym nurtem naszej historii było dążenie do uobywatelnienia ludu, włączenia go do życia publicznego. PRL – niszcząc życie publiczne – uruchomił proces wtórnego odobywatelnienia. W 1989 r. za kandydatami Solidarności i opozycji, więc za niepodległością, głosowało ok. 40 proc. uprawnionych, co dało dwie trzecie głosów jedynie dzięki temu, że drugie 40 proc. zostało w domu. Dwa lata później (w wyborach, które przyniosły rządy Olszewskiego i Suchockiej) frekwencja w ogóle wyniosła trochę ponad 40 proc. Dla bardzo wielu Polaków pojawienie się radiowej Trójki i przygody pancernych z psem pozostały ważniejszym wspomnieniem od Nowenny Tysiąclecia i protestów marcowych razem wziętych. I były to postawy bynajmniej niepozbawione politycznego wpływu.

Najgorszą jednak reakcją byłaby (czy raczej jest) agresywna irytacja. Nasza nowoczesna historia zaczyna się od zerwania z pogardą dla „chamów" i to była nie tylko realizacja oświeceniowej Równości, lecz także tragicznie spóźniona odpowiedź na apele Jana z Ludziska, Piotra Skargi, Jana Kazimierza. Pora to sobie przypomnieć. ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O rozbestwieniu totalnym

Tragiczne wydarzenia w Strefie Gazy pociągnęły za sobą w Italii eksplozję przemocy, wandalizmu i terroryzmu. Można odnieść wrażenie, że była to iskra, która wpadła do beczki z prochem. Puściły wszelkie hamulce i ryzy.

Lewicowe związki zawodowe, domagając się pokoju i otworzenia korytarzy humanitarnych w Strefie Gazy, wysunęły wiele postulatów pod adresem włoskiego rządu, w tym uznania państwowości Palestyny, zerwania wszelkich umów i kontaktów z Izraelem. Niejako dla zaakcentowania pilności tych żądań ogłosiły strajk generalny i wezwały ludzi do wyjścia na ulice. Italia dosłownie stanęła w miejscu. Nie kursowała komunikacja miejska, zatrzymały się promy, a nawet taksówki. Młodzież zamiast do szkoły poszła na demonstracje.

Naturalnie w demokratycznym państwie każdy ma prawo do organizowania protestów i udziału w manifestacjach i wiecach. Ale proklamowanie strajku generalnego z powodu wydarzeń za granicą, na które Italia nie ma wpływu, jest umysłową aberracją. W efekcie ucierpiały przecież miliony Włochów. Niestety, w Italii sprawy zaszły tak daleko, że strajki stały się popularnym rytuałem społecznym. Nowością jest to, że tym razem nie dotyczyły kwestii płacowych, budżetu czy złych warunków pracy. Co więcej, w kilku miastach (Mediolan, Neapol, Bolonia, Turyn) i ich okolicach blokowano obwodnice, stacje kolejowe, a nawet lotniska, demolując wszystko wokół. Atakowano przy okazji Bogu ducha winną policję. Słowem – rozbestwieni zadymiarze wykorzystali demokratyczne prawa, by je łamać.

Dla powodów znanych tylko sobie studenci rozpoczęli okupację uniwersytetów. W Bolonii wdarli się na salę wykładową, przerwali wykład i pobili wykładowcę, bo ich zdaniem jest syjonistą. We Włoszech młodzież przybywa na studia świetnie przygotowana do działalności politycznej, a raczej politycznego terroru. Od lat rozpolitykowane kolektywy uczniowskie okupują licea – np. w ramach walki z faszyzmem – nie stroniąc od wandalizmu. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl c7cac20f2f

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

CELEBRYCI Z TVN JUŻ TO WIDZĄ

Podobno jedną z definicji szaleństwa jest ta: robić wciąż to samo, oczekując innych efektów. Jeżeli to prawda, to szaleniec był blisko objęcia prezydentury w Polsce. Na kompletny brak refleksji nad samym sobą wskazują słowa Rafała Trzaskowskiego, które padły podczas Campus Academy. – Jeżeli się mnie zapytacie, czy popełniłem jakiś gruby

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

błąd, jakieś przejęzyczenie, czy miałem jakąś totalną wpadkę, to wydaje mi się, że nie. Ale czy to znaczy, że nie można było zrobić lepiej niektórych rzeczy? Pewnie, że można było, tylko trzeba to było robić latami, zaplanować, być przygotowanym do tego w sposób lepszy. Widocznie tego zabrakło – ocenił „młody, zapowiadający" się Trzaskowski. Skoro było tak świetnie, to dlaczego wygrał Karol Nawrocki? – Nie uważam, że Karol Nawrocki prowadził rewelacyjną kampanię wyborczą. Oni byli przez cały czas w defensywie. Na pewno nie można odmówić Karolowi Nawrockiemu talentów, dlatego rzeczywiście bardzo szybko nauczył się twardego, prostego, zwięzłego komunikowania. Tego można się uczyć, bo może dzisiaj właśnie za dużo jest elokwencji, może ja za dużo gadam – stwierdził Trzaskowski. Wypowiedź prezydenta Warszawy zirytowała byłą gwiazdę TVN, prezenterkę Agnieszkę Woźniak-Starak. Udostępniła na Instastories screen artykułu dotyczącego wypowiedzi Trzaskowskiego. „A Rafał Trzaskowski nadal nie rozumie, że przegrał nie dlatego, że był zbyt elokwentny, tylko dlatego, że jest zbyt arogancki. I kampanię też miał słabą" – komentuje Woźniak-Starak. Jeżeli celebryci zawsze stojący po stronie PO już rozumieją, to może jest jeszcze nadzieja dla Rafała?

JULIA UCZY I RADZI

Aktorka Julia Wieniawa przedstawiła swoją opinię o edukacji zdrowotnej. – Tak naprawdę brak tej edukacji wyrządzi więcej krzywdy niż to, że ona jest w kalendarzu każdego ucznia – oceniła celebrytka. Gwiazda wskazała, jak ważna jest np. edukacja o żywieniu. – To jest największy ból i mam największy żal do szkoły w moich czasach, że nie miałam edukacji odnośnie diety – wyznała. W rozmowie z WP wspomniała, że z powodu niewłaściwych śniadań w czasie lekcji nie była w stanie się skupić. Wieniawa twierdzi, że edukacja zdrowotna powinna być obowiązkowa. Celebrytka wyraziła oburzenie decyzją prezydenta i jego żony o tym, aby nie posyłać na zajęcia syna Antoniego. – Bardzo mi przykro, bo zobaczyłam tego newsa dzisiaj rano, że nasz szanowny prezydent wypisał swoje dziecko z edukacji zdrowotnej. Uważam, że to duża szkoda dla jego dziecka – stwierdziła aktorka. Zawsze dobrze posłuchać prawdziwego eksperta.

SIOSTRZANA TROSKA

Dzieje się. Niedawno paparazzi przyłapali gwiazdę TVN Joannę Krupę na spotkaniu z europosłem PiS Dominikiem Tarczyńskim. Wyglądało to na spotkanie bliskich sobie ludzi. Modelka została wezwana na dywanik przez kierownictwo, które podobno zaleciło, że jeżeli Dżoana naprawdę musi spotykać się z tym paskudnym pisiorem, to niech chociaż robi to tak, by nikt nie widział. Do sprawy odniosła się siostra celebrytki. – Nie mogę komentować, bo to jest, wiesz, mojej siostry życie. Ona robi swoje, ja robię swoje. Ja nie chcę być w to mieszana – podkreśla Marta Krupa. Jednocześnie wyznała, że miała wcześniej okazję poznać Tarczyńskiego. – Już kiedyś go poznałam. Tak na sekundę go poznałam, ale to było dawno temu. Mówiąc szczerze, nie rozmawialiśmy ze sobą. Ciężko mi oceniać kogoś, kogo nie znam do końca i nie znam jego personality. Nie mogę nic powiedzieć na ten temat, bo to tak, jakbyś powiedziała do kogoś „Hi" i tyle. Musisz znać kogoś długo, żeby poznać, jaka ta osoba jest – podkreślała w wywiadzie dla Pudelka. Marta Krupa nie ukrywa jednak, że zdjęcia jej siostry z politykiem PiS nieco ją zaskoczyły. – Tak, trochę mnie to zaskoczyło, ale wiesz, jest, jak jest. Czasami ludzie lubią być mili tak ze sobą. Nie chcę komentować, bo to nie jest moja sprawa. Naprawdę nie mogę nic mówić – zaznacza. Według niej przyszły partner Joanny powinien przede wszystkim ją szanować i kochać. – Życzę takiego, co ma dużo szacunku do niej, kocha ją, taką, jaką ona jest. Wspiera ją, chce, żeby ona robiła w życiu to, co ona chce, żeby nie hamował jej w sukcesie i takich różnych rzeczach. Żeby po prostu ją kochał, tak naprawdę kochał – podsumowała.

WIELKA SZKODA

Zazdrość czy słowa gorzkiej prawdy? Wokalistka Sanah zapełniła dwukrotnie Stadion PGE Narodowy. Każdy z koncertów przyciągnął tłumy 65 tys. fanów. W rozmowie z Pomponikiem Dorota Rabczewska przyznała, że trudno jej pojąć, jak Sanah udało się tego dokonać. – Nie mam pojęcia – stwierdziła. Reporter zapytał Dodę, czy jest coś, za co podziwia bijącą rekordy popularności artystkę. Ona odparła, że imponuje jej umiejętność Sanah utrzymywania pozorów bycia „dziewczyną z sąsiedztwa na potrzeby dobrego PR-u". – Jest taka słodka i urocza, a prywatnie słyszałam, że jest ostra i dużo przeklina oraz jest taką hardcore'ową osobą w związku. Jest to dość ciekawe zderzenie. Szkoda, że nie możemy zobaczyć tej drugiej twarzy – stwierdziła. ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, i znów mamy ten magiczny moment w roku, kiedy ulice naszych wielkich ośrodków akademickich zapełniły się osobostudentami, którzy powrócili do swoich Alma Mater, aby pozorować udział w procesie edukacyjnym, a tak naprawdę czerpać radość z życia akademickiego, zakłócaną jedynie koniecznością bywania na uniwersytecie.

Mało kto bowiem zauważa, iż tak naprawdę mamy do czynienia z klasycznym przypadkiem systemowej opresji. Bo czyż nie jest przemocą zmuszanie młodych, kreatywnych i ciekawych świata osób do słuchania wykładów w formie monologu starszego heteroseksualnego mężczyzny z tytułem profesora zamiast umożliwienia im posłuchania podcastu w tle do spacerów po tkance miejskiej?

W ogóle zwróciliście uwagę na te wszystkie akademickie rytuały, hymny, ubrania? To wszystko wygląda jak na jakimś średniowiecznym Hogwarcie, a nie w europejskich instytucjach edukacyjnych XXI w., gdzie poważne naukowczynie i naukowcy próbują wreszcie rozstrzygnąć problemy zaimków.

Nas, z racji humanistycznego wykształcenia, bardzo fascynuje socjologia powrotu osób studenckich do wielkich ośrodków niż socjologiczna struktura uczelni (która swoją drogą jest do zaorania). Starsze osoby skarżą się, że „znowu korki", a tymczasem my cieszymy się, że choć przez chwilę polskie miasta przypominają europejskie metropolie – pełne życia, dyskusji i młodzieńczej energii. I tak będą wyglądały aż do najbliższej sesji poprawkowej. I chociaż studiowanie już dawno za nami, to czujemy się tak, jakbyśmy za chwilę sami mieli uciec z kolokwium z prawa konstytucyjnego. Piękne czasy.

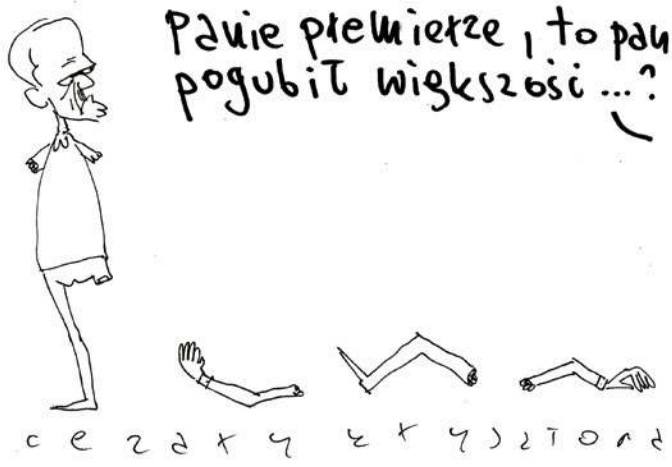

Jako ludzkość doszliśmy do takiego etapu rozwoju, kiedy wirtualna, wygenerowana przez AI influencerka jest warta więcej niż Podkarpacie z częścią Lubelszczyzny. Tak – dobrze czytacie, influencerka, której nawet nie ma, zarabia pewnie w miesiąc więcej niż wszyscy wąsaci janusze wyciągają w skali roku na swoich pensjach minimalnych w fabrykach azbestu.

Wnioski widzimy dwa. Po pierwsze, dla globalnej ekonomii istnienie Podkarpacia jest głęboko niezasadne. Skoro pewnie więcej PKB jest w stanie wygenerować coś, czego nawet nie ma, to może się warto zastanowić, jak sprawić, aby Podkarpacie było jakoś bardziej efektywne ekonomiczne? Może wysłać instruktorów europejskich, którzy nauczyliby tubylców, jak prowadzić nowoczesne gospodarstwa rolne, korzystać z Internetu, no sami wiecie – zmodernizować jak za Gierka.

Po drugie – i to jest jeszcze ciekawsze – oznacza to, że w XXI w. bycie człowiekiem powoli staje się obiektywnie nieopłacalne. Z punktu widzenia pracodawcy biologiczna forma pracownika może być przereklamowana: ciało choruje, starzeje się, wymaga pielęgnacji, chce jeść, spać i chodzić na L4, a od czasu do czasu mieć trochę przyjemności.

A takiego cyfrowego awatara nie obowiązuje nawet Kodeks pracy, ba – nie trzeba mu dawać nawet umowy o dzieło, a przychód leci. To, co miało jeszcze do niedawna być scenariuszem jak z filmu science fiction, stało się realnym rachunkiem ekonomicznym: lepiej jest być wirtualnym awatarem z insta niż biologicznym mieszkańcem Tarnobrzega. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Przytulanie uchodźców

Szymon, a taki komisarz to co on właściwie robi?
Skąd ja mam wiedzieć, Rysiu? Przecież nigdy nim jeszcze nie byłem.
No, ale tak mniej więcej?
Czy ja wiem? Jeździ sobie... Dużo jeździ. Jak gdzieś dojedzie, gdzie są uchodźcy, to ich jakoś pociesza może...
Ale jak?
Czy ja wiem? Przytula? Jak byli wtedy ci w Sejmie, to ich tak, jak by to powiedzieć, przygarniałem.
Tylko nie przesadź z tym przytulaniem, bo wiesz... Żeby ktoś nie pomyślał...
Spoko, mam nadzieję, że tego za dużo nie będzie. Można się czymś zarazić. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To, co zrobili Ziobro i spółka z Pegasusem, było największą zbrodnią przeciwko prawom człowieka w Polsce po 1989 roku".

MARCIN MATCZAK, prawnik, na X

eprasa.pl c7cac20f2f

prasa.pl c7cac20f2f

FOT. WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI/NIFC

ŚWIĘTO CHOPINA W WARSZAWIE

W ubiegły czwartek 2 października rozpoczął się XIX Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina. Pianista Paweł Kowalski powiedział w Studiu PAP, że Konkurs Chopinowski to pianistyczna olimpiada. Sportowa analogia jest jak najbardziej na miejscu, nie tylko ze względu na prestiż wydarzenia. Młodzi pianiści, którzy przyjeżdżają do Warszawy, są u szczytu życiowej formy.

I są to najlepsi z najlepszych. Dobre zaprezentowanie się w konkursie, nie mówiąc już o zwycięstwie, jest przepustką do międzynarodowej kariery, otwiera przed młodymi adeptami najważniejsze sale koncertowe globu. Dlatego poziom konkursu organizowanego raz na pięć lat jest zawsze bardzo wysoki, a rywalizacja – zacięta. W tym roku zgłosiło się 85 pianistów, lecz jeden z nich się wycofał, a zatem w szranki stanęło 84 artystów z 19 krajów z całego świata. W tym gronie jest aż 13 Polaków. Ocenia ich 17 jurorów pod przewodnictwem znakomitego amerykańskiego pianisty, laureata Konkursu Chopinowskiego z 1970 r., Garricka Ohlssona. Finałowe koncerty, do których zakwalifikuje się 10 najlepszych pianistów, zaplanowano na 18–20 października. Ostatecznym sprawdzianem będzie zagranie „Poloneza-fantazji As-dur" op. 61 oraz wybranego koncertu fortepianowego Fryderyka Chopina w towarzystwie Orkiestry Filharmonii Narodowej w Warszawie. Nazwisko zwycięzcy poznamy 20 października. Wisienką na torcie będą koncerty laureatów: 21, 22 i 23 października. Na zdjęciu Bruce Liu podczas koncertu inauguracyjnego. ***(raw)*** ©℗

O FILMIE „CHOPIN, CHOPIN!" W TEKŚCIE „NIEUCHWYTNY CHOPIN" – STR. 36

Egzemplarz dla Czytelnika

Prawica – skazani na powtórkę?

Rafał A. Ziemkiewicz

Dla obserwatorów jest oczywiste, że układ Tuska może trwale odsunąć tylko zgodnie współpracująca koalicja PiS z Konfederacją. Ale przywódcy obu partii nie są na razie do niej skłonni. Może dlatego, że Kaczyński ma za duże doświadczenie, a liderzy Konfederacji – za małe?

Potępieńcze swary" – trudno nie użyć tego mickiewiczowskiego określenia w kontekście kolejnych wzajemnych ataków PiS na Konfederację i odwrotnie. Przynajmniej wtedy, kiedy patrzy się na nie z punktu widzenia przeciętnego zwolennika szeroko rozumianej prawicy. Oczekiwania większości elektoratu tradycjonalistycznego są jasne: chce on jak najszybszego odsunięcia od władzy obecnej koalicji i odsunięcia od znaczenia lewicowo-liberalnego establishmentu (czy raczej: „klasy panującej"), na którym ta władza się opiera. Nie dla samego odsunięcia jednak, ale dlatego że stanowi to niezbędny warunek, by Polska przestała być wreszcie już „państwem z dykty" czy

eprasa.pl c7cac20f2f

Liderzy Konfederacji (Sławomir Mentzen, na zdjęciu przemawia w Sejmie) i PiS na razie nie są skłonni do rozmów o koalicji obu partii FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

– jak nazywają to niektórzy – „kartoflaną republiką". Czyli państwem bezradnym w rozwiązywaniu problemów zwykłego obywatela, a w praktyce często wrogim wobec niego, a jednocześnie skutecznie zapewniającym przywileje i bezkarność rządzącym elitom.

Z punktu widzenia przywódców partyjnych hierarchia celów jest nieco inna: naturalną koleją rzeczy najbardziej interesuje ich sukces własnej formacji. Zarówno PiS, jak i Konfederacja żyją przy tym w przekonaniu, że zwracają się do wspólnego, „prawicowego" elektoratu, więc wzrost naszego ugrupowania musi się odbywać kosztem osłabienia konkurentów. Odsunięcie od władzy Tuska, nie wspominając już o wdrożeniu programu naprawy państwa, staje się więc celem kolejnym, mniej pilnym. Najpilniejszym jest odebranie wyborców prawicowemu konkurentowi.

WZROST HEGEMONÓW

Obserwatorom, którzy – jak niżej podpisany – aktywni byli w latach 90., nieodparcie przypomina to niesławny Konwent Świętej Katarzyny, który wyeliminował szeroko rozumianą prawicę z realnej polityki w momencie, gdy decydowała się ustrojowa przyszłość RP, i na długie lata stał się symbolem krótkowzroczności, małostkowości i skłócenia tej strony sceny politycznej. Długotrwała niemożność porozumienia się przez coraz liczniejsze i coraz mniejsze partyjki, zakładane przez kolejnych liderów, przeważnie w drodze rozłamu z większych formacji, nieodmiennie w celu „wzięcia udziału w integracji prawicy", skończyła się po latach wymarciem ich wszystkich, włącznie z ówczesną partią braci Kaczyńskich, Porozumieniem Centrum.

Po krótkotrwałym sukcesie Jana Olszewskiego (bo 7 proc. w wyborach prezydenckich wydawało się na tle sondażowych wyników „centroprawicowych" partyjek wynikiem przełomowym – do takiego rozproszenia doszedł „obóz patriotyczny") hegemonię nad pokłóconymi liderami przejęły najpierw związek zawodowy Solidarność, tworząc rządzącą przez jedną kadencję Akcję Wyborczą Solidarność, a następnie nowa formacja Kaczyńskich, Prawo i Sprawiedliwość, która zagospodarowała wizerunkowy sukces, który Lech Kaczyński odniósł w roli „szeryfa w mieście bezprawia" – ministra sprawiedliwości w rządzie tej pierwszej.

Charakterystyczne, że zarówno Olszewski w 1995 r., jak i Kaczyńscy w 2000 r., gdy fortuna zaczynała im sprzyjać, po prostu porzucili swe dotychczasowe partie (zapomniany dziś Ruch dla Rzeczypospolitej i wspomniane już PC) i założyli nowe. To dowód, że w całej tej „integracji" nie szło o żadne programy ani wizje, była to wyłącznie walka o to, kto ma być liderem dla określonej części elektoratu, walka, w której każdy chciał całkowicie wyeliminować wszystkich rywali. I tak się to skończyło: zwycięzcą okazał się Jarosław Kaczyński, który jednych konkurentów zmiażdżył, innych (jak narodowo-konserwatywne Przymierze Prawicy Marka Jurka i Michała Ujazdowskiego) wziął do koalicji i z czasem „wyślizgał", osiągając pozycję hegemona, którego wyborca tradycjonalistyczny i patriotyczny (bo tak definiuje się u nas prawicę) może lubić lub nie, ale jest na niego skazany. Zanim ten długotrwały proces wzajemnego wyrywania sobie z rąk przywództwa nad „obozem patriotycznym" się zakończył, wspomniany elektorat, ok. jednej trzeciej polskich wyborców, praktycznie wyeliminowany był z wpływu na państwo polskie, czego skutki ponosimy do dziś.

Zarówno PiS, jak i Konfederacja żyją w przekonaniu, że zwracają się do wspólnego, „prawicowego" elektoratu

Cały ten frustrujący prawicowych wyborców proces dostarczał wieloletniej „beki" lewicowo-liberalnym mediom, dominującym czy – do pewnego momentu, jeszcze na mocy umowy w Magdalence – wręcz jedynym, jako dowód nieudacznictwa „prawicowych oszołomów" czy też, jak po politycznej metamorfozie nazywał architektów swej prezydentury Wałęsa, „popaprańców". Niesłusznie, bo politycy wypisujący na swych sztandarach Boga i ojczyznę nie wyróżnili się niczym szczególnym od pozostałych. Niemal identycznie, tylko bez porównywalnej uwagi mediów, przebiegł proces „zjednoczenia ruchu ludowego" – kto dziś pamięta, jak wiele było u zarania partii chłopskich i jak wszystkie one z czasem zanikły, pożarte przez komunistyczny ZSL, który przywłaszczył sobie historyczny szyld, zachowując PRL-owski majątek?

Nie inaczej skończyła się „konsolidacja" obozu „proeuropejskiego", gdzie Donald Tusk najpierw zniszczył i zmarginalizował dawną Unię Demokratyczną, a potem jednego po drugim wykończył wszystkich wykazujących jakąkolwiek inteligencję

eprasa.pl c7cac20f2f

i zdolności konkurentów w tworzonej początkowo jako „szeroki ruch społeczny" PO. Nawet w obozie postkomunistycznym, który w początkach III RP, spojony strachem, wydawał się monolitem i wzorem zgodnej współpracy, doszło w końcu do „szorstkiej przyjaźni" i wielu rozłamów. I tam jednak mieliśmy co i raz spektakularne przykłady połykania przez postkomunistów inicjatyw „ideowej lewicy" (Unia Pracy, później Partia Razem).

Taka jest polska „demokracja" (w tym kontekście trudno nie użyć cudzysłowu): wszystkie partie grawitują tu ku jedynowładztwu, wszystkie koalicje są stanem przejściowym i przygotowaniem do „wrogiego przejęcia" chwilowych sprzymierzeńców, tak jak zdecydowali się przejąć Kaczyńscy Samoobronę i LPR, nawet za cenę utraty w kolejnych wyborach władzy. Jedynowładztwo w partii jest zaś tylko drogą do ostatecznego jedynowładztwa, czyli ustanowienia „rządów osobistych" nad całym państwem, co na chwilę obu protagonistom naszej polityki się udało, choć żaden nie zdołał swojej władzy skutecznie „domknąć". Wzorzec Piłsudskiego, jedyny znany polskiej kulturze politycznej, w ostateczności zawodzi, bo jego dyktatura, co Polacy ze swej pamięci wycięli, zawdzięczała swą skuteczność nie tylko autorytetowi wodza, lecz także wojsku i brutalnej przemocy, do których to metod dziś, w kraju europejskim, przynajmniej na razie żaden zwycięzca wyborów, choćby nie wiedzieć jak w danym momencie popularny, posunąć się nie może.

KARUZELA WCIĄŻ SIĘ KRĘCI

Doświadczenie Tuska i Kaczyńskiego, którzy ostatecznie osiągnęli każdy po swojej stronie upragnioną hegemonię, jest więc takie: Polacy są trwale podzieleni i należy wyeliminować konkurentów do przywództwa nad tą ich częścią, do której się odwołujemy. Spośród politycznych bytów podobnych, odwołujących się do tej samej części elektoratu, ostatecznie na placu boju pozostaje ten, który w porę zakrzątnął się i stworzył sobie odpowiednie zaplecze finansowe, tak jak bracia Kaczyńscy, gdy ich rywale licytowali się w patriotyzmie i pobożności, zakrzątnęli się wokół Fundacji Prasowej Solidarności i spółki Srebrna, a „liberałowie" Bieleckiego, Lewandowskiego i Tuska – wokół swoich spółek i fundacji w czasie, gdy liderzy Unii Demokratycznej podstawiali wyborcom pod nos swe artystyczne i profesorskie tytuły do sławy.

Aby dopełnić tę krótką instrukcję obsługi polskiej polityki od roku 1990 do niedawna, trzeba jeszcze zaznaczyć, że całe to parapiłsudczykowskie dążenie do „rządów osobistych" nad Polską poprzez rządy osobiste nad „swoją" połową oparte było na niezłomnej pewności każdej ze stron, że ta druga zniknie. Myślenie „patriotów" uwarunkowała w tej kwestii mickiewiczowska metafora „lawy" uwięzionej pod „skorupą plugawą" wynarodowionej elity, myślenie „demokratów" lewicowy, postheglowski determinizm – laicyzacja, wynarodowienie i „woke" na wzór zachodni jest jedyną możliwą przyszłością także dla Polski, a kto się jej nie podda, „wymrze jak dinozaury".

I tu właśnie cały dotychczasowy paradygmat się wykrzaczył – przez osiem lat pierwszych rządów Tuska PiS nie tylko nie wymarł jak dinozaury ani nie dał się „dorżnąć", lecz także, osiągnąwszy upragniony monopol na „prawicowość", wzmocnił i poszerzył swe społeczne poparcie na tyle, by po siedmiu wyborczych przegranych ósmym razem zdobyć i prezydenturę, i Sejm, i Senat. Z kolei przez osiem lat rządów PiS ani żaden „układ" nie został skutecznie rozbity ani „łże elita", jak ją kiedyś nazwał Jarosław Kaczyński, nie ustąpiła miejsca żadnej nowej, patriotycznej – może dlatego, że ten ostatni próbował ją tworzyć nie poprzez odblokowanie szlaków awansu społecznego, tylko z partyjnego aparatu i zasobów Skarbu Państwa.

> **Istotne jest, czy możemy liczyć, że, wbrew całemu dotychczasowemu doświadczeniu, zmienił swój sposób myślenia Jarosław Kaczyński. Bo to znowu on, jak przez większość ostatniego 35-lecia, rozdaje karty**

Pomimo to karuzela wciąż się kręci: po udanej operacji wykreowania Hołowni na „trzecią drogę", która otworzyła Tuskowi drogę do powrotu, obecny premier wierzył, że wystarczy brutalnie przejąć media państwowe i odebrać PiS pieniądze, aby znikł on szybko wraz z całym swym elektoratem. Czy fiasko tych nadziei, udokumentowane wygraną Karola Nawrockiego (widać, jak wielki był to szok dla Tuska, który wyraźnie nie miał na taką okoliczność żadnego „planu B" i od kilku miesięcy uprawia polityczne „pływanie rozpaczliwcem"), wyleczyło lidera PO ze złudzeń? Ciekawym sygnałem są słowa, które wypowiedział na głośnym spotkaniu w Pabianicach: to jest „pół na pół", „czasem my odrobinę wygrywamy, czasem oni". Te wyrazy pogodzenia się z istnieniem w Polsce prawicy jako zjawiskiem trwałym, a nie tylko wynikłą z zacofania chwilową zaszłością, przykryte zostały w medialnym odbiorze narzekaniami na „idiotów" (koalicjantów i podwładnych) w duchu „z kim ja muszę pracować" – a przecież jeśli padły szczerze, to oznaczałyby iście kopernikański tożsamościowy przewrót w obozie lewicowo-liberalnym. Tylko że Tusk, delikatnie mówiąc, nie przyzwyczaił Polaków do wypowiedzi szczerych.

KACZYŃSKI ROZDAJE KARTY

Jednak postępujący i chyba już nieodwracalny upadek Tuska sprawia, że to, co dotarło bądź nie dotarło do niego, nie ma tak wielkiego znaczenia. Istotne jest, czy możemy liczyć, że, wbrew całemu dotychczasowemu doświadczeniu, zmienił swój sposób myślenia Jarosław Kaczyński. Bo to znowu on, jak przez większość ostatniego 35-lecia, rozdaje karty.

Trudno orzekać, co dzieje się w głowie Kaczyńskiego, ale wydaje się, że doświadczenie lat 2015–2023 skłoniło go do nieznacznej tylko modyfikacji politycznego paradygmatu z czasów, gdy dzielił scenę polityczną na „Polskę liberalną" i „Polskę solidarną": że, owszem, ten podział nie zapewnia już panowania nad więcej niż połową społeczeństwa – ale wyborców brakujących do większości „Polska solidarna" może sobie dokupić, po prostu obiecując i rozdając pieniądze. Atak zarządzony na Konfederację, a zwłaszcza na jej część „korwinowską", pod hasłami walki z postulatami wolnorynkowymi z pozycji socjalnych, zdaje się wskazywać, że nadal

eprasa.pl c7cac20f2f

tak myśli, podobnie jak zapowiedź, że z partią negującą „świadczenia" PiS nie zawrze koalicji nigdy.

Nie przeceniajmy tej zapowiedzi: w polityce „nigdy", podobnie jak i „zawsze" znaczy tylko „dopóki sytuacja się nie zmieni", co starsi pamiętają jeszcze znacznie bardziej gromkie „nie ma mowy o żadnej koalicji z Lepperem". W końcu przecież niecały rok temu Jarosław Kaczyński podjął być może najtrudniejszą decyzję w całej swej karierze, by zamiast któregoś z partyjnych podwładnych poprzeć jako kandydata na prezydenta Karola Nawrockiego i pozostawić swobodę jego sztabowi wyborczemu. Prezes PiS jest politykiem zbyt wytrawnym, by nie wiedział, że Nawrocki nie będzie wobec niego tak powolny jak Andrzej Duda i że będzie, jako prezydent, równoważyć oczekiwania PiS poparciem Konfederacji, ale alternatywą była przegrana i domknięcie systemu przez Tuska – na dany moment wszystko było więc lepsze. Czy jednak, uniknąwszy najgorszego, Kaczyński nie wrócił do marzeń o samodzielnych rządach, podobnie jak Tusk wciąż liczy na „jedną listę obozu demokratycznego"?

Jeśli tak, to należy się spodziewać, że nawet zmuszony do koalicji z Konfederacją, dążyć będzie „Komendant" do jej zniszczenia, tak jak zniszczył wszystkich swoich dotychczasowych koalicjantów. Obelgę Sławomira Mentzena „polityczny gangster" można uznać za retorycznie niedopuszczalną, ale nie za nieuzasadnioną. Kaczyński, delikatnie mówiąc, nie dał się nigdy poznać jako polityk lojalny wobec swych partnerów.

Jeśli jednak ktokolwiek w Konfederacji wierzy, że demaskowaniem Kaczyńskiego można mu odebrać choćby kilka procent wyborców, to świadczy to o kompletnym oderwaniu od społecznych realiów. Żadne poważne badania nie pokazują znaczącej gotowości przepływu wyborców od PiS do Konfederacji – większym, choć też niewielkim zagrożeniem dla PiS jest partia Grzegorza Brauna. Przeciwnie, wyborcy PiS i Konfederacji są w różnym wieku, inaczej widzą świat i nie postrzegają ani liderów konkurencyjnej partii prawicowej, ani jej narracji, jako atrakcyjnej.

Dodajmy, że PiS właściwie nie ma już skąd zaczerpnąć wyborców, by znacząco powiększyć swe poparcie. Jedyny zaś elektorat, jaki ma możliwość przyciągnąć Konfederacja, to rozczarowani wyborcy obecnej władzy. Po ostatecznym podzieleniu wyborców Hołowni z PO nie jest to jednak elektorat na tyle duży, by Mentzen i Bosak mogli poważnie myśleć o samodzielnych rządach. Ale może myślą? O ile Kaczyński dźwiga bagaż doświadczeń, które mogą go uwięzić w powtarzaniu dawnych błędów, o tyle o tym, do popełnienia jakich błędów zdolni są oni, nie ma z czego wnioskować. Konfederacja nigdy nie zderzyła się jeszcze z realnym rządzeniem na żadnym poziomie, co zresztą może skłaniać Kaczyńskiego do jej lekceważenia i przekonania, że w realnej polityce, nawet jeśli koalicja okaże się niezbędna, raz jeszcze łatwo koalicjanta rozegra, rozkruszy i zmarginalizuje.

Jeśli wzajemne uszczypliwości pomiędzy PiS a Konfederacją nie przekroczą pewnego poziomu, to będzie można wierzyć, że są tylko polityczną grą

SAMODZIELNE RZĄDY? NIE MA SZANS

Rzecz w tym, że PiS też nie ma szans na powrót do samodzielnych rządów. Musiałoby dojść do całkowitego rozpadu obozu rządzącego porównywalnego z rozpadem SLD po aferze Rywina. Obecnie jednak w grę o Polskę zaangażowanych jest zbyt wiele zbyt potężnych sił – także, a może głównie, zagranicznych – żeby ponownie do takiego tąpnięcia dopuszczono.

Realne jest, owszem, pozbycie się Tuska poprzez zaoferowanie Kaczyńskiemu jego głowy w zamian za jakąś „nową Magdalenkę" czy też jakiejś dającej europejski immunitet synekury samemu Tuskowi. Kaczyński zapewne rozważa i taką możliwość. Przeorganizowanie po stronie obecnej władzy mogłoby dać mu jakiegoś słabego, uległego koalicjanta, wygodniejszego niż ideowa i nieprzetrącona jeszcze żadnymi kompromisami Konfederacja (do niedawna wskazywano w takiej roli Hołownię, ale ten chyba już żadnej roli nie odegra). Tylko czy w takim wariancie można liczyć na realne zmiany – a nie jedynie na nowy podział stanowisk i kolejną turę „rozliczeń", tylko w odwrotną stronę?

Siłą Konfederacji jest przekonanie jej wyborców, że na takie pozorowane zmiany, będące tylko kolejnym obrotem karuzeli, Mentzen i Bosak nie pójdą. Siły wystarczy zapewne na wiarygodne przedstawienie się jako tej części przyszłej prawicowej koalicji, która dopilnuje, by tym razem „układy" naprawdę zostały rozbite. Ale do ich rzeczywistego rozbicia trzeba nie tylko zwykłej większości, która i tak jest dla każdej z partii samodzielnie nie do zdobycia. Trzeba większości konstytucyjnej, bo bez zmian ustawy zasadniczej wszelkie próby naprawy państwa ponownie rozbiją się o ustrojowe tamy dla realnych zmian, które wmontowano w Polskę jeszcze w Magdalence.

Jeśli wzajemne uszczypliwości pomiędzy PiS a Konfederacją nie przekroczą pewnego poziomu, to będzie można wierzyć, że są tylko polityczną grą, oczywistą na etapie, gdy PiS walczy o zmobilizowanie i scementowanie swoich 30 proc., a Konfederacja zwraca się do wyborców, powiedzmy, niedarzących Kaczyńskiego i jego partii sympatią. Ale w istocie nie ma koalicyjnej alternatywy: sojusz z partią „niemieckiego państwa europejskiego", entuzjastyczną wobec Zielonego Ładu, migracji, Mercosur etc., jest przecież dla Konfederacji równie nie do pomyślenia, jak dla PiS.

Jeśli jednak konflikt nie jest tylko teatrem odgrywanym przed wyborcami, ale skutkiem realnych, złych emocji liderów i błędnych kalkulacji – to w przyszłość trudno patrzeć z optymizmem. Choć wynika z tego konfliktu jeden skutek pozytywny: demonstrowana niemożność porozumienia się partii buduje pozycję prezydenta Nawrockiego jako narzucającego się arbitra. A że jednocześnie wypowiedziana mu przez rząd wojna totalna wzmacnia oczekiwania, żeby prezydent wystąpił w roli odnowiciela, to na nim skupią się oczekiwania realnej zmiany, dając możliwość gry ponad ograniczonymi kompetencjami urzędu. Co i jak zamierza on w tej sprawie, tego jednak po zaledwie dwóch miesiącach sprawowania urzędu przewidywać jeszcze nie sposób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

Operacja „Celebryta” – faza zamknięcia

Piotr Semka

Na naszych oczach polityczna kariera Szymona Hołowni dobiega kresu. Trochę to trwało, ale oglądamy kiepski koniec tego przedstawienia. Oczywiście nie był to pierwszy taki przypadek. Na myśl przychodzą pseudokariery Janusza Palikota, Ryszarda Petru czy Roberta Biedronia, ale historia Hołowni jest jednak czymś wyjątkowym

W listopadzie 2019 r. na łamach „Do Rzeczy” (nr 48/2025) opisałem polityczny plan zdobycia prezydentury przez Szymona Hołownię w artykule pt. „Operacja »Celebryta«”. Podsumowałem w nim plotki dotyczące startu ówczesnej gwiazdy TVN w wyścigu o najwyższy urząd w państwie. Od tego czasu minęło prawie pięć lat. Szymon Hołownia zadeklarował właśnie, że wycofuje się z kierowania swoją partią Polska 2050. Wszystko wskazuje na to, że przyjmie jeszcze funkcję wicemarszałka Sejmu, ale skupić się ma na walce o wybór na Wysokiego Komisarza ONZ do spraw Uchodźców.

Dobiega więc końca pięcioletni eksperyment kreowania Hołowni na jednego z czołowych polskich polityków. Powoli na znaczeniu tracić będzie też jego ugrupowanie. Niezależnie od rozstrzygnięcia batalii o uzyskanie stanowiska w ONZ na naszych oczach kończy się epizod próby stworzenia nowej partii wokół celebryty. Oczywiście nie był to pierwszy taki przypadek. Na myśl przychodzą pseudokariery Janusza Palikota, Ryszarda Petru czy Roberta Biedronia, ale historia Hołowni jest jednak czymś wyjątkowym.

OD ZAKONNEGO NOWICJUSZA DO GWIAZDY TVN

W jednym z wywiadów w 2019 r. Hołownia wyznał, że w dzieciństwie zawsze fascynowały go rola księdza i podniosły charakter liturgii kościelnej. I to rzucone od niechcenia wspomnienie z perspektywy czasu urasta do symbolu. Przez kolejne dekady swojego życia Hołownia zawsze miał namiętność do skupiania na sobie uwagi i głoszenia czegoś w rodzaju dobrej nowiny. Na początku była to naprawdę Dobra Nowina Jezusa Chrystusa. Chłopak z Białegostoku dwukrotnie rozpoczynał nowicjat w zakonach. Ale próby te się nie powiodły. I to też z dzisiejszej perspektywy daje do myślenia. Najwyraźniej były w jego psychice jakieś deficyty, jakieś braki, które skłaniały doświadczonych ojców zakonnych do odradzania mu podążania szlakiem nowicjatu zakonnego.

Nie mając szans na głoszenie kazań, Hołownia zamienił swoje powołanie zakonne na rolę świeckiego kaznodziei. Konkretnie – autora ok. 20. książek, za pomocą których zdobył popularność

eprasa.pl c7cac20f2f

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

i rzeszę fanów wśród zwolenników katolicyzmu otwartego. To było trampoliną do uzyskania zaproszenia ze strony TVN, który organizował własny kanał poświęcony wierze o nazwie Religia TV. Rok później Edward Miszczak, jeden z czołowych decydentów TVN, dyrektor programowy stacji, zaproponował mu ku zaskoczeniu wielu osób rolę współprowadzącego dość błahego show „Mam talent". Warto zwrócić uwagę na ten moment, gdyż z perspektywy czasu pokazywał on pewną cechę Hołowni. Był on gotowy przyjąć rolę de facto błazna jedynie w celu zdobycia popularności i oczywiście idących za tym sporych pieniędzy. Występując u boku zawodowego showmana Marcina Prokopa, były katolicki influencer nie miał żadnych zahamowań, aby w swej konferansjerce wplatać do dialogów dwuznaczne dowcipy, często o seksualnym podtekście.

Sam Hołownia pytany o to, czy jego udział w „Mam talent" nie jest pewnym dysonansem, tłumaczył się w wywiadach, że z premedytacją przyjął gwiazdorską rolę, aby podbić popularność swoich książek i tym samym idei, z którymi chciał dotrzeć do młodej widowni. Jeśli jednak patrzeć z boku, to ta dziwaczna próba łączenia katolickiej misji z wulgaryzmem masowej popkultury pokazywała, że dla Hołowni ważniejsze są osobista kariera i pieniądze niż choćby elementarna wierność wobec deklarowanych przez siebie wartości. To tłumaczy psychologiczną gotowość Hołowni do sięgnięcia po kolejny, jeszcze wyższy poziom oddziaływania na bliźnich. Jak można się domyślać, inspiracji mógł dostarczyć przykład Wołodymyra Zełenskiego, który popularność zdobytą w roli gwiazdora ukraińskich mediów wykorzystał do autentycznej kariery politycznej, której finałem był wybór na prezydenta Ukrainy.

Wściekłość po przegranej Trzaskowskiego Donald Tusk skumulował w postaci jeszcze większej niechęci do Hołowni. Ten z kolei uznał, że dla obrony przed tą furią musi jeszcze bardziej zaznaczyć swoją autonomię

Do dziś okryte mgłą tajemnicy pozostaje to, jakie środowiska – czy to mediów, czy to biznesu, czy to wreszcie polityki – wsparły Hołownię w jego pomyśle na zostanie polskim Zełenskim. Celebryta z TVN słusznie wyczuł, że najlepszą okazją do wskoczenia na polityczny piedestał są wybory prezydenckie. Rodzaj elekcji o wiele wygodniejszy dla politycznego solisty niż wybory do parlamentu. Wokół kandydatury prezydenckiej o wiele łatwiej zbudować od zera ruch polityczny i znacznie bardziej wybaczalne są eklektyzm idei czy też formuła oddolnego pospolitego ruszenia.

Jeżeli były środowiska biznesowe, które chciały dla siebie zabezpieczenia iluś swoich interesów, to postawienie na znanego celebrytę w nadziei na jego sukces prezydencki wydawało się jak najbardziej racjonalne. Tym bardziej że Hołownia mógł zakładać, że po szoku z 2015 r., kiedy zaskoczeniem okazała się wygrana mało znanego kandydata PiS Andrzeja Dudy, tym razem cały obóz liberalny i lewicowy skupi się w drugiej turze pod hasłem: „Każdy, byle nie pisowiec".

Ale Hołownia przy szukaniu politycznego poparcia mógł też argumentować, że wobec przesunięcia nastrojów społecznych na prawo tylko kandydat o centrowym charakterze – a jeszcze lepiej ktoś kojarzący się z katolicyzmem – może przebić kandydaturę Andrzeja Dudy. Założenia tego sukcesu wydawały się niezwykle solidne. Dlaczego nie wyszło? Feralną dla Hołowni okolicznością było wycofanie przez Platformę swej kandydatki Małgorzaty Kidawy-Błońskiej i podmienienie jej na Rafała Trzaskowskiego. To wtedy prysnął czar Hołowni. Trzaskowski jest tylko o cztery lata starszy od byłego gwiazdora TVN i wykazał całkiem niezłą, jak na tamte czasy, sprawność medialno-showmańską. Ale nawet sprawność Trzaskowskiego nie pomogła wobec mobilizacji prawicy i Andrzej Duda wygrał ponownie.

Hołownia przełknął gorzką pigułkę porażki i uznał, że musi podjąć długi marsz przez polską politykę. Założył partię Polska 2050 i rozpoczął przygotowania najpierw do wyborów jesienią 2023 r. z założeniem, że sukces jego ugrupowania w wyborach do Sejmu może zapoczątkować dobrą passę, której zwieńczeniem będzie wygrana prezydencka w 2025 r. W wyborach do Sejmu Hołownia reklamował się jako trzecia siła, która wyrwie Polskę z wojny dwóch plemion i politycznego duopolu PO-PiS. Pod pewnym względem Hołowni się udało, a pod innym – nie. W koalicji z PSL osiągnął w wyborach 15 października 2023 r. dość dobry wynik 14,4 proc. Dołożył więc swoją cegiełkę do dzieła odsunięcia PiS od władzy. I w tym sensie ci, którzy łożyli na jego partię, mogli uznać, że były to dobrze wydane pieniądze, bo znienawidzony Jarosław Kaczyński został pozbawiony władzy.

eprasa.pl c7cac20f2f

Jednak wynik 14,4 proc. dla Trzeciej Drogi był w stosunku do ogromnych ambicji Hołowni rozczarowaniem. Ale sprytny chłopak z Białegostoku zdobył funkcję marszałka i znów – jak można się domyślać – mógł uznać, że z marszałkowskiego fotela łatwiej będzie zdobyć polityczną popularność, niezbędną do myślenia o wygraniu prezydentury.

Pierwsze półtora miesiąca na tym stanowisku zdawało się potwierdzać takie rachuby. Hołownia sypał dowcipami, demonstracyjnie rugał posłów PiS i był na tyle popularny, że przez pewien krótki czas elektorat „jebaćpisów" zamawiał w kinach specjalne seanse oglądania obrad Sejmu, by zaśmiewać się z żarcików trefnisia w marszałkowskim fotelu. I z perspektywy czasu można powiedzieć, że był to absolutny szczyt politycznej kariery niedoszłego nowicjusza zakonnego. Zamiast ołtarza w kościele miał substytut ołtarza w centrum polskiej polityki, którym jest Sejm. To jego słowa przykuwały uwagę całej sali. I wtedy zaczęły się kłopoty.

RÓWNIA POCHYŁA

Tylko sam Hołownia lub Donald Tusk, gdyby zdobyli się na szczerość, mogliby opowiedzieć, kiedy doszło do pierwszego krótkiego spięcia między nowym premierem a szefem parlamentu. Trzeba przyznać, że Hołownia robił wszystko, aby przez pierwszy rok być lojalnym koalicjantem. Firmował skandaliczny tryb przejęcia przez Platformę mediów publicznych i posłusznie unieważniał immunitety posłom, za których zabierała się maszyna prokuratorska ministra Adama Bodnara. Ale gdzieś, kiedyś musiało dojść do pierwszych zderzeń między Tuskiem a Hołownią. I to Hołownia przecenił swoją mocną pozycję związaną z funkcją marszałka Sejmu.

Co więcej, gdy Donald Tusk zaczął wykazywać rozdrażnienie, Hołownia, przeceniając swoje siły, nie wahał się iść na zderzenie. Kolejnym punktem przełomowym w relacjach obu panów było wyciągnięcie na jaw żenujących prób zdobycia tytułu magistra przez Hołownię na uczelni Collegium Humanum. Wiele wskazywało na to, że wyciek informacji w listopadzie 2024 r. o nielegalnych próbach uzyskania dyplomu przez Hołownię bazował na informacjach uzyskanych w śledztwie prokuratury. I wtedy Hołownia zaczął się realnie bać, że Tusk chce go skompromitować, a następnie politycznie zniszczyć.

Marszałek Sejmu uznał, że musi iść na publiczne zwarcie z Tuskiem, gdyż to zwiększy szanse jego przetrwania. Słabością Hołowni była ewidentna kiepska kondycja jego partii Polska 2050. Stało się jasne, że było to ugrupowanie absolutnie eklektyczne, ale jeszcze ciekawsza była metamorfoza ideowa Hołowni. Okazało się, że marszałek Sejmu zrzucił z siebie katolicki entourage jak zbędny, znoszony łach. Publicznie zaproponował referendum w sprawie aborcji, choć – jak wypominali to mający dobrą pamięć czytelnicy jego książek – wcześniej deklarował, że aborcja jest złem absolutnym i że kwestii życia nienarodzonych nie można poddawać zwykłemu politycznemu głosowaniu w referendum. Każdy, kto śledził publiczne wypowiedzi marszałka Hołowni, miałby spory problem ze znalezieniem zbyt wielu wypowiedzi czy przemówień po 15 października 2023 r., które nawiązywałyby do głębszej refleksji chrześcijańskiej.

Okazją do skrzyżowania szabli z obozem Platformy stała się dla Hołowni kampania prezydencka. Bardzo szybko zorientował się, że nie ma szans na przejście do II tury. Swoją frustrację wyładował na Trzaskowskim, który ponownie wystartował w prezydenckim wyścigu. Gdy kandydat KO w arogancki sposób zaproponował Karolowi Nawrockiemu debatę jeden na jeden w Końskich w neo-TVP, Hołownia odwinął się – przyjechał na organizowaną przez Republikę i telewizję wPolsce kontrdebatę na rynku w Końskich. Ten manewr, wraz z pojawieniem się Kanału Zero, zmienił logikę kampanii i de facto otworzył Nawrockiemu drogę do zwycięstwa.

Wściekłość po przegranej Trzaskowskiego Donald Tusk skumulował w postaci jeszcze większej niechęci do Hołowni. Ten z kolei ponownie uznał, że dla obrony przed furią wielkiego Donalda musi jeszcze bardziej zaznaczyć swoją autonomię, i zdecydował się na słynne wieczorne spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim w mieszkaniu Adama Bielana. Dodatkowo postanowił skupić na sobie uwagę i odmówił udziału w planach niedopuszczenia do zaprzysiężenia zwycięskiego Karola Nawrockiego. Od tej chwili Hołownia stał się już wrogiem Platformy.

W tej sytuacji lider Polski 2050 rozpoczął plan akcji ewakuacji. Wzorców dostarczył mu sam Donald Tusk, który w 2014 r., wobec pogarszającej się sytuacji swojej partii, w efektownym stylu uciekł do Brukseli. I tak pojawił się pomysł walki o stanowisko Wysokiego Komisarza ONZ do spraw Uchodźców. Idealna synekura dla kogoś, kto przed laty epatował opinię publiczną swoim udziałem w pomocy dla szkół w Afryce.

BAWCIE SIĘ SAMI

W amerykańskim filmie „Forrest Gump" tytułowy bohater na którymś z etapów swojego życia rozpoczyna wielki bieg przez Amerykę. Od pewnego momentu zaczynają przyłączać się kolejni ludzie, aż wreszcie towarzyszy mu ogromny tłum. I wtedy Gump nagle ogłasza: „Jestem zmęczony. Chyba pójdę do domu". Zaskoczony tą deklaracją tłum nagle staje i komuś wyrywa się pytanie: „No, a co my teraz mamy robić?".

Dokładnie w takiej samej sytuacji znalazła się teraz partia Polska 2050. Hołownia – ich dotychczasowy mesjasz – nagle pomachał im i powiedział, że więcej bawić się w politykę nie zamierza. Walkę o schedę po marszałku toczyć będą Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Paulina Hennig-Kloska. Do walki o schedę po Polsce 2050 chce wystartować też Ryszard Petru – polityk, który „rozłożył" już jedną partję: Nowoczesną. Ale niezależnie od tego, kto wygra, będzie to już zapewne cień dawnej siły sierot po Hołowni. Takie pomysły Pełczyńskiej-Nałęcz jak ustawa o zakończeniu zwrotu ziemi Kościołowi czy o darmowych środkach antykoncepcyjnych dla młodzieży wróżą, że w Polsce 2050 nastąpi szybki lewicowy przechył.

Ci, którzy z takim zwrotem na lewo nie będą się utożsamiali, zapewne szukać będą szczęścia albo w Platformie, albo w Konfederacji. A ich dawny lider Hołownia rozpocznie walkę o zdobycie ONZ-owskiej posady z atrakcyjną gażą ponad 170 tys. dol. rocznie. Sieroty po Polsce 2050 nie będą nawet mogły specjalnie żalić się, że zostały wystawione do wiatru. Jak mówi stare przysłowie – widziały gały, co brały. A jeśli Hołowni się poszczęści, to los sprawi, że będzie ze swoją ONZ-towską dobrą nowiną pocieszać uchodźców od Ameryki Środkowej po najdalsze kresy Oceanii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl c7cac20f2f

Szorstka przyjaźń

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Łukasz Warzecha

Są jak toczący ze sobą wojnę we „Władcy Pierścieni" dobry czarodziej Gandalf i przechodzący na stronę zła czarodziej Saruman: Zbigniew Ziobro i Mateusz Morawiecki. Tylko który z nich jest Gandalfem, a który Sarumanem, i który ostatecznie zwycięży? Od tego zwycięstwa może zależeć, kto przejmie władzę nad Śródziemiem – czyli nad PiS – po odejściu Jarosława Kaczyńskiego

Historia szorstkiej przyjaźni, by sięgnąć po określenie, którym niegdyś opisał Leszek Miller swoje relacje jako premiera z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim, między Ziobrą a Morawieckim ma już blisko dekadę. Kiedy PiS wrócił do władzy w 2015 r., Zbigniew Ziobro został ministrem sprawiedliwości i był nim niemal do końca rządów PiS (z wyłączeniem desperackiego rządu Mateusza Morawieckiego, powołanego po wyborach 15 października 2023 r.). Nie był człowiekiem spoza polityki – przeciwnie. Miał już za sobą sprawowanie urzędu najpierw wiceministra sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka, gdy ministrem był Lech Kaczyński, następnie zaś szefa resortu w pierwszym rządzie PiS, w latach 2005–2007. W 2011 r. poszedł na swoje: wyrzucony z PiS założył Solidarną Polskę, która pod koniec swojego istnienia zmieniła się w Suwerenną Polskę, a w ubiegłym roku została całkowicie połknięta przez PiS. Ziobro miał wtedy ograniczone możliwości funkcjonowania, ponieważ toczył walkę z nowotworem.

Ważne jest to, że w 2015 r. Ziobro nie był nowicjuszem w polityce, a jednocześnie wciąż miał status syna marnotrawnego, któremu Jarosław Kaczyński wybaczył zerwanie kilka lat wcześniej i zaufał na tyle, że powierzył mu kluczową funkcję w rządzie. Tymczasem obejmujący najpierw funkcję wicepremiera, a po dwóch latach premiera Mateusz Morawiecki wszedł do polityki dopiero wraz z wyborami 10 lat temu. Przez długi czas jego pozycja w PiS była słaba, bo był uznawany za element obcy i niesprawdzony. W tym aspekcie pod górkę mieli obaj oponenci – obaj cieszyli się nieufnością starego aparatu partyjnego. Różnica polegała jednak na tym, że Ziobro miał przez cały czas sprawowania rządów własną partię, której członkowie byli wobec niego bardzo lojalni i trzymali zwarty szereg. Jednocześnie jednak pozostawał poza strukturami PiS.

PIERWSZE STARCIA

Dzisiejsze podszczypywania pomiędzy obu panami mają źródło w ich konflikcie z czasów wspólnych rządów. Różnica w podejściu po raz pierwszy wyraźnie zarysowała się, gdy wybuchł konflikt wokół ustaw sądowych, zaprojektowanych w Ministerstwie Sprawiedliwości, w połowie 2017 r. Morawiecki był wówczas wciąż wicepremierem, kojarzonym raczej z obozem umiarkowanym, a więc postawą prezydenta Andrzeja Dudy, który zawetował dwie spośród trzech ustaw (o Sądzie Najwyższym i o Krajowej Radzie Sądownictwa). Kiedy dzisiaj prezes PiS otwarcie już mówi, że reforma wymiaru sprawiedliwości nie udała się przez ówczesnego prezydenta, Mateusz Morawiecki nigdy tej opinii nie powtórzył. Nie bez powodu – sprzyjał wetom.

To był jednak tylko wstęp. Gdy Morawiecki został premierem, a jego bliskim współpracownikiem jako minister spraw europejskich stał się Konrad Szymański, rząd zaczął prowadzić politykę płynięcia w głównym europejskim nurcie przy zachowaniu retorycznej odrębności. Duet Morawiecki-Szymański wychodził z założenia, że Polska i tak nie jest w stanie powstrzymać przede wszystkim polityki klimatycznej, a więc powinna do niej dołączyć, ewentualnie wynegocjowując sobie opóźnienia czy poszczególne wyłączenia. Stanowisko Ziobry i jego ludzi było radykalnie odmienne. Szczególnie zawziętym krytykiem polityki Morawieckiego w tym względzie stał się Janusz Kowalski,

eprasa.pl c7cac20f2f

analizujący koszty, które Polska ponosi z powodu systemu ETS i domagający się naszego wyjścia z tego systemu.

Obiektem ostrego sprzeciwu już samego Zbigniewa Ziobry była akceptacja przez Polskę mechanizmu warunkowości, czyli uzależniania wypłat środków unijnych od przestrzegania w danym kraju swobodnie zdefiniowanych zasad praworządności. Mateusz Morawiecki jako premier podpisał się pod konkluzjami Rady Europejskiej z 10 i 11 grudnia 2020 r., które zakładały stworzenie tego właśnie mechanizmu.

Kolejnym polem sporu były działania rządu w trakcie COVID. Podczas gdy Mateusz Morawiecki karnie występował w maseczce i ogłaszał kolejne restrykcje, politycy Solidarnej Polski sygnalizowali co chwila, że ograniczenia idą zbyt daleko i że się im nie podobają. Wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł z SP, kandydując w 2021 r. na prezydenta Rzeszowa (po rezygnacji Tadeusza Ferenca ze stanowiska), prowadził agitację na ulicy, nie nosząc maseczki. W tej sprawie zrzekł się potem immunitetu i zapłacił mandat.

POZORNY ROZEJM

Uspokojenie, pozorne, wzajemnych relacji nastąpiło po wybuchu wojny Rosji z Ukrainą, szczególnie przed wyborami, gdy obie strony konfliktu jechały na jednym wózku. Poza tym Zbigniew Ziobro musiał wtedy na dłuższy czas zniknąć z życia politycznego w związku ze zdiagnozowanym u niego rakiem przełyku. Niedługo po przegranych wyborach, właśnie w czasie nieobecności lidera, zapadła decyzja o włączeniu wtedy już Suwerennej Polski do PiS. Ten strategiczny ruch miał znaczenie dla dalszego przebiegu rywalizacji między Ziobrą a Morawieckim. Pozornie osłabiał tego pierwszego, bo pozbawiał go własnego bytu politycznego, ale zarazem Ziobro wprowadzał do aparatu partii grupę wciąż lojalnych wobec siebie, bardzo zdyscyplinowanych osób, stanowiących mocną frakcję przeciwną frakcji Morawieckiego. Otwierał sobie również – przy założeniu odzyskania sił po wyczerpującej chorobie – drogę do walki o dominację w partii w obliczu nieuchronnego bliskiego końca ery Jarosława Kaczyńskiego.

Wybory 2023 r. powinny były stanowić dla PiS kubeł zimnej wody, ale tak się nie stało, co było świadomą decyzją prezesa. Ten ogłosił, że żadnego bicia się w piersi ma nie być. Ale obecny spór między Ziobrą a Morawieckim trzeba jednak widzieć w tych właśnie kategoriach – jego tłem są i wzrost notowań Konfederacji, i znaczący udział jej wyborców w elektoracie Karola Nawrockiego, i generalny zwrot na prawo, dostrzegalny nie tylko w polskiej polityce.

Problem Mateusza Morawieckiego polega na tym, że jako premier dawał twarz polityce dzisiaj bardzo niepopularnej w rosnącej części prawicowego elektoratu i powodującej, że część wyborców PiS poszukała alternatywy w Konfederacji albo u Grzegorza Brauna. To Morawiecki stał za zgodą na kolejne elementy Zielonego Ładu, za restrykcjami covidowymi i wreszcie za skrajnie proukraińską postawą Warszawy. Na dodatek firmował fatalnie pomyślany Polski Ład. Wszystkie te kwestie są dla niego olbrzymim obciążeniem. Są również często wyciągane w wewnątrzpartyjnych dyskusjach i dla wielu członków PiS stanowią powód, dla którego były premier nie powinien już nigdy objąć ponownie tego stanowiska. Morawiecki to doskonale rozumie, dlatego bardzo szybko po utracie władzy zaczął prowadzić przemyślaną kampanię na rzecz przekonania publiczności, że Morawiecki w latach 2024 i 2025 to jakiś inny Morawiecki niż ten sprawujący władzę w latach 2015–2023. Elementem tej kampanii jest prezentowanie siebie jako głównego oponenta polityki klimatycznej UE, co jest zwyczajnie sprzeczne z faktami. Podobnie Morawiecki opowiada o radykalnych obniżkach podatków, zapominając dodać, że za jego rządów wprowadzono kilkanaście nowych danin. Udaje również, że nie miał nic wspólnego z objęciem Polski procedurą nadmiernego deficytu przez Komisję Europejską, podczas gdy ta decyzja wiązała się z zaprojektowanym przez niego i wykonanym w większej części także przez jego rząd budżetem na rok 2023. O innych niewygodnych dla siebie tematach, takich jak niekorzystne dla Polski i Polaków absurdy, zawarte na liście warunków i kamieni milowych KPO, były szef rządu po prostu milczy.

Jednocześnie jest niezwykle aktywny w sferze wizerunkowej. Nieustannie pojawia się w mediach społecznościowych, bierze udział w dyskusjach i debatach. Tutaj zdobył zdecydowaną przewagę nad wyłączonym z powodów zdrowotnych Ziobrą.

Ten ostatni miał jednak dopiero co swoją chwilę triumfu, gdy stanął – czy może raczej: został postawiony – przed sejmową komisją śledczą do spraw Pegasusa. To może być dla Ziobry punkt zwrotny. Były lider Suwerennej Polski rozumie zresztą doskonale, że w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy jego oponent zyskał wizerunkową przewagę i częściowo skutecznie wykreował swój wizerunek jako faktycznie stojącego w opozycji do swoich własnych decyzji z okresu sprawowania władzy. Dlatego Ziobro wie, że musi zacząć przypominać o „dokonaniach" byłego premiera.

We wrześniu Morawiecki uderzył w Ziobrę podczas wywiadu w Kanale Zero. Zaatakował go z powodu jego działań w wymiarze sprawiedliwości, aluzyjnie stawiając nawet tezę, że to one były winne faktycznej przegranej PiS w 2023 r. Na odpowiedź nie musiał czekać: Ziobro zadeklarował, że jest gotowy do debaty z Morawieckim. Do takiego spotkania jednak nie dojdzie, bo pomysł, najdelikatniej mówiąc, nie wzbudził entuzjazmu u Jarosława Kaczyńskiego, uznającego, że naruszałoby to spójność partii.

DWA SKRZYDŁA

To zresztą pokazuje, jaka w istocie jest wewnętrzna konstrukcja PiS. Ugrupowanie, które oficjalnie twierdzi, że obejmuje szerokie spektrum poglądów, nie jest w stanie dopuścić do debaty o dwóch wizjach własnej strategii. Znamienne.

Nawet jeśli na razie otwartego starcia pomiędzy oboma panami nie będzie, to w żaden sposób nie kończy to rywalizacji pomiędzy nimi. Ta nieuchronnie będzie się rozkręcać w miarę tego, jak Jarosław Kaczyński – dzisiaj lat 76 – będzie tracił kontrolę nad partią. Ten spór warto widzieć w jego rzeczywistym wymiarze. Ma on, owszem, swój wątek personalny, bo politycy są tylko ludźmi, mają swoje emocje, sympatie i antypatie. Jednak przede wszystkim to spór między dwoma różnymi podejściami do polityki czy obecności w UE. O Morawieckim, który sam nazywa się „solidarystą", można powiedzieć, że w PiS reprezentuje skrzydło unijno-socjalistyczne. Ziobro z kolei to frakcja narodowo-eurosceptyczna. Ten pierwszy pogląd jest zdecydowanie bliższy prezesowi. Jednak prezes jest u końca swojej kariery.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

Z dr. Bartoszem Lewandowskim, adwokatem
rozmawia Ryszard Gromadzki

Zakładnicy trzeciej władzy

RYSZARD GROMADZKI: Patrząc z perspektywy przeciętnego Polaka, trudno oprzeć się wrażeniu, że system wymiaru sprawiedliwości w naszym kraju koncentruje się na porachunkach obecnej władzy z opozycją. Czy to nie objaw głębokiej dysfunkcyjności tego systemu?

DR BARTOSZ LEWANDOWSKI: Jeżeli chcemy rozmawiać o dysfunkcyjności systemu wymiaru sprawiedliwości, to spójrzmy na niego nie z perspektywy polityków, ekspertów czy osób, które biorą udział w debacie publicznej, narzucając często określoną narrację, lecz z perspektywy obywateli. Wyniki ostatniego sondażu dotyczącego zaufania do sądów wskazują wyraźnie, że obywatele wyrażają w nim bardzo złe zdanie o polskich sądach. Poziom zaufania do sądów jest dramatycznie niski i jedynie co trzeci Polak ufa wymiarowi sprawiedliwości (ok. 36 proc.). To spadek o ponad 6 punktów procentowych w ciągu roku. O 10 p.p. wzrósł od 2024 r. odsetek osób, które „zdecydowanie" nie ufają sądom w Polsce. Te badania pokazują, że jest jakiś wyraźny rozdźwięk pomiędzy społeczeństwem a sędziami. To pokazuje, że Polacy widzą, iż sędziowie nieustannie zajmują się sobą, a nie służeniem obywatelom, co skutkuje chociażby destabilizacją postępowań, które są prowadzone, a także godzą w porządek państwa. Co do dysfunkcyjności sądownictwa, o którą pan pyta, to zgadzam się, że system sądowniczy w Polsce nie funkcjonuje właściwie. Istnieje, szczególnie w dużych ośrodkach, ogromny problem z przewlekłością postępowań. Na przykład w sądzie w Gdańsku jest sytuacja, że terminy rozpraw w sprawach frankowych wyznaczane są nawet na 2031 r.

Czy przewlekłość postępowań to rzeczywiście główny problem polskich sądów? Czy ludziom bardziej nie doskwiera deficyt sprawiedliwości, z którym spotykają się w sądach, i uwikłanie wielu sędziów w politykę lub lokalne układy?

Uważam, że z punktu widzenia wielu Polaków oczekiwanie przez lata na rozstrzygnięcie swojej sprawy w sądzie stanowi bardzo istotny problem. A dodatkowo brak pewności, że jakiś sędzia w sądzie wyższej instancji nie zakwestionuje statusu innego sędziego, bo ten mu się nie podoba, na pewno nie buduje zaufania do sądów. Mam doświadczenia ze swojej praktyki, w której zagraniczni przedsiębiorcy – żywo zainteresowani wejściem na polski rynek

Radykalni sędziowie wspierający rząd są zorientowani na ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl c7cac20f2f

– byli zdumieni, ile trwa rozpoznawanie sprawy przed sądem gospodarczym. To na pewno nie buduje zaufania do naszego wymiaru sprawiedliwości, w szczególności gdy słychać, że jeden sąd kwestionuje status innego sądu. Państwo polskie na tym po prostu traci. Każdy system prawny ma lepsze i gorsze strony. Nie ma idealnego. Natomiast my jesteśmy, określmy to, w fazie wojny pozycyjnej pomiędzy sędziami. Jest grupa radykalnych sędziów wyraźnie wspierających obecny rząd, zorientowanych na ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka i jego poprzednika Adama Bodnara, którzy nie przyjmują do wiadomości, że dla przeciętnego obywatela to, czy dany sędzia został powołany przez Andrzeja Dudę, Bronisława Komorowskiego czy Aleksandra Kwaśniewskiego, nie ma praktycznie żadnego znaczenia. Moje doświadczenie pokazuje, że dla obywateli liczy się to, czy sędzia jest przygotowany, sprawnie rozpoznaje sprawę, stara się zrozumieć argumenty stron i dba o kulturę na sali rozpraw. To jest pewna fałszywa narracja, którą narzucono w Polsce, jakoby przeciętny obywatel brał poważnie pod uwagę to, czy sędzia, który rozpoznaje jego sprawę spadkową, o zapłatę czy o rozwód był powołany przez KRS po 2017 r. czy wcześniej.

A więc to wirus upolitycznienia trwale destabilizuje polskie sądownictwo.

Oczywiście, i mówię to z przykrością jako absolwent Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury. Obywatele są obecnie zakładnikami określonych grup interesów. A ściślej rzecz ujmując, określonych grup politycznych i zawodowych, które bronią swoich interesów. Cały „szwindel" związany z narracją o „przywróceniu praworządności" sprowadza się w gruncie rzeczy do tego, że pewne instytucje w państwie polskim zostały obsadzone przez ludzi, którzy nie są z określonego układu polityczno-zawodowego. Bo jak inaczej tłumaczyć to, co w ostatnich dniach powiedział minister Waldemar Żurek, że co prawda przepisy dotyczące wyboru sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa się nie zmienią, ale nowa KRS, w której część sędziowska ma już w przyszłym roku być wybrana przez Sejm przez obecną większość parlamentarną, to już będzie legalny KRS, a nie „neo-KRS". Podobnie mówią publicznie przedstawiciele np. Stowarzyszenia Iustitia w kwestii wyboru sędziów do Trybunału Konstytucyjnego, który znowu będzie Trybunałem, a nie jakimś nieuznawanym organem państwa. To o co tutaj chodzi z tym „przywróceniem praworządności?". Wychodzi na to, że „przywrócenie praworządności" to taki instrument narracyjny służący do okładania przeciwników politycznych, który służy jednocześnie do przekonywania społeczeństwa do swoich racji, a w gruncie rzeczy sprowadza się do tego, kto dokona wyboru składu danego organu. Jeżeli przepisy się nie zmieniają – a od ośmiu lat słyszymy, że są „niekonstytucyjne", choć Trybunał stwierdził coś innego – to dlaczego nagle wybór sędziów przez Sejm tej kadencji jest w porządku, a przez poprzedni już nie. Przecież to jest nielogiczne. Kiedy już skład KRS będzie ukształtowany po wyborach na wiosnę 2026 r., to założę się, że sędziowie dotychczas kwestionujący tę instytucję zaczną mówić, że nie ma już żadnego problemu, że orzecznictwo europejskich trybunałów zostało zrealizowane, a Polska jest znów „państwem praworządnym". Podobnie było w przypadku prokuratury, która jest oczywiście „apolityczna" i „niezależna", o czym świadczą kolejne skandaliczne umorzenia postępowań wobec prominentnych polityków obecnej władzy oraz ściganie polityków opozycji pod byle pretekstem. To narracja skrajnie nieuczciwa wobec obywateli.

Niektórzy sędziowie przyznawali się do tego, że byli autorami pomysłu, aby „głodzić" finansowo Polskę na szczeblu unijnym, co nosi znamiona działania o charakterze antypaństwowym

Myślę, że większość Polaków chyba już przejrzała grę związaną z „przywracaniem praworządności" i ma pełną świadomość, że to hucpa, która miała pomóc obozowi Tuska odbić Polskę z rąk prawicy. Ale przecież kryzys wymiaru sprawiedliwości nie zaczął się po wyborach 2023 r. Jego źródła sięgają głębiej. Problemu nie rozwiązała też reforma podjęta przez PiS. Co w pana ocenie było praprzyczyną paraliżu, który mamy w polskim sądownictwie?

Sądzę, że praprzyczyną sporu wokół sędziów czy – szerzej rzecz ujmując – systemu wymiaru sprawiedliwości był fakt, że środowisko sędziowskie przez trzy dekady, od 1989 r., wyrastało w przekonaniu, że nie ma nad nimi żadnej demokratycznej kontroli.

Czy wobec tego strategicznym błędem, u progu tzw. transformacji ustrojowej, nie była rezygnacja z odcięcia się skalpelem od komunistycznej schedy w wymiarze sprawiedliwości i postawienie na wybieralność sędziów w wyborach? Taki krok pozwoliłby wybić się najlepszym sędziom, a poza tym długofalowo budował zaufanie obywateli do systemu sądowniczego.

Uważam, że brak oczyszczenia środowiska sędziowskiego był błędem założycielskim III RP. De facto w składzie funkcjonującej od 1990 r. Krajowej Rady Sądownictwa zasiadali w większości sędziowie obciążeni współpracą z reżimem komunistycznym. Wielu miało legitymacje PZPR czy partii satelickich. W trakcie pierwszej kadencji KRS powołano 3 tys. nowych sędziów. Oznaczało to, że do 1994 r. liczba sędziów w Polsce się podwoiła. O ile rotacja sędziów w dużych miastach była większa, o tyle w mniejszych ośrodkach siłą rzeczy „utwardzały się" skostniałe struktury, przypominające towarzysko-feudalne zależności. W jednym z wywiadów mówił o tym nawet sam prof. Adam Strzembosz, który był zdumiony, jak „skostniały" i trwały był to układ. Mechanizm, który po 1990 r. utrwalił się w polskich sądach, opierał się więc na kooptacji nowych osób bez nadzoru ze strony większości demokratycznej. W efekcie każdy minister sprawiedliwości był traktowany przez sędziów jako element wrogi. Pamiętajmy, że sędziowie z natury rzeczy powinni myśleć też o tym, jak usprawnić sądownictwo, żeby służyło ono obywatelom. Tymczasem każda krytyka funkcjonowania sądownictwa praktycznie spotykała się z zarzutami o naruszanie „niezależności" sądów i niezawisłości sędziów. Nie znaczy to oczywiście, że całe środowisko sędziowskie w Polsce jest jednolite, a głosy sędziów ze środowiska Iustitii czy Themis to głos całego środowiska sędziowskiego. To oczywista nieprawda. Większość sędziów – jak w każdym zawodzie – stara się nie angażować.

eprasa.pl c7cac20f2f

Jesteśmy więc skazani na pat bez perspektywy dobrego rozwiązania?

W idealnym świecie propozycje składane przez Ministerstwo Sprawiedliwości powinny być konsultowane z szerokim środowiskiem sędziowskim. Przy obecnej polaryzacji i sporze, w który zaangażowanych jest wielu sędziów, jest to bardzo trudne. Każdy minister sprawiedliwości, który będzie próbował w jakimś stopniu reformować sądy, będzie uderzał w interesy bardzo konkretnych osób, które w tym środowisku działają. Dla mnie najistotniejszym instrumentem zmian w systemie sądowniczym, co w Polsce dziś bardzo dobrze widać, jest presja opinii publicznej. To sami obywatele, poprzez nagłaśniane przypadki niesprawiedliwości i pokrzywdzenia przez wymiar sprawiedliwości, powodują, że środowisko sędziowskie musi zmierzyć się z problemem i szukać sposobu jego rozwiązania. Dlatego tak istotna jest rola mediów, a w tym mediów społecznościowych.

Widzi pan skłonność do tego rodzaju autorefleksji wśród sędziów?

Tak. Nie chcę demonizować sędziów. To nie jest wyłącznie tak, że jest to „kasta", grupa totalnie skażona zawodowym egoizmem. Jest bardzo wielu uczciwych, ciężko pracujących sędziów, którzy starają się sprawiedliwie orzekać w prowadzonych sprawach. Oni często są ofiarami negatywnego odbioru społecznego tej grupy zawodowej. Sędziowie, mając świadomość społecznej dezaprobaty dla orzeczeń czy zachowań, które realnie wyrządzają krzywdę i są zwyczajnie niesprawiedliwe, muszą wyciągać z tego wnioski, i często je wyciągają. Są też niestety przykłady zupełnie przeciwne, jak niedawna uchwała Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Najwyższego, która ma destrukcyjny skutek dla dziesiątek tysięcy obywateli. Uchwała de facto skutkowała uznaniem za „nieistniejące" orzeczenia Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, które zapadały wskutek rozpoznania skarg nadzwyczajnych. Skarga nadzwyczajna pozwoliła naprawiać krzywdę spowodowaną prawomocnymi i niewzruszalnymi orzeczeniami sądów. Była dla obywateli ostatnią deską ratunku w wielu sprawach, takich jak np. niemożliwości zbycia majątku z uwagi na funkcjonowanie dwóch sprzecznych orzeczeń spadkowych, czy ogromnego zadłużenia wynikającego z drobnej chwilówki zaciągniętej przez emerytkę, która miała do zapłaty ogromny dług spowodowany naliczeniem odsetek przez firmy lichwiarskie. Skutki tego orzeczenia mogą być dramatyczne dla dziesiątek tysięcy ludzi, bo teraz np. firma pożyczkowa może podobnie zlecić komornikowi egzekucję z powołaniem się na uchwałę SN. To potęguje chaos i wzmaga niechęć do sądów.

Czy ten bałagan da się jeszcze posprzątać bez zastosowania jakiejś opcji zero?

Mamy dwa rozwiązania. Po pierwsze, możemy rozpocząć poważną debatę na temat nowego ustroju sądów w Polsce i uczciwie przedstawić Polakom, jakie są rozwiązania na stole w obszarze zmiany konstytucji. Sędziowie niekoniecznie muszą być powoływani przy udziale KRS. Na przykład w Stanach Zjednoczonych część sędziów jest wybierana przez obywateli w wyborach lokalnych. Sędziowie Sądu Najwyższego są powoływani przez prezydenta za zgodą Senatu. W Niemczech w wielu landach sędziów powołuje minister sprawiedliwości, w czym – notabene – TSUE jakoś problemu nie widział. Musimy pamiętać, że podstawowym warunkiem niezależności i niezawisłości sędziego jest fakt, iż jest on nieodwołalny ze swego urzędu. To daje sędziemu gwarancję, że będzie orzekał nadal, bez względu na konsekwencje, które mogą go spotkać w związku z wydanym orzeczeniem. Być może nadszedł już czas, aby to Polacy zdecydowali, czy chcą, aby sędziowie byli nadal grupą zamkniętą czy może wybierani w bardziej demokratycznej procedurze. Druga opcja, po którą być może zdecyduje się sięgnąć jeden z kolejnych ministrów sprawiedliwości mający do tego poparcie społeczne, wiąże się z „wyzerowaniem" działalności destrukcyjnej dla państwa. W momencie, w którym mamy do czynienia z sytuacją braku porozumienia wśród sędziów, wydawaniem orzeczeń destabilizujących państwo polskie i godzących w interes obywateli, to być może kolejny rząd powie „dość". I np. wprowadzi, tak jak w systemie niemieckim, odpowiedzialność karną sędziów za niezastosowanie przepisów ustawy, przez co wydano orzeczenie na niekorzyść jednej ze stron. Pamiętajmy, że w Niemczech sędziowie nie mają też immunitetów. Społeczeństwo oczekuje sprawnych sądów. Nie można tolerować sytuacji, w której jeden sędzia siedzi w pokoju z drugim i odmawia orzekania razem z nim, bo twierdzi, że ten drugi sędzia został powołany w procedurze, która mu się nie podoba, choć chwilę wcześniej – gdy ten drugi był na delegacji – wspólnie orzekali i nie było żadnego problemu.

Wierzy pan, że politykom wystarczy determinacji i wyobraźni, żeby takie zmiany wprowadzić? Nie obawia się pan sytuacji, że po ewentualnym zwycięstwie wyborczym obecnej opozycji zacznie ona „przywracać praworządność" po swojemu, szukać rewanżu, a obywatele będą nadal cierpieli z powodu deficytu sprawiedliwości w polskich sądach?

Dużo zależy od mądrości nowej większości parlamentarnej i ministra sprawiedliwości. Ostatnie lata pokazały, że niestety część sędziów podejmowała działalność antypaństwową, godzącą w suwerenny porządek państwa polskiego. Przecież niektórzy sędziowie przyznawali się do tego, że oni byli autorami pomysłu, aby „głodzić" finansowo Polskę na szczeblu unijnym albo nakładać sankcje na własny kraj, co nosi znamiona działania o charakterze antypaństwowym. Jeżeli kolejny rząd, np. suwerennościowy, dojdzie do przekonania, że tego rodzaju aktywność jest wymierzona przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej i w związku z tym należy zastosować wszelkie konsekwencje, to być może to zrobi. W państwie nie może funkcjonować grupa funkcjonariuszy publicznych, która de facto wypowiedziała temu państwu posłuszeństwo, działając wbrew jego interesom. I tu nie chodzi o żadną niezawisłość – bo nikt nie chce karać sędziego za to, czy kogoś uniewinnił czy skazał albo wydał taki, a nie inny wyrok w sprawie o rozwód – ale o to, że nie uznaje ustawy i regulacji w obszarze funkcjonowania państwa, które Trybunał uznał za zgodne z konstytucją. To sytuacja nie do zaakceptowania, szczególnie wobec zagrożeń międzynarodowych, które dziś Polski dotyczą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Bartosz Lewandowski
– adwokat, partner zarządzający kancelarii Khanzadyan Lewandowski i Partnerzy oraz współpracownik Centrum Interwencji Procesowej Ordo Iuris.

eprasa.pl c7cac20f2f

Arkadiusz Siwko

Polska a wojna przyszłości

Nie dotrzymujemy kroku w tworzeniu systemów przeciwrakietowych i przeciwdronowych, co może zaburzyć naszą możliwość dominacji w powietrzu. A bez niej możemy nie przetrzymać potencjalnego ataku, nie mówiąc o możliwości wykonania kroków odwetowych

Obserwując przebieg wojny na Ukrainie, rodzi się naturalne pytanie: Czy Polska, zbrojąc się obecnie na dużą skalę, zwraca uwagę na odpowiednie proporcje pomiędzy przygotowaniem się do prowadzenia tradycyjnej wojny a przygotowywaniem się do wojny przyszłości – takiej, która już uwidocznia się u naszych wschodnich sąsiadów?

Wojna na Ukrainie zmieniła dotychczasowy pogląd na system walki. Najważniejsze pod względem strategicznym państwa, na czele z USA, Niemcami i Wielką Brytanią, właśnie kreują nowe programy obronne dostosowane do wojny przyszłości. Co zatem pokazuje nam trwająca wojna na Ukrainie?

POTRZEBA DOMINACJI W POWIETRZU

Wszystkie wnioski płynące z teatru wojennego na Ukrainie sprowadzają się do jednego: kto ma przewagę w powietrzu, ten kontroluje działania wojenne. I właśnie zawieszenia osłony powietrzno-satelitarnej przez USA najbardziej obawiają się Ukraińcy.

Obrona przeciwrakietowa, przeciwlotnicza, przeciwdronowa, a zarazem ochrona wojska i infrastruktury to absolutny priorytet sprzętowy na teraz. USA oraz Europa postawiły na system przeciwrakietowy średniego zasięgu Patriot, który sprawdza się już na Ukrainie. Polska także inwestuje w ten system. Mamy jednak problem z liczbą zamówionych baterii oraz zapasem pocisków do nich. Ciekawe, że Niemcy budują właśnie u siebie fabrykę pocisków do patriotów. A my skąd będziemy je brali?

Mamy szkielet obrony powietrznej krótkiego zasięgu NAREW i nie wiadomo, kiedy zostanie zakończony. Ponadto nie zdecydowaliśmy się wciąż na izraelską Żelazną Kopułę, która naocznie sprawdza się w realnej wojnie.

Kolejnymi sprawami są dronizacja i robotyzacja. Własna armia dronów to armia przyszłości. Chodzi o drony w ogromnej liczbie – i te małe, tworzące chmurę dronową, i te duże mogące operować na dalekie odległości, zdolne do przenoszenia znacznej ilości uzbrojenia, w tym rakiet, zdolne do przeprowadzenia ataku na centra dowodzenia i ataku odwetowego. Z kolei tanie małe drony są zdolne do ataku i zakłócania działań przeciwnika, w tym niszczenia jego dronów.

Dronizacja i robotyzacja to efektywność, redukcja kosztów i strat osobowych.

Produkcja dronów jest znacznie tańsza niż tradycyjnych środków rażenia. Jak pokazuje wojna na Ukrainie, drony mogą zdecydowanie przeobrazić sposób prowadzenia wojny. Latają nad terytorium wroga, atakują lotniska, docierają do fabryk czołgów, magazynów, centrów dowodzenia, stanowisk startowych obrony powietrznej, baz floty, a nawet instalacji broni jądrowej.

Po ostatnim wtargnięciu rosyjskich dronów w polską przestrzeń powietrzną opinia publiczna poczuła się zaniepokojona. Wszyscy namacalnie zorientowali się, że stanowią one realne niebezpieczeństwo. A jak wiadomo, Rosja, podobnie jak Ukraina, posiada je w dużej liczbie. Polski resort obrony zadeklarował poważne zakupy w tym względzie i powołał specjalne dowództwo wojsk dronowych. A my potrzebujemy flotylli dronowej. Już, teraz, na cito. Można nawet otwarcie powiedzieć, że ze względu na długość naszej wschodniej granicy powinniśmy mieć największą armię dronową w Europie. Zatem nie tylko być potęgą czołgową. To zdecydowanie nie wystarczy na współczesnym teatrze wojennym.

Wygląda na to, że niedługo będziemy posiadali zdolności produkcyjne chmury małych dronów bojowych. To krok we właściwym kierunku. Jednak to nie wystarczy. Polska nie produkuje dużych strategicznych dronów. Na początku pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę zakupiliśmy pewną liczbę tureckich dużych dronów Bayraktar. Są one już na stanie Wojska Polskiego. Jednak w tym czasie okazało się, że po dwóch latach

eprasa.pl c7cac20f2f

nie odgrywają już na Ukrainie takiej roli, jaką odgrywały na początku. Po prostu Rosja znalazła na nie antidotum. Pewnie dlatego obecnie polski rząd zamówił w grudniu 2024 r. w USA nowe drony dalekiego zasięgu MQ-9B Sky Guardian. Nie ma powodów, by Polska sama nie posiadała możliwości produkcji dużych strategicznych dronów, chociażby we współpracy technologicznej z innymi państwami NATO. Ważne, by uruchomić ten proces szybko, żeby na czas zbudować pełnowymiarową armię nowoczesnych dronów bojowych.

Oprócz tego ważne jest także posiadanie zdolności zakłócania pracy dronów przeciwnika. Na tym polu Rosjanie są technologicznie sprawni i trzeba będzie nie lada wysiłku naukowego, by sprostać temu wyzwaniu. A systemy antydronowe są nam po prostu niezbędne.

SATELITY

Bez dokładnego zobrazowania nie tylko pola walki, lecz także terytorialnej głębi strategicznej nie będziemy mogli skutecznie przewidywać ruchów wroga i reagować na nie. Gdyby Ameryka zawiesiła swoją pomoc wojskową dla Ukrainy, najbardziej bolesną stratą byłoby zaprzestanie przekazywania danych satelitarnych. To m.in. dzięki temu wsparciu satelitarnemu, z którym wiąże się także udoskonalona sieć łączności, Ukraina wciąż pozostaje w wojnie. Chodzi o system Starlink. To także korzystanie z danych wysyłanych przez samoloty wczesnego ostrzegania.

Powinniśmy mieć największą armię dronową w Europie

Większość systemów wojskowych opiera się na danych satelitarnych, dlatego brak dostępu do nich może skutkować całkowitą nieefektywnością tych systemów. Dla Polski satelity to podstawa przygotowania do wojny. Bez możliwości głębokiego wielowarstwowego rozpoznania, na całą głębokość potencjalnego przeciwnika, czyli realnie od obwodu królewieckiego do Uralu, nie będziemy w stanie przygotować skutecznej reakcji. Nie mówiąc o zdolności do uderzeń uprzedzających.

Polska zamówiła satelity w koncernie Airbus oraz mikrosatelity w polskiej firmie Creotech, lecz żadne z nich jeszcze nie działają. Mamy także aerostaty obserwacyjne, ale nie przechwytują one całego ruchu w powietrzu. Na dzisiaj jesteśmy zdani na dane satelitarne dostarczane od innych. To najbardziej zagraża naszemu bezpieczeństwu. Można także mieć poważne wątpliwości, czy zamówiliśmy wystarczającą liczbę satelitów i samolotów wczesnego ostrzegania. Ze względu na długość naszej wschodniej granicy oraz głębię terytorialną Rosji.

ODTWARZANIE SPRZĘTU I AMUNICJI

Istotną kwestią jest zapewnienie systemom wojskowym ciągłego odtwarzania zdolności do działania. Podczas działań wojennych nie unikniemy zniszczenia sprzętu, dlatego jednym z priorytetów powinno być odtwarzanie systemów walki – produkcja sprzętu i amunicji.

Wreszcie podjęliśmy działania w tej kwestii. Podpisana została umowa z angielskim koncernem BAE Systems. Na jej podstawie zaczynamy produkcję amunicji artyleryjskiej, która powinna zaspokoić nasze potrzeby w tym względzie. Także przygotowujemy się do serwisowania i produkcji czołgów koreańskich w spolonizowanej wersji. To już jakieś podstawy rodzimej produkcji wojskowej.

CYBERPRZESTRZEŃ I SZTUCZNA INTELIGENCJA

Polska już jest przedmiotem nieustannych ataków cybernetycznych na dużą skalę, a w przypadku realnych działań wojennych ta skala będzie jeszcze większa. To szalenie niebezpieczna rzeczywistość. Ataki cybernetyczne na naszą infrastrukturę krytyczną oraz sieci komunikacji i łączności mogą wprowadzić niewyobrażalny chaos i dezorientację. Nie mówiąc o zdalnym wyłączeniu instalacji energetycznych. Czy mamy przekonanie, że Polska robi naprawdę wszystko, by się przed tym uchronić? Polska nawet nie przygotowała wdrożenia dyrektywy NIS2 Unii Europejskiej dotyczącej cyberbezpieczeństwa, a projekt ustawy o cyberbezpieczeństwie leży odłogiem w biurach ministerialnych i KPRM. Jak wiadomo, mamy pilniejsze

eprasa.pl c7cac20f2f

Bezzałogowa latająca platforma FlyEye jest systemem zaprojektowanym do misji rozpoznawczych i obserwacyjnych
FOT. DWOT

sprawy do załatwienia, jak np. regulacje o tzw. mowie nienawiści.

Następna kwestia to sztuczna inteligencja. W procesie prowadzenia wojny oznacza ona przyspieszenie analizy danych i decyzji w czasie rzeczywistym. Współczesny teatr wojenny nie będzie mógł się obyć bez wykorzystania sztucznej inteligencji na dużą skalę. Chodzi o jej wykorzystanie dla udoskonalenia działania systemów wojskowych. Sztuczna inteligencja będzie kontrolować flotylle dronów i systemy walki elektronicznej. Nie można dopuścić do zaniechania w tej kwestii. Czy mamy przekonanie, że oto Wojsko Polskie przygotowuje na ogromną skalę systemy i specjalistów w zakresie sztucznej inteligencji, a nasze szkoły wojskowe prześcigają się w wynikach pracy wydziałów w tej dziedzinie? Przejrzyjcie, proszę, spis wydziałów naszych szkół wojskowych, w tym naszej perły – Akademii Sztuki Wojennej.

CO ROBIĄ INNI?

Na początku 2025 r. prezydent Donald Trump ogłosił zamiar stworzenia tarczy antyrakietowej nowej generacji wzorowany na Żelaznej Kopule strzegącej Izrael. Amerykańska Żelazna Kopuła ma chronić Stany Zjednoczone przed pociskami balistycznymi, hipersonicznymi, zaawansowanymi pociskami manewrującymi oraz innymi zagrożeniami z powietrza. Ponadto Trump zapowiedział kontynuacje prac nad pierwszym na świecie myśliwcem szóstej generacji, zdolnym do podejmowania decyzji bojowych.

USA i Wielka Brytania pracują także nad bronią laserową zdolną skutecznie strącać bezzałogowe statki powietrzne. USA już użyły tej broni, która wkrótce może zdominować pole walki. Waszyngton oficjalnie przyznał, że wysłał już za granicę broń laserową, by chroniła żołnierzy przed dronami. Mówi się o „wysokiej skuteczności" tej broni. To było pierwsze w historii wojskowości rozmieszczenie systemu wykorzystującego energię ukierunkowaną do obrony powietrznej. Nowa broń, czyli Palletized High Energy Laser (P-HEL), opracowana została przez amerykańskiego producenta z sektora obronnego BlueHalo.

Alternatywą lub uzupełnieniem jest opracowany właśnie teraz brytyjski system broni laserowej Dragon Fire. Może on strącać drony z pomocą wiązki światła, która jest tysiące razy tańsza od rakiety. Dziesięć sekund emisji lasera to koszt mniej więcej 10 funtów.

W 2024 r. Niemcy przyjęły narodową strategię dla swojego przemysłu obronnego. Chcą zbudować największy dron w Europie. Miałby on być alternatywą dla amerykańskich dużych bezzałogowców. Niemcy podkreślają w ten sposób, że duże drony o odpowiednich zasięgach i strategicznym uzbrojeniu powinny odgrywać coraz większą rolę na współczesnym teatrze wojennym. Niemiecka strategia zakłada także, tak jak amerykańska, pracę nad supernowoczesnym myśliwcem przyszłości.

Istotnymi elementami niemieckiej strategii przemysłu obronnego jest postawienie na terenie Niemiec wspomnianej własnej fabryki pocisków do systemu Patriot oraz budowa elementów składowych samego systemu. Niemcy stawiają zatem na obronę powietrzną na dużą skalę.

Reasumując, zwycięstwo w wojnie przyszłości zapewni nie tylko liczba czołgów, nowoczesnych samolotów, systemów antyrakietowych, lecz także liczba dronów, możliwości wykorzystania sztucznej inteligencji, systemy walki elektronicznej, zdolność do ich szybkiej produkcji i odtwarzania. Tak będzie i tak już się dzieje.

Nie ma w tym nic złego, że Polska przygotowuje najliczniejszą w Europie armię lądową, stając się europejską potęgą czołgową z silnym nowoczesnym tradycyjnym lotnictwem w postaci samolotów F-16 i F-35 oraz atakującymi śmigłowcami Apache. Zapowiedzi USA inwestowania w samolot bojowy szóstej generacji oraz Niemiec inwestujących w samolot bojowy przyszłości potwierdzają ten istotny element prowadzenia wojny. Problem jest w tym, że wyraźnie nie dotrzymujemy proporcjonalnie kroku w tworzeniu systemów przeciwrakietowych i przeciwdronowych, co może zaburzyć naszą możliwość dominacji w powietrzu. A bez dominacji w powietrzu możemy nie przetrzymać potencjalnego ataku, nie mówiąc o możliwości wykonania kroków odwetowych.

Zasadne jest pytanie, czy Polska przygotowuje się do wygrania potencjalnej nowoczesnej wojny przyszłości czy do absorpcji środków finansowych przeznaczanych na obronność, co nie jest tym samym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Ma własne, profesjonalnie prowadzone media społecznościowe i budowany pod okiem ekspertów wizerunek. Pełniąca od dwóch miesięcy funkcję pierwszej damy Marta Nawrocka nie chce popełniać błędów poprzedniczki

Milcząca pierwsza dama", „niema Agata", „nic nie robi". Takie, bardzo często nacechowane polityczną niechęcią zarzuty formułowane były przez niemal 10 lat pod adresem Agaty Kornhauser-Dudy. Żona byłego prezydenta była krytykowana niemal za wszystko – poczynając od „nietrafionych stylizacji", poprzez fryzurę, kończąc na rzekomym braku aktywności. „Była niema. Przez 10 lat nie zabrała głosu ani razu. Nikomu nie pomogła, nikogo nie wsparła, nie wyraziła ani jednej politycznej opinii" – grzmiała przy końcu kadencji „Gazeta Wyborcza". „Widziałam, jak wyglądała codzienna praca pierwszej damy – zaangażowana, ale świadomie bez medialnego rozgłosu. Może dlatego trudno mi czytać takie opinie jak ta – wydrukowana na pierwszej stronie ogólnopolskiej gazety" – komentowała wtedy z oburzeniem Katarzyna Pawlak-Mucha, podsekretarz stanu w KPRP.

Wystarczyło przejrzeć zakładkę „Małżonka Prezydenta" na stronie internetowej Kancelarii, aby dowiedzieć się, jak wiele robiła była pierwsza dama. „Kompleksowe zaangażowanie w temat wcześniaków – od spotkań wsparcia z rodzicami, wizyt na oddziałach i rozmów z tymi, którzy ratują życie tych maluszków, dyskusji z ekspertami z dziedziny neonatologii czy pracownikami banków mleka kobiecego. Systematyczne organizowanie transportów pomocy na Wschód do naszych rodaków mieszkających na niekiedy zagrożonych albo biednych terenach. Tysiące stron książek przeczytanych podczas setek spotkań

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl c7cac20f2f

Projekt „Pierwsza Dama”

promujących wśród dzieci zanikające czytelnictwo. Wielka akcja promowania kół gospodyń wiejskich. Akcja »Usłyszeć Dzieci«, gdzie on-line przeprowadzała pogłębione wywiady z psychologami i lekarzami, by pomóc rodzinom wrócić do równowagi po pandemii. Inicjowanie działań, by poprawić jakość życia osób starszych, np. Razem dla Seniorów” – wyliczała Pawlak-Mucha. Jedna kwestia to ślepe na jedno oko media i komentatorzy dostrzegający tylko to, co chcą. Druga – konieczna w obecnych, cyfrowych czasach promocja działań i wizerunku pierwszej damy w mediach. Spójna, profesjonalna, regularna. Już widać, że Marta Nawrocka i jej otoczenie uczą się na PR-owskich błędach poprzedniczki.

JAK KRÓLOWA ELŻBIETA

Można uznawać to za przesadne lub małostkowe, ale główną osią zainteresowania wokół pierwszej damy jest jej wizerunek zewnętrzny. Uczesanie, buty, dobór dodatków. „Styl obecnej pierwszej damy w ostatnich miesiącach przeszedł zauważalną metamorfozę. Najlepiej widać to w kolorystyce jej stylizacji oraz w doborze dodatków, niebanalnych i nowatorskich, które nadają jej wizerunkowi świeżości” – oceniał w rozmowie z „Super Expressem” projektant mody Daniel Jacob Dali, który bywa gościem m.in. „Dzień dobry TVN”. Według eksperta Marta Nawrocka zaczyna wyznaczać nowy trend. „Chodzi o duże widoczne guziki, które stają się bardzo charakterystyczne w jej stylizacjach, i można uznać je za dodatek, który zmienia cały strój na jeszcze bardziej elegancki. Coś, czego nikt do tej pory nie praktykował z taką częstotliwością” – zauważa. Dali przekonuje, że 39-latka „dorosła” do roli pierwszej damy pod względem stylu. „I to w bardzo szybkim tempie, co tylko świadczy o profesjonalnym podejściu do tematu. Aspekt wizualno-modowy jest bardzo istotny i w dzisiejszej dobie social mediów czasami bardziej komentowane jest to, co kto założył, niż to, co powiedział. Media zbliżyły nas do wizualnego aspektu, a znacznie oddaliły od istotności wypowiedzianych słów” – zaznacza. Co więcej, projektant porównuje Nawrocką do zmarłej trzy lata temu królowej Wielkiej Brytanii. „Zdecydowanie jasne, pastelowe kolory oraz dodatki, jak duże guziki, a także torebki, które stają się dopełnieniem całości, jak kiedyś było to w przypadku królowej Elżbiety II” – tłumaczy. Na koniec Daniel Jacob Dali zwraca uwagę na „społeczny” wymiar stylizacji. I podsumowuje: „Nie bez znaczenia jest także to, że pierwsza dama coraz częściej sięga po ubrania z sieciówek oraz wspiera polskie lokalne marki. To buduje jej wizerunek jako osoby bliskiej ludziom i autentycznej. Dzięki swojemu stylowi zyskuje coraz większą sympatię Polaków. Przyczynia się do tego m.in. to, że często pojawia się w ubraniach z ogólnodostępnych sieciówek oraz świadomie promuje rodzime, lokalne marki”.

Na zaplanowane działania wizerunkowe zwraca też uwagę Ewa Minge. „Bycie w nowej roli oceniam bardzo dobrze. Widzę, że się uczy, ale myślę też, że uczy się zespół jej ludzi, bo to wcale nie jest takie proste. Nasza pierwsza dama wygląda doskonale. Ja ją w ogóle bardzo lubię w czerni” – powiedziała projektantka mody w rozmowie z dziennikiem „Fakt”.

Nie zawsze jest jednak tak sympatycznie. Na Nawrocką spadła spora fala krytyki w związku ze strojem na Święto Wojska Polskiego oraz gdy podczas jednego z wydarzeń w ramach ostatniej wizyty w USA zaprezentowała się w błyszczącej metalicznie, szarej garsonce. „Niestety, błysk tego materiału sprawił, że całość wygląda tandetnie. W świetle wygląda to niczym tanie, PRL-owskie garnitury” – ocenił popularny tiktoker modowy „Matěj – FashionGuy”. Dalej jednak influencer stwierdził, że „stylizacje pierwszej damy wyglądają coraz lepiej”.

WSPARCIE ZNANEJ PROJEKTANTKI

Marta Nawrocka chętnie wybiera propozycje od Izabeli Janachowskiej, która prowadzi w stolicy swój „concept store” ze strojami na okazje formalne i wieczorowe. Zanim Janachowska zajęła się modą i branżą ślubną, była tancerką w „Tańcu z gwiazdami” – w czasach, gdy program emitowano w TVN. W kreacji tej projektantki żona prezydenta pojawiła się w Watykanie, na audiencji rodzinnej u papieża Leona XIV. „Bardzo ciepła, wspierająca inne kobiety, bezpośrednia. No i też na takiej płaszczyźnie mama – mama bardzo mocno się dogadywałyśmy” – opowiadała mediom Janachowska. Pytana, czy nie ma obaw, że przez współpracę z Nawrocką zostanie jej przyczepiona polityczna łatka, odparła, że nie. „Wydaje mi się, że moda przede wszystkim powinna ludzi łączyć, a nie dzielić. Moda też w języku dyplomacji jest bardzo ważna, ma ogromne znaczenie. Ta sytuacja była dla mnie ogromnym zaskoczeniem, jednocześnie bardzo przyjemnym. Ogromna nobilitacja, trochę takiej tremy, czy to dobrze wyjdzie [...]. Cieszę się, że udało nam się wystylizować pierwszą damę na taką pierwszą, chyba najważniejszą wizytę w Watykanie. Tutaj oczywiście ta stylizacja była poddana bardzo wielu restrykcjom, tutaj mamy protokół w Stolicy Apostolskiej” – wspominała w programie „Mówię Wam”.

eprasa.pl c7cac20f2f

Nawet najlepsza stylizacja nie zachwyci, jeżeli nie pokaże się jej światu. O to, aby „świat widział" (nie tylko stroje, lecz także ludzką stronę pierwszej damy), dba osobista fotograf Marty Nawrockiej. W przeciwieństwie do poprzedniczki obecna pierwsza dama posiada właśnie osobistą panią fotograf, której głównym zadaniem jest dokumentowanie wydarzeń z udziałem żony prezydenta. „Jak dobrze wiecie, jakiś czas temu dołączyłam do zespołu KPRP i spełniam swoje największe fotograficzne marzenia. Wnioski są proste, warto dążyć do celu, a te właśnie marzenia są po to, by je spełniać. Dziękuję za zaufanie i będę się powtarzać – praca dla Polski to duma i zaszczyt" – napisała w serwisie X Alicja Stefaniuk. „Kilka lat temu nieoczekiwanie sięgnęłam po starego Nikona, aby wykonać kilka kadrów z urzędowego spotkania, i tak narodziła się moja największa pasja" – wspominała w innym poście. Fotograf skupia się na kadrach ukazujących Nawrocką jako osobę ciepłą, zaangażowaną i rodzinną. Nie brakuje zdjęć z dziećmi, w tym z córeczką Kasią, czy ze zwykłymi przechodniami, którzy chcą porozmawiać z żoną prezydenta. Na profilu Stefaniuk można znaleźć dodatkowe fotografie pierwszej damy w luźniejszych, miejskich stylizacjach.

Z kolei o wizerunek medialny i komunikację pierwszej damy z dziennikarzami dba była dziennikarka TVP Info, a później wPolsce24, Żaklina Skowrońska. Obok profesjonalnych zdjęć na oficjalnych mediach społecznościowych KPRP i samej Marty Nawrockiej regularnie publikowane są krótkie nagrania. Po powrocie ze Stanów Zjednoczonych zobaczyliśmy wideo, na którym żona prezydenta pokazała listy od Polonii. „Podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych spotkałam się z niezwykłą serdecznością naszych rodaków mieszkających za oceanem. Otrzymałam również wzruszające listy od polonijnych dzieci. To ogromnie budujące – czuć tyle dobra i przywiązania do polskich barw z drugiego końca świata. Dziękuję wam z całego serca za to, że pielęgnujecie naszą tradycję i kulturę, gdziekolwiek jesteście! A Kasia szczególnie dziękuje za cudowny prezent" – napisała. Córka Nawrockich cieszy się na nagraniu z typowej amerykańskiej lalki American Girl.

Kolejnym dowodem na przemyślany plan tworzenia wizerunku Marty Nawrockiej jest promowanie przez nią zdrowego stylu życia. W kampanii rozpoczęła akcję wsparcia męża „Kobiety za Nawrockim". Wraz z działaczkami, sympatyczkami i wyborczyniami jeździła na wrotkach, rozmawiając i przekonując przechodniów do głosowania. „W samo południe założyłyśmy wrotki/rolki i ruszyłyśmy przed siebie! To był czas dobrej zabawy – do zobaczenia następnym razem" – pisała w mediach społecznościowych. Między pierwszą a drugą turą wyborów prezydenckich Marta Nawrocka odwiedziła Podhale. Była w Ludźmierzu i Zakopanem, gdzie spotkała się z działaczami miejscowego oddziału Związku Podhalan, a także z samorządowcami Prawa i Sprawiedliwości. Jednak media rozpisywały się najchętniej o jej wspinaczce na Giewont z biało-czerwoną flagą. Internauci komentowali wideo, na którym Nawrocka wbiega pod górę. Już po zwycięstwie wyborczym męża nadal chętnie pokazuje się w sportowym kontekście. Podczas pobytu w Nowym Jorku postawiła na typową dla lokalsów aktywność – jogging w Central Parku. Oczywiście bieg był pretekstem, ponieważ pierwsza dama spotkała się przy okazji z przedstawicielami działającej od 2007 r. organizacji Polska Running Team. „Dobra atmosfera, piękne widoki, ogromna dawka sportowej energii oraz biało-czerwone barwy na trasie. To było coś niesamowitego!" – napisała później Marta Nawrocka na Facebooku.

Z DALA OD POLITYKI

Czy pierwsza dama spełni oczekiwania tych, którzy chcieliby od niej zaangażowania politycznego? Po pierwsze, na razie jej kolejne kroki nie wskazują na to, aby chciała być bardziej „polityczna". Mocno skupiła się na dobroczynności i zaangażowaniu społecznym, szczególnie wokół potrzeb dzieci. To klasyczny model sprawowania tej funkcji, który z powodzeniem realizuje wiele europejskich pierwszych dam, także Melania Trump. Po drugie, oczekiwania, aby żona prezydenta „nie była niema", są wyrażane niemal zawsze przez przedstawicieli strony lewicowo-liberalnej. Można więc z dużym prawdopodobieństwem założyć, że gdyby Marta Nawrocka chciała w przyszłości zabrać głos np. w temacie aborcji, powiedziałaby nie to, czego się od niej domagają. Wiele – w kwestiach światopoglądowych – mówi decyzja pary prezydenckiej o tym, aby nie posyłać syna Antoniego na edukację zdrowotną.

W jednym z wywiadów nieco więcej o planach żony opowiedział sam prezydent. „Ma szczególną wrażliwość na dzieci i osoby z niepełnosprawnościami" – mówił Karol Nawrocki w „Super Expressie". Przekazał, że pierwsza dama pracuje nad powołaniem własnej fundacji. Jak powiedział, celem fundacji będzie wsparcie osób z niepełnosprawnościami oraz wyjątkowo uzdolnionych dzieci i młodzieży z mniejszych miejscowości. „Niebawem planuje powołać Fundację Pierwszej Damy, która będzie pomagać osobom niepełnosprawnym oraz wyjątkowo zdolnym spoza dużych aglomeracji" – wskazał prezydent. Dodał, że kierunek obrany przez małżonkę nie jest dla niego zaskoczeniem, ponieważ dobrze zna jej empatię i społeczne zaangażowanie. „Znam jej wrażliwość od lat, jesteśmy małżeństwem od 15 lat i już widać, że przełoży się ona na godne sprawowanie funkcji pierwszej damy. Jej otwartość, ciepło i empatia przynoszą dobre efekty" – zapewnia polityk.

„W Pałacu Prezydenckim słychać, że Nawrocka nie zamierza poprzestać na symbolicznych gestach. Fundacja ma być konkretnym narzędziem zmiany społecznej, a jej działalność będzie jednym z kluczowych filarów aktywności pierwszej damy w tej kadencji" – donosi „Super Express".

Gdyby Marta Nawrocka chciała w przyszłości zabrać głos w kwestiach światopoglądowych, rozczarowałaby tych, głównie przedstawicieli strony lewicowo-liberalnej, którzy tego od niej oczekują

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

Z Aleksandrą Biniszewską, prezes Fundacji Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie, dyrektorem Muzeum Lwowa i Kresów w Kuklówce Radziejowickiej

rozmawia Radosław Wojtas

Grabież zawsze pozostanie grabieżą

RADOSŁAW WOJTAS: Nie wiemy dokładnie, jak duża część naszego dziedzictwa kulturowego znajduje się na terenach dzisiejszej Rosji, Białorusi, Ukrainy i Litwy. Wiemy chociaż, czy to, co jest na Ukrainie, jest doraźnie zabezpieczane w obliczu napaści Rosji i działań wojennych?

ALEKSANDRA BINISZEWSKA: Odpowiem na przykładzie. Kiedy wybuchła wojna w 1939 r., przedwojenne zbiory polskiej literatury z wieków XIX i XX, rękopisy, pierwsze wydania książek przeniesiono do kościoła Jezuitów we Lwowie. Tam Sowieci zrobili magazyn. Ponieważ kościół nie był remontowany przez dziesięciolecia, zbiory przechowywano w tragicznych warunkach. Kiedy podjęto decyzję o zamianie kościoła Jezuitów w cerkiew garnizonową, Polacy ze Lwowa zaczęli mnie alarmować, że ta kolekcja wywożona jest w niewiadomym kierunku. Zrobili zdjęcia, na których widać wojskowe ciężarówki. Wrzucano – nie przenoszono, wrzucano – na nie nasze zbiory. Kiedy zaczęto bombardować lotnisko na Skniłowie w 2022 r., okazało się, że te cenne polskie książki znajdują się tam w magazynach i nie są zabezpieczone. Prosiłam polityków różnych opcji o interwencję, żeby ewakuowano zbiory, abyśmy jako państwo polskie je w jakikolwiek sposób zabezpieczyli, ale nikt nie kiwnął nawet palcem. No bo przecież Ukraina cierpi, Ukraina jest w rozpaczy, nie wypada upominać się o sprawy tak drugorzędne. Nie wiemy, co się stało z tym magazynem – czy on został zbombardowany czy ocalony. Jak się pan domyśla, po wybuchu wojny już w ogóle nie można tam było dotrzeć i nie można było tego sprawdzić.

Przecież państwo polskie pomaga Ukrainie także w zakresie ochrony dóbr kultury.

Tak, ale nie skupiamy się na dobrach kultury polskiej, których jest na Ukrainie bardzo dużo. Zresztą nie tylko tam, bo na Białorusi i na Litwie również – o czym rzadko się mówi. Cały czas głośno jest o reparacjach od Niemiec, które nam się oczywiście należą, tak jak zwrot zrabowanych przez nich polskich dóbr kultury, ale nie możemy zapominać o tym, co zabrał nam Związek Sowiecki. Temat prawie nie funkcjonuje w debacie publicznej.

Może nie mamy złudzeń co do Rosji i nie udajemy, że to państwo prawa, z którym można podjąć sensowne rozmowy w tej sprawie.

Tylko że nasze dzieła sztuki, zrabowane przez Sowietów skarby polskiej kultury, znajdują się nie tylko w Federacji Rosyjskiej, lecz także na terenach dzisiejszej Ukrainy, Litwy i Białorusi. Skoro rozmowy z Rosjanami są bardzo trudne, a obecnie nawet niemożliwe, to może byśmy zaczęli rozmawiać o zwrocie dóbr kultury, które zostały chociażby w zbiorach Lwowa, Wilna czy Mińska, choć w tym ostatnim przypadku też w obecnej sytuacji raczej się nie porozumiemy. Skoro niesiemy tak wielką pomoc Ukrainie i strzeżemy nieba nad Litwą, to może oni odwdzięczyliby się nam zwrotem polskich dóbr kultury. Jeżeli te państwa się odżegnują od praw sowieckich – a Ukraina odżegnuje się od Rosji bardzo stanowczo, przeprowadza głęboką derusyfikację, np. w bibliotekach, pozbywając się rosyjskojęzycznych książek – to niech zwrócą to, co zostało nam zabrane prawem sowieckim, prawem grabieży.

Straty, które ponieśliśmy za sprawą zmiany granic i grabieży ze strony Rosji, nie zostały jak dotąd dokładnie zinwentaryzowane.

Wiemy, że skala jest ogromna. Grabież naszych muzeów, zbiorów prywatnych, archiwów państwowych, dokumentów książek... To była rzeź polskiej kultury. Kiedyś byłam zaproszona do Berlina z wykładem o losach naszego dziedzictwa po 17 września 1939 r. Wymieniłam tam tylko trzy przykłady, ale już one pokazują, jak bogate było nasze dziedzictwo, jaki jest ogrom strat. To gimnazjum w Chyrowie, które posiadało bibliotekę liczącą 30 tys. pozycji, obserwatorium astronomiczne, doskonale wyposażone klasy. To Liceum Krzemienieckie, w którym Hermanowicz założył wspaniałe środowisko artystyczne, w którym również była bogato wyposażona biblioteka, a także pracownia fotograficzna z unikatowymi zbiorami przedwojennych fotografików. To Zakłady Radiowe w Wilnie. Ale to przecież wierzchołek góry lodowej, bo przepadły zbiory muzealne, kolekcje Lanckorońskich, zbiory nieświeskie, zbiory Ossolineum, z których po wojnie we Lwowie zostało m.in. 760 tys. ksiąg i starodruków, 17,5 tys. rękopisów, 170 tys. czasopism, ponad 10 tys.

eprasa.pl c7cac20f2f

Zamek w Podhorcach został wzniesiony w pierwszej połowie XVII w. dla hetmana Stanisława Koniecpolskiego FOT. ADOBE STOCK

autografów, 25 tys. monet i medali. To także kolekcja obecnej Galerii Lwowskiej, dzieła Rubensa, Gérarda, de La Toura, zbiory Łozińskiego, Dzieduszyckich, Baworowskich... W muzeum w Mińsku jest bardzo wiele zbiorów. Muzeum Narodowe w Wilnie posiada obrazy polskich malarzy itd. Wymieniać można długo.

Straciliśmy wiele cennych dokumentów. Największe archiwum historyczne na temat historii Polski nie znajduje się w Warszawie czy Krakowie, ale we Lwowie.

Tak, wiele cennych historycznych dokumentów utraciliśmy w wyniku zmiany granic. Pamiętajmy również, że na wschód ewakuowano księgi parafialne, archiwa miejskie, zbiory prywatne. Ludzie oddawali swoje kolekcje do muzeów, bo uważali, że w zbiorach państwowych one przetrwają. To wszystko zostało zagrabione. Kiedyś próbowałam przewalczyć pomysł, żeby Polska wystąpiła o to, by uchwalono międzynarodowe prawo o kulturobójstwie. Jeśli na narodzie dokona się ludobójstwo, ale przetrwa jego kultura, to przetrwa również pamięć. Dlatego pamiętamy o narodach starożytnych. Zbrodnia na kulturze wymazuje pamięć o ofiarach, powinna podlegać takiej samej karze jak ludobójstwo i tak jak ono nie powinna podlegać przedawnieniu. A na naszym narodzie dokonywano kulturobójstwa.

Nie ze wszystkimi zbiorami sprawa jest zero-jedynkowa. My uważamy, że coś jest naszym dobrem kultury, ale np. strona ukraińska powie: to powstało we Lwowie, jest nierozerwalnie związane z tym miastem, jest lwowskie, nie polskie czy ukraińskie.

Ale w wielu przypadkach wszystko jest jasne. Są testamenty, zapisy archiwalne, wskazujące, że są to dobra podarowane narodowi polskiemu. Nie ma wątpliwości, że kiedy Ossoliński ofiarował swoje zbiory miastu Lwów, to nie ofiarował ich Rusinom, Ormianom czy komukolwiek innemu, ale Polakom. I te zbiory powinny do nas wrócić.

Po wojnie wrócił do Polski niewielki odsetek poloników, m.in. tylko niewielka część zbioru Ossolińskich, jako „dar narodu ukraińskiego", późniejsze wnioski rewindykacyjne, których nie było wiele, zostały odrzucone. Także Białoruś i Litwa zwróciły nam niewielką część tego, co utraciliśmy. Powinniśmy upominać się o swoje teraz czy czekać do końca wojny i wtedy podejmować rozmowy?

W każdej sytuacji i w każdym momencie powinniśmy o tym mówić, chociażby po to, żeby wciąż o tym pamiętać. Zawsze można powiedzieć, że z tego czy innego powodu moment na takie rozmowy jest zły. Mijają lata, niektóre sprawy ulegają przedawnieniu. Nie widzę powodu, żebyśmy mieli czekać do końca wojny. Zwłaszcza że Ukraińcy i Litwini nie utożsamiają się z polskim dziedzictwem. Wypierają się współistnienia na tamtych terenach. Nawet niektórzy przewodnicy nie opowiadają turystom o państwie polskim, mówią o polskiej okupacji. Kilka lat temu, kiedy wracałam ze spotkania Wilniuków, usłyszałam w radiu rozmowę o języku białoruskim z szefem wiadomości telewizji Biełsat. Co mówił pan redaktor, pobierający pensję od Polaków? Zapytany o to, jaka okupacja była najgorsza: czy niemiecka, a może sowiecka, odpowiedział: polska. Powiedział, że najgorszą okupacją na tamtym terenie była okupacja polska, że gdyby nie Polacy, to język białoruski, białoruska kultura by się dużo szybciej rozwijały.

Jeszcze przed wojną kondycja ukraińskich zabytków była alarmująca. Aż 60 proc. architektury o znaczeniu ogólnokrajowym znajdowało się w złym stanie, a 10 proc. – w dramatycznym. Nawet niektóre z ukraińskich obiektów wpisanych na listę UNESCO nie były chronione w wystarczający sposób. Źle to wygląda także na Białorusi. W takiej sytuacji trudno się spodziewać, by kraje te odpowiednio zadbały o polskie dziedzictwo.

Dobrze wiemy, że i w Polsce są wieloletnie zaniedbania, jeśli chodzi o ochronę zabytków, np. dworków i pałaców, ale nie jest to aż taka skala. Dobrym przykładem jest Zamek w Podhorcach na Ukrainie, wybitne dzieło sztuki architektonicznej na skalę europejską, który przez lata był świadomie niszczony. To samo dotyczy tamtejszego kościoła, vis-à-vis zamku, który – według legendy – oprócz kościoła św. Anny w Wilnie Napoleon chciał zabrać do Francji. Kościół w Żydaczowie, jeden z najstarszych gotyckich kościołów na terenie dzisiejszej Ukrainy, którego dewa-

Sala rękopisów lwowskiego Ossolineum FOT. OSSOLINEUM

eprasa.pl c7cac20f2f

stacja zaczęła się już w 1939 r., a który Sowieci zamienili na dworzec autobusowy, co prawda znów pełni swoją pierwotną rolę, ale zamalowano w nim freski poświęcone Janowi III Sobieskiemu i nikt nie chce ich odtworzyć. Kościół św. Magdaleny we Lwowie, o który walczymy od lat, jest miejscem spotkań sympatyków UPA. Na polskiej szkole we Lwowie, najstarszej polskiej szkole podstawowej, która niedawno obchodziła 200-lecie powołania, odsłonięto tablicę poświęconą „Tarasowi Czuprynce", czyli Romanowi Szuchewyczowi. Przecież zrobiono to z premedytacją. Usuwane są ślady polskości – tak na Ukrainie, jak na Białorusi oraz na Litwie – takie jak tablice na ulicach, napisy na budynkach itp. Byłam świadkiem tego, jak dwa dni przed uroczystościami 750-lecia Lwowa usuwano wszystkie chodnikowe studzienki z napisami po polsku. Może to nie są dzieła sztuki, ale to jest zacieranie śladów polskości.

Ale są też pozytywne przykłady – renowacje obiektów związanych z polską historią, wspierane przez państwo polskie.

Uważam, że każdy sposób ratowania polskiego dziedzictwa jest dobry. Każdy gest jest ważny i przyjmuję go z radością. Ale pamiętam też takie sytuacje, jak np. historię pałacu w Rozdole związanego z Karoliną Lankorońską, która ofiarowała państwu polskiemu cenne dary, m.in. obrazy z kolekcji Stanisława Augusta Poniatowskiego. Otóż na przełomie lat 90. i 2000. pałac Lanckorońskich był nieustannie szabrowany. Do tego stopnia, że ze ścian skuwano płaskorzeźby, a piękną rokokową bramę ktoś próbował wyrwać ciągnikiem i ukraść. Miejscowi Polacy chcieli budynek odkupić, wyremontować, stworzyć tam dom polski lub muzeum Lanckorońskich. Zwrócili się o pomoc do państwa polskiego. Nawet nie po pieniądze, bo środki mogli zebrać sami, prosili o wsparcie w rozmowach z Ukraińcami. Chcieli, by Polska upomniała się o ten obiekt. Niech pan zgadnie z jakim skutkiem.

Domyślam się, że z mizernym. Ale to jednak była końcówka lat 90.

No to opowiem panu o czymś świeżym, o czymś, co bardzo mnie irytuje – o zupełnym braku symetrii we wzajemnych relacjach. Ukraińcy odzyskali kamienicę, w której mieścił się Dom Ukraiński w Przemyślu, a który wyremontowano ze środków publicznych. Natomiast rozmowy dotyczące powstania Domu Polskiego we Lwowie ciągnęły się przez dziesięciolecia, a kiedy ustalono już, że on powstanie, to zaczęła się heca ze znalezieniem dla niego miejsca. Żadna lokalizacja Ukraińcom nie pasowała. W końcu znaleziono dom poza centrum Lwowa, wymagający kompleksowego remontu. Gdyby mniejszość polska na Ukrainie była traktowana tak, jak traktowana jest mniejszość ukraińska w Polsce, to ten dom zostałby wyremontowany z ukraińskich środków. A tymczasem nie tylko nie dostaliśmy na to funduszy, lecz także budynek nie jest nasz, oddano go nam w dzierżawę. Czyli Polacy remontują dom, który nie jest ich, wkładają w to ogromne pieniądze, a za 40 lat nieruchomość może wrócić do majątku ukraińskiego. Gdzie tu równość?

Wnętrze pałacu Lanckorońskich w Rozdole, początek XX w. FOT. ARCHIWUM NAUKI PAN I PAU W KRAKOWIE

A jak wygląda współpraca na nieoficjalnym szczeblu? Prowadzi pani Fundację Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie oraz Muzeum Lwowa i Kresów. Czy na poziomie fundacji i stowarzyszeń łatwiej znaleźć nić porozumienia?

Litwini i Ukraińcy szybko ucinają wszystkie rozmowy. Powiem coś bardzo niepopularnego politycznie, ale Białorusini przynajmniej przyznają do tego, że polska kultura na ich terenach jest. Proszę sobie wyobrazić, że kiedy z koleżanką organizowałyśmy koncert muzyki Michała Kazimierza Ogińskiego, wspaniałego kompozytora, cieszącego się kiedyś ogromną popularnością na Zachodzie, a i dzisiaj nierzadko granego, to poszukiwałyśmy jakichś zbiorowych wydań jego muzyki. I nie znalazłyśmy polskiego wydania, ale dotarłyśmy do wydania białoruskiego. Nie możemy z Mińskiem porozumieć się w sprawie zwrotu polskich dóbr kultury, ale Białoruś chociaż przyznaje, że takie dziedzictwo istnieje.

Z prywatnymi osobami można się dogadać. Jeśli dysponowałabym odpowiednimi funduszami, to bez problemu ściągałabym całe obiekty. Na terenie muzeum mamy już np. dom, w którym po zesłaniu na Syberię mieszkał Józef Piłsudski, który udało nam się sprowadzić z dużą pomocą premiera Mateusza Morawieckiego. Mamy też inny dom, w którym mieszkali polscy księża – zesłańcy skazani za pomoc powstańcom styczniowym. Przy nieocenionym udziale naszych Ormian sprowadziliśmy z Kut dom Zarugiewiczów. Jest to rodzina bardzo zasłużona dla Polaków. Wspomnę tylko Grzegorza Zarugiewicza, który przed wojną uprawiał w Zaleszczykach winnicę, a po wojnie odtwarzał polskie winnictwo w Jeleniej Górze.

Co musiałoby się stać, abyśmy mogli liczyć na zmianę w podejściu do polskiego dziedzictwa ze strony Litwinów, Ukraińców i Białorusinów?

Przede wszystkim oczekiwałabym tego, żeby Litwa i Ukraina przestały udawać, że na ich obecnych terenach nie było Polski, żeby nie mówili o okupacji, ale o II Rzeczypospolitej. Chciałabym, żeby zrozumieli, że o polskie dziedzictwo należy dbać, bo może ono być wspólnym dziedzictwem. Żeby przestano wykluczać Polaków i polską kulturę. A wreszcie – aby oddali to, co nie należy do nich. Grabież zawsze pozostanie grabieżą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

Nieuchwytny Chopin

Piotr Gociek

Ani specjalnie zły, ani szczególnie dobry. Poprawny – taki jest nowy film Michała Kwiecińskiego o największym polskim kompozytorze

I co tam, panie, w Paryżu? Snoby trzymają się mocno? Jest rok 1835 i – jak czytamy w materiałach prasowych do nowego filmu Michała Kwiecińskiego – „Fryderyk Chopin ma 25 lat i jest ulubieńcem paryskich salonów, arystokracji i króla Francji. Żadne znaczące wydarzenie nie może odbyć się bez jego udziału. Jego życie ucieka, jednak Fryderyk nie zwalnia. Ze względu na zobowiązania finansowe udziela lekcji gry na fortepianie. Przyjaciele go podziwiają, a kobiety pragną jako kochanka". Przytaczam niemal w całości, informując, że jakby ktoś nie poszedł, to i tak już cały film sobie przyswoił. Ech, kłopoty, panie, kłopoty z tym Chopinem.

Całego życia na ekranie opowiedzieć się nie da, bo nawet w serialu miejsca zabraknie. Twórcy świetnej serii HBO „John Adams" zaczęli swą opowieść w chwili, gdy przyszły prezydent był w połowie czwartej dekady życia, a i tak ledwie pomieścili różne wątki w siedmiu odcinkach. Potrzebny jest pomysł, potrzebny jest nieoczywisty punkt widzenia, potrzebne jest coś świeżego, coś twórczego. Wrócił niedawno na polskie ekrany odrestaurowany cyfrowo „Amadeusz" Miloša Formana, gdzie dzieje Wolfganga Amadeusza Mozarta widzimy oczami zazdrosnego Antonia Salieriego. W tegorocznym „Franzu Kafce" Agnieszki Holland podkreśleniu interesujących ją przesłań z dzieła pisarza służy wprowadzenie na ekran adaptacji jego słynnej noweli „Kolonia karna".

eprasa.pl c7cac20f2f

Eryk Kulm w tytułowej roli oraz Joséphine de La Baume jako George Sand w filmie „Chopin, Chopin!" FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI/AKSON STUDIO

W dostępnym w streamingu „Dzikocie" o Flannery O'Connor dostajemy nieco eksperymentalny miks biograficznego realizmu i scen z utworów pisarki. I tak dalej.

NIC ORYGINALNEGO

Pod tym względem film Michała Kwiecińskiego okazuje się wielce banalny i przewidywalny. Dostajemy na ekranie ostatnie 15 lat i tak krótkiego życia. Od wykrycia gruźlicy po grób. Chopin gra, Chopin choruje, Chopin cierpi, Chopin umiera. Niewiele więcej. Chopin, Chopin, Chopin. A właściwie: „Chopin, Chopin!", bo tak brzmi tytuł filmu, który otwierał tegoroczny festiwal polskich filmów w Gdyni.

Muzyka jest genialna, bo Chopin to Chopin. Zdjęcia są świetne, bo Michał Sobociński to Michał Sobociński. Biedy w kadrze nie ma, bo miało być prestiżowo i międzynarodowo, więc Paryż wygląda nieźle, podobnie jak Majorka, a w budżecie na honoraria znalazło się nawet miejsce na Lamberta Wilsona (w roli króla). Choć mnie z obsady zagranicznej najbardziej podobał się Victor Meutelet jako Franciszek Liszt. A co z naszym Fryderykiem? Michał Kwieciński, który obsadził Eryka Kulma w „Filipie", znowu mu zaufał. W „Filipie" Kulm był świetny, w „Chopin, Chopin!" jest bez wyrazu. Co zresztą sygnalizuje problem z całym filmem: jest to opowieść ani specjalnie zła, ani specjalnie dobra. Ot, poprawna. Zabrakło tego, co zwykle – oryginalnego puntu widzenia.

Nawet w zapomnianym filmie Aleksandra Forda „Młodość Chopina" (1951) krył się konkretny zamysł. Powstała fabuła, w której imię i nazwisko „Joachim Lelewel" pada częściej niż „Chopin", słowo „rewolucja" częściej niż „Polska", no i dużo więcej mówi się o cierpieniach chłopów niż o muzyce. Takie było zamówienie, taki film powstał i pod tym względem jest spójny (nieważne, że propagandowa piła): Chopin to młodzieniec wrażliwy na krzywdę tych, od których czerpie inspirację (ach, te wiejskie wesela, ci skrzypkowie wśród brzóz!), tymczasem arystokraci ludu nienawidzą, potrzebna jest więc rewolucja, by ocalić i Polskę, i Chopina.

Oglądany dziś Czesław Wołłejko wypada zabawnie jako nastoletni Frycek. Przede wszystkim jest najstarszym nastolatkiem na ekranie do chwili, kiedy Nikita Michałkow nie każe 40-letniemu Olegowi Mieńszykowowi grać młodziutkiego carskiego kadeta w „Cyruliku syberyjskim" (1999). Świetnie za to ogląda się całą paradę nieżyjących już od dawna aktorów charakterystycznych w rolach drugoplanowych, niemal wszyscy z dobrej przedwojennej tradycji teatralnej, tylko niektórzy dopiero u progu kariery (jak młodziutki Emil Karewicz).

To, co było niemożliwe w komunistycznej Polsce, udało się kilka lat wcześniej w Hollywood, gdzie w roku 1945 na ekrany wszedł film Charlesa Vidora „Pamiętna pieśń" („A Song to Remember"). Było to pomieszanie z poplątaniem, ale urocze. W tej ahistorycznej bajce wszystko mieniło się kolorami, bo wybitny operator Tony Gaudio po latach pracy w czerni i bieli mógł bawić się technologią Technicolor. Sprawy polskie wybrzmiewały mocno i nikt nie próbował przerabiać Chopina na Francuza czy Niemca, czarnym charakterem okazywała się George Sand, co okrutnie rozsierdziło oglądającą film Ayn Rand, która była nie tylko libertarianką, lecz także i feministką.

Rolę Chopina dostał węgierski Żyd urodzony na Słowacji, czyli Cornel Wilde, a opiekuna i mentora kompozytora, Józefa Elsnera, zagrał Paul Muni, czyli tytułowy „Człowiek z blizną" w filmie Howarda Hawksa z 1932 r. (w trakcie długiej kariery zagrał też Emila Zolę, Benita Juareza czy Ludwika Pasteura). Film dostępny jest dziś w edycji DVD „Columbia Classics", można go za 10 dol. sprowadzić z Amazona. Urocza jest to ramotka, bo bije z niej zachwyt nad Chopinem, można też zauważyć, jak pięknie mistrz muzyki filmowej Miklós Rózsa (trzy Oscary) łączy własne wstawki z oryginalnymi kompozycjami polskiego geniusza.

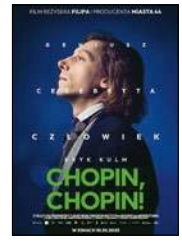

★★★★☆☆
REŻ. MICHAŁ KWIECIŃSKI
„CHOPIN, CHOPIN!"
POLSKA 2025

Barwny, melodramatyczny, papierowy, absurdalny – film Vidora był dokładnie takim produktem, jakiego można było spodziewać się po Hollywood lat 40. XX w. Ale był to jednocześnie jeden z niewielu filmów owej ery, w którym sympatia twórców była po stronie Polaków, o czym warto dziś pamiętać. Wybrzmiewają w nim także mocne nuty antyrosyjskie, wyprzedzając zmianę nastrojów, którą miała przynieść zimna wojna; w chwili gdy „Pamiętna pieśń" wchodziła na ekrany amerykańskich kin (styczeń roku 1945), obowiązywała narracja, wedle której sowiecka Rosja była najlepszym sojusznikiem USA w walce z Adolfem Hitlerem.

CENA TAJEMNICY

Od mocnego uderzenia w Rosję zaczął swój film „Chopin. Pragnienie miłości" (2002) Jerzy Antczak. Młody

eprasa.pl c7cac20f2f

Chopin grać musi dla wielkiego księcia Konstantego, ruski namiestnik wyżywa się na Polakach, kolby muszkietów spadają na klawiaturę: terror i przemoc. Wymarzony projekt Antczaka nie okazał się jednak przedsięwzięciem udanym. Trudno o wielki sukces, gdy zawaliło się dwie podstawowe rzeczy: scenariusz i obsadę roli głównej. Antczak zaczął film wysoką nutą i nie zwalniał ani na moment, budując rzadkie dziwo: opowieść, która składa się z samych wyłącznie elementów dramatycznych. Wszystko jest dramą: los Polski, sknocone portki, spacer po Paryżu, spotkanie ze znajomymi. Rozmowa z ojcem to krzyki, monologi głównego bohatera nie są wymawiane, lecz z nadmierną ekspresją z ust wyrzucane itd. A Danuta Stenka jako George Sand wygląda jak pastisz XIX-wiecznej feministki.

Jest to histeryczne i na dłuższą metę nieznośne. Piotr Adamczyk tworzy postać irytującego chłopięcia, któremu chciałoby się wymierzyć kilka klapsów. Jego Chopin to nie Fryderyk, to Frycek. W pamięci pozostają pojedyncze sceny, np. świetny jest Janusz Gajos jako wielki książę Konstanty. Tu akurat przerysowanie pasuje – bo Rosjanie tacy właśnie są, nadmierni we wszystkim. Ale cały ten film jest przerysowany.

Jak wypada w porównaniu z dziełem Michała Kwiecińskiego? Myślałem, że nabierze szlachetności, ale nie, dalej nie da się tego oglądać. Każdy musi zdecydować, czy z dwojga złego woli klęskę reżysera, który bardzo chciał powiedzieć różne ważne rzeczy („Pragnienie miłości" składa się z samych ważnych rzeczy), czy klęskę reżysera, który mówi nam rzeczy raczej błahe („Chopin, Chopin!" składa się z rzeczy błahych).

Na koniec bardzo istotna kwestia. Tym, czego nie było w żadnym z omawianych filmów: ani u Kwiecińskiego, ani u Vidora, ani u Antczaka, jest tajemnica, a właściwie Tajemnica. Fryderyk Chopin z rozmaitych biografii to postać umiarkowanie intrygująca, wielu artystów miewało życiorysy dużo bardziej barwne. Ale gdy wczytamy się w jego listy, gdy poczytamy to, jak widzieli go jemu współcześni, odkrywamy, że był to geniusz nie tylko muzyki: wyśmienicie pisał, miał niesłychanie bystry umysł, urodzony w Anglii czy Stanach Zjednoczonych zrobiłby wielką karierę w każdej dziedzinie, której chciałby się poświęcić, bo był po prostu piekielnie zdolny i wybitnie inteligentny.

Chopin w filmie Kwiecińskiego to artysta pokolenia płatków śniegu

Umiejętności i zdolności to jedno, ale dotknięcie geniuszu to już coś innego. Tajemnicą jest to, skąd się bierze, ale także często dotknięci nim przeżywają wszystko głębiej i mocniej od innych. Nie musi się to manifestować w życiu codziennym, lecz ujście znajduje w dziele artysty; dziele, które z jakichś powodów trafia nas celniej niż kula w serce. Te powody to już nie tajemnica, lecz Tajemnica właśnie. Za tę Tajemnicę często płaci się cenę straszliwą, zupełnie jakby nasze ciała i dusze nie były przygotowane, by znieść w pełni to, co geniusz nam przyniesie. Jedynym filmem o Chopinie, który tego niezwykłego napięcia próbował dotknąć, jest „Błękitna nuta" („La note bleue", 1990) nakręcona we Francji przez Andrzeja Żuławskiego.

Film ten wydany został w Polsce na płytach DVD, bez problemu wciąż kupić można go w sklepach internetowych czy portalach aukcyjnych. Żuławski (także autor scenariusza) koncentruje się w nim na niespełna dwóch dniach z życia kompozytora – mamy oto lato w Nohant, posiadłości George Sand, i mamy także kres jej związku z Chopinem. Idzie tu Żuławski trochę tropami komedii Jarosława Iwaszkiewicza „Lato w Nohant" (1937), który wybrał to samo miejsce akcji, ale u niego rzecz kończyła się ponownym rozkwitem sił twórczych Chopina, a Żuławski wieszczy definitywny koniec nie tylko miłości, lecz także twórczości – Chopin odkłada pióro, już więcej nie zapisze ani nuty. Być może ze względu na własne losy artysty wygnańca, nadwrażliwca i perfekcjonisty był Żuławski idealnym reżyserem, by taką tragedię nakręcić, niezależnie od tego, jakie swoje demony w tym filmie egzorcyzmował. Nieco manieryczna „Błękitna nuta" broni się po latach, choć Żuławski też miał problem z głównym bohaterem. Do roli Chopina wziął mistrza fortepianu Janusza Olejniczaka, z którego pianista wybitny, ale aktor – żaden.

DZIECIAK I MŁOKOS

Powoli zbliżamy się do kluczowego problemu wszystkich tych historii – w żadnej z nich nie znajdujemy Chopina, najwyżej jego fragmenty, jego cienie. Oto tajemnica, której nikomu dotknąć się nie udało, zabrakło oryginalności, odwagi, geniuszu. Zabrakło owego czegoś, o czym i Miloš Forman nie byłby w stanie opowiedzieć, gdybyśmy go zapytali wprost. Ale w jakiś sposób zdołał nakręcić o tym film.

Każdy dostał swojego Chopina, nikt nie dostał Chopina prawdziwego, kompletnego. Nie wiem, czy to w ogóle możliwe. Meblowany przez sowietów PRL przyniósł nam Chopina rewolucjonistę – rzecz o tyle absurdalna, że jego polityczne poglądy były zdecydowanie antysocjalistyczne i konserwatywne. Hollywood pokazało bojownika o polską sprawę – coś, czego nie ośmielili się zrobić scenarzyści nad Wisłą. Antczak pokazał rozhisteryzowanego niedorostka, Kwieciński zaś pokazuje Chopina pokolenia płatków śniegu.

Paradoksalnie to Kwieciński lepiej pokazuje to, co Antczak zawarł w tytule „Pragnienie miłości". Ten najnowszy Chopin ponad wszystko łaknie miłości, przyjaźni i akceptacji, niczym wyalienowany licealista z XXI w. Kto wie, może paradoksalnie będzie to atutem dla młodszej publiczności, nie wiem, przekonamy się. Ale przecież gdy popatrzymy na słynną fotografię wykonaną krótko przed śmiercią (autor Louis-Auguste Bisson, możecie ją obejrzeć w Wikipedii), to widzimy nie chłopca, nie mimozę, lecz mężczyznę: zmęczonego, cierpiącego, poważnego mężczyznę. Tymczasem po pierwszym obejrzeniu filmu Michała Kwiecińskiego miałem ochotę dać recenzji tytuł „Willy Wonka i fabryka oberków". Mężczyznę widzieliśmy u Żuławskiego, w innych filmach dzieciak i młokos wygrywa, Frycek pokonuje Fryderyka. Eryk Kulm w „Chopin, Chopin!" nie gra Chopina. On gra symbol Chopina. A to o wiele za mało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

Fredro wiecznie żywy

Krzysztof Masłoń

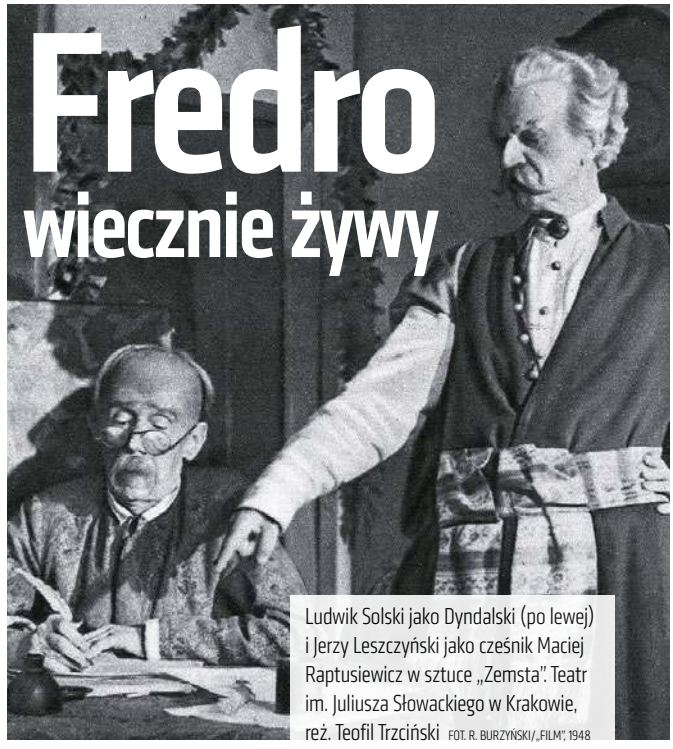

Ludwik Solski jako Dyndalski (po lewej) i Jerzy Leszczyński jako cześnik Maciej Raptusiewicz w sztuce „Zemsta". Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, reż. Teofil Trzciński FOT. R. BURZYŃSKI/„FILM", 1948

W chwalebnym dziele ministry Nowackiej mającym na celu uczynienie polskiej szkoły lekką, łatwą i przyjemną niezbędne są niekiedy działania rewolucyjne, ale czasem wystarczy ewolucja, by osiągnąć zamierzony cel. Takie działania nie wywołują histerycznej reakcji ciemnogrodu, a w skutkach swoich bywają nieocenione. Nie trzeba, na ten przykład, dokonywać czystki na liście lektur, nasuwającej złe skojarzenia z cenzurą, podczas gdy zbawienne okazać się może zastąpienie jednego utworu drugim, niosącym treści jak najbardziej pożądane w nowoczesnej edukacji. Tak właśnie uczynić należy z Aleksandrem hr. Fredrą, funkcjonującym w oświacie jako autor sztuczydeł, Bóg raczy wiedzieć, dlaczego uważanych za szczyt kunsztu pisarskiego, znajomości prawideł teatralnych, mistrzostwa w kreowaniu postaci wywodzących się z kultury sarmackiej, no, jednym słowem za arcydzieła stworzone przez najwybitniejszego komediopisarza w historii naszej literatury. Wśród tych zgoła nieśmiesznych komedii za arcydzieło uchodzi „Zemsta".

O co chodzi w tej historii, mniej więcej wiadomo: Cześnik nienawidzi Rejenta, Rejent nienawidzi Cześnika, po scenie plącze się chwalidupa Papkin, Klara i Wacław mają się ku sobie, a Podstolina (większość dziatwy zmagającej się z „Zemstą" uważa, że to nazwisko) próbuje na matrymonialnych intrygach ubić interes. Zresztą nie ona jedna. Uczniom od pokoleń wmawia się, że żądanie Klary, by adorujący ją Papkin dostarczył jej krokodyla, to niebywale finezyjny koncept, który bezwarunkowo wywołuje wesołość u czytelników czy też widzów. Może tak i było w XIX stuleciu (lwowska prapremiera sztuki miała miejsce w 1834 r.), ale nie w XXI, gdy krokodyle pluskają się w wannach u ministrów prawie tak ważnych jak Nowacka, a nawet bardziej, choć to wydaje się niemożliwe.

A już scena pisania listu dyktowanego przez Cześnika Dyndalskiemu to rzekomo perełka humoru. Ów grany niegdyś na scenie przez samego Ludwika Solskiego Cześnikowy totumfacki, formalnie marszałek zarządzający domem i służbą, jak sam przyznaje, „stawia tytle niezbyt skoro", ale i tak lepiej niż jego pan, w najlepszym razie półanalfabeta. Stara się więc pisać dokładnie to, co słyszy. A Cześnik dyktuje:

„Bardzo proszę"... mocium panie...
Mocium panie... „me wezwanie"...
Mocium panie... „wziąć w sposobie"...
Mocium panie... „wziąć w sposobie,
Jako ufność ku osobie"...
Mocium panie... „waszmość pana,
Która lubo mało znana...
Która lubo mało znana"...
pokazując palcem
Cóż to jest?
DYNDALSKI
podnosząc się
Żyd – jaśnie panie,
Lecz w literę go przerobię.
CZEŚNIK
Jak mi jeszcze kropla skapie,
To cię trzepnę tak po łapie,
Aż proformę wspomnisz sobie. –
Czytaj waść...
Dyndalski ociera pot aż po karku.
No! – Jak tam było?
DYNDALSKI
czyta
„Bardzo proszę mocium panie
Mocium panie me wezwanie
Mocium panie wziąć w sposobie
Mocium"...
CZEŚNIK
wyrywa i drze papier
Niech cię czarci chwycą
Z taką pustą mózgownicą!
„Mocium panie" cymbał pisze!
DYNDALSKI
Jaśnie pana własne słowo.
CZEŚNIK
Milcz waść! – Przepisz to de novo.
„Mocium panie" opuść wszędzie.
DYNDALSKI
chcąc zbierać kawałki
Z tych kawałków trudno będzie.
CZEŚNIK
Pisz de novo, pisz, powiadam. – Mózgu we łbie za trzy grosze! Siadaj! – Siadaj, mówię.
DYNDALSKI
Siadam.
CZEŚNIK
I powtarzaj.
dyktuje
„Bardzo proszę"...
Moć...
Zatyka sobie usta ręką.
DYNDALSKI
powtarzając napisane
Moć...
CZEŚNIK
zrywa się
Co moć?... Cóż moć znaczy?...
Z tym hebesem nie pomoże;
Trzeba zrobić to inaczej [...].

Scenka jak scenka, tyle że mało czytelna, bo kto to hebes, nie wiedzą ani uczniowie, ani większość polonistów, ale przede wszystkim, co w niej robi Żyd przerabiany na literę! Od litery krok tylko do mydła, a w polskiej szkole antysemityzm nie ma racji bytu w żadnej, ale to żadnej postaci. Choćby i Fredrowskiej.

Ten sam autor napisał wszakże w młodości wdzięczne utwory: jednoaktówkę „Zaślubiny Idzi" i tragedię w trzech aktach „Piczomira, królowa Branlomanii". Zwłaszcza „Piczomira..." winna zastąpić w szkole „Zemstę", zwłaszcza że tekst jej będzie jak znalazł także na lekcjach edukacji zdrowotnej. Z tym pięknym finałem:

CHUJOSŁAW
Narodzie, niech dziś wszędzie lubieżność panuje,
Niechaj dzień cały sterczą i rzygają chuje!
CAŁY NARÓD
Niech żyją długie lata wśród ciągłej swobody,
Nadobna Piczomira i Chujosław młody! ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

Polacy znów na ławie oskarżonych

Remigiusz Włast-Matuszak

Czy film Jerzego Skolimowskiego „Anioł Śmierci" zostanie zrealizowany? Czy Polacy zostaną w nim pokazani najwyżej jako kapo czy też będą całkowicie pominięci, jak np. bł. Stanisława Leszczyńska z bloku porodowego u dr. Mengele?

Jerzy Skolimowski rozpoczął realizację filmu „Anioł Śmierci" o dr. Josefie Mengele FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

Barbara Engelking – psycholog i socjolog, profesor, kierownik Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii PAN – była w latach 2014–2018 przewodniczącą Rady Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. 13 maja 2025 r. z nominacji ówczesnej minister kultury i dziedzictwa narodowego Hanny Wróblewskiej objęła ponownie to stanowisko. Powrót Engelking wywołał spore zaskoczenie, zdziwienie i protesty.

Przypomnijmy, że prof. Engelking wraz z Janem Grabowskim (uczonym, profesorem Uniwersytetu w Ottawie) w 2018 r. nakładem Stowarzyszenia Centrum Badań nad Zagładą Żydów wydała wysoce kontrowersyjną publikację pt. „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski". List otwarty podważający antypolskie tezy autorów zawarte m.in. w tej publikacji podpisało 138 (!) naukowców. Grabowski „opracował", dobierając tendencyjnie fakty i manipulując nimi, losy Żydów w powiecie Węgrów, a Engelking zajęła się powiatem Bielsk Podlaski. Z powiatów na Kresach opracowano tylko powiat Złoczów (a jak zostało udowodnione, w tamtych regionach to nacjonaliści ukraińscy, zanim dokonali masowego mordu na Polakach, wymordowali ok. 95 proc. ludności żydowskiej).

W Yad Vashem w Jerozolimie jest upamiętnionych za pomoc Żydom w okupowanej Polsce 7232 Polaków. Polska była jedynym krajem okupowanym przez Niemców, gdzie za tę pomoc groziła śmierć, i to często zbiorowa. Ponad 42-milionowa Francja (gdzie za ukrywanie Żydów groził mandat w wysokości 5 tys. franków!) ma tylko 4206 drzewek. Ile drzewek mają Ukraińcy? 2691 – aż mi się nie chce w to wierzyć. I dalej wyrywkowo: Rosja – 217, Czechy – 125, Austria – 115, Luksemburg – 1 – jedno drzewko!

Historycy dr Piotr Gontarczyk i dr Tomasz Domański w obszernych publikacjach udowodnili fałszywość tez i tendencyjność dobranych zdarzeń zawartych w „Dalej jest noc…". Ta publikacja stała się w Polsce i na świecie argumentem w uprawianiu „pedagogiki wstydu", w ugruntowywaniu tezy o współwinie Polaków za Holokaust. Ponieważ tzw. nazistów już nie ma i się o nich nie mówi, zostali tylko Polacy. Pogląd, o którym mowa, rozpowszechnił się wśród diaspory żydowskiej jako „prawda obiektywna" i jest nie do obalenia. Tu tytułem dygresji można przypomnieć tegoroczny niedawny incydent, gdy na Węgrzech, konkretnie w Debreczynie, po treningu piłkarzy młody zawodnik izraelskiego klubu Maccabi Hajfa rzucił się z pięściami na polskich zawodników Rakowa Częstochowa. Mało tego – kibice z Izraela wywiesili skandaliczny transparent: „Murders since 1939" („Mordercy od 1939"). Litwacy w kolejnych pokoleniach po prostu nas nienawidzą.

PAŁKA ANTYSEMITYZMU

Według naukowców pokroju Barbary Engelking, Jana Grabowskiego, Jana Tomasza Grossa w czasie okupacji niemieckiej zamordowaliśmy ponad 200 tys. Żydów, a po wojnie do 1947 r. ponad 1,1 tys. Żydów. W związku z tym przywołam epizod, do którego doszło w czasie kolaudacji w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej filmu dokumentalnego „Dzieci chaosu" o powojennych losach dzieci z różnych krajów, w tym sierot żydowskich w „antysemickiej" Polsce. Autorami tego filmu z 2023 r. są francuscy reżyserzy Agnes Pizzini i Julien Johan. Wyprodukował go polsko-francuski producent Rafael Lewandowski. Konsultantem historycznym filmu był zaś dr Marcin Zaremba z Uni-

eprasa.pl c7cac20f2f

wersytetu Warszawskiego, publikujący m.in. w „Gazecie Wyborczej". Ten ostatni w trakcie kolaudacji udowadniał mi, że poza Kielcami w 1946 r. pogromy były też w Krakowie, Rzeszowie i kilku innych miastach w Polsce. Skończyło się to awanturą, a dr Marcin Zaremba był głuchy na wszelkie moje argumenty. Rafael Lewandowski zagroził mi pozwem sądowym, po czym interweniował w MKiDN, oskarżając mnie o antysemityzm. Ledwie się wybroniłem przed pomówieniem. Pałka antysemityzmu jest stale w użyciu.

14 września 2003 r. (za rządów Leszka Millera – wtedy z SLD) MON (szefem był Jerzy Szmajdziński – też SLD) wydało kuriozalną, nieprawdopodobną zgodę na to, by trzy izraelskie myśliwce F-15 przeleciały nad terenem obozu Auschwitz. Zrobiły to trzykrotnie. Żadne suwerenne państwo na taką obcą demonstrację militarną by się nie zgodziło. Taki niebywały przelot na polskim niebie jednak się odbył. Na uroczystościach było obecnych ponad 100 (stu) oficerów armii izraelskiej. Ambasadorem Izraela w RP był Szewach Weiss (ponoć najbardziej propolski ambasador tego państwa w Polsce). Nie wspomnę tu o wyczynach ambasador Anny Azari w latach 2014–2019 i jej przemówieniach na uroczystościach w Muzeum Auschwitz-Birkenau i na Dworcu Gdańskim w marcu 2018 r. – o polskich „demonach antysemityzmu".

W latach 90. i późniejszych parę razy padły żądania polityków izraelskich, by terenowi byłego obozu koncentracyjnego, dzisiaj Muzeum Auschwitz-Birkenau, nadać status „międzynarodowy" lub doprowadzić do tego, żeby podlegał jurysdykcji Izraela. Pamiętajmy, że stale wisi nad nami straszak ustawy nr 447 Kongresu USA z 2017 r. dotyczącej tzw. bezspadkowego mienia pożydowskiego w Polsce. To ok. 60 mld dol. Aż się prosi spytać: O Polskę w jakich granicach chodzi? Czy tych z 1939 r.? Czy może z 1945 r.? Czy odszkodowanie będzie wypłacane z procentem składanym? Po cenie uncji złota z 1945 r. czy z 2025 r.? No i tu sobie wyobraźmy, że wchodzi na scenę dr Barbara Engelking zawiadująca Radą Muzeum Auschwitz-Birkenau. Co za chwilę wymyśli, nagłośni na świecie i poprze?

Dziwnym przypadkiem pospieszył jej ze wsparciem znany reżyser Jerzy Skolimowski, który nagle, z cicha pęk (duże

W KL Auschwitz Niemcy doprowadzili do śmierci ok. 75 tys. Polaków ze 150 tys. osadzonych, ale o tym fakcie wspominają tylko polscy „antysemici"

pieniądze lubią ciszę) zaczął realizację międzynarodowego filmu zatytułowanego „Angel of Death" („Anioł Śmierci"). Akcja toczy się w realiach KL Auschwitz-Birkenau i przedstawia historię dr. Josefa Mengele, naczelnego lekarza tego obozu w stopniu kapitana SS. Jest to opowieść węgierskiego Żyda z Rumunii (z Siedmiogrodu), anatomopatologa dr. Miklósa Nyiszliego (nr obozowy A 8450), który cudem przeżył obóz i jego ewakuację, i opisał to w pamiętnikach wydanych również po polsku i angielsku. Przymusowy współpracownik dr Mengele według producentów filmu „walczył o zachowanie człowieczeństwa, będąc zmuszany do okrucieństw Holokaustu". Uczestniczył w codziennych zbrodniczych eksperymentach na bliźniętach i karłach. Ocena moralna jego czynów nie jest dla mnie jednoznaczna. Na tych pamiętnikach oparł się dość znany aktor amerykański Shia LaBeouf, który nie zna realiów okupacji niemieckiej w Polsce, w tym terroru, który panował w KL, ale napisał „hollywoodzki" scenariusz. Polski Instytut Sztuki Filmowej w osobie dyrektor Kamili Dorbach akceptował realizację filmu przez Skopia Film (kapitał zakładowy 100 tys. zł, wspólnik i zarząd – Jerzy Skolimowski). Budżet superprodukcji to ponad 40 mln zł, z tego dyrektor Dorbach z kieszeni podatnika dała im (mu) skromne 5 mln zł. Oczywiście zaraz będzie prośba o „zwyżkę" i pokrycie kosztów dystrybucji – słowem: można się spodziewać następnych 5 mln zł.

Mistrz Skolimowski skończył 87 lat. Najlepsze filmy zrealizował ponad 50 lat temu: „Rysopis" – w 1964 r., „Walkower" – w 1965, „Bariera" – w 1966, „Ręce do góry" – w 1981 i potem miał gwałtowne załamanie formy – superprodukcja za 20 mln dol. „Przygody Gerarda" – w 1970 r., opowieść przygodowa z przełomu wieków XVIII i XIX, okazała się zupełną klęską. Film z trudem został zmontowany i padł w dystrybucji. To wówczas wielcy producenci filmowi wycofali się ze współpracy ze Skolimowskim.

W 2010 r. reżyser nakręcił antyamerykański film o wojnie w Afganistanie (?) pt. „Essential Killing", a w 2022 r. „IQ" – poprawną do bólu opowieść o losach osiołka, od polskiego cyrku do włoskiej rzeźni.

Obawiam się, że reżyser Skolimowski nakręci międzynarodową historyjkę, której geneza została już opisana w książce „Przedsiębiorstwo holokaust" autorstwa amerykańskiego historyka żydowskiego pochodzenia Normana Finkelsteina. Autor denuncjuje w niej prominentnych Żydów i żydowskie organizacje, wykorzystujące tragedię Holokaustu do celów politycznych (np. w Polsce) oraz dla jawnych korzyści materialnych! Książka była wydana w Polsce w roku 2001. Finkelstein został wyklęty przez środowiska żydowskie. W 2008 r. dostał 10-letni zakaz wjazdu do Izraela. Polski przekład jego książki kosztuje na Allegro 70 zł.

Czy film Skolimowskiego zostanie zrealizowany? Zapewne w języku angielskim. Czy Polacy zostaną najwyżej pokazani jako kapo itd. czy też będą całkowicie pominięci, jak np. bł. Stanisława Leszczyńska z bloku porodowego u dr. Mengele?

„DLACZEGO NIE PROTESTOWALIŚCIE?"

Decyzje polityczne to łańcuchy przyczynowo-skutkowe. Premiera „Anioła Śmierci" w Muzeum Auschwitz-Birkenau z udziałem dr Barbary Engelking, Jerzego Skolimowskiego i znamienitych gości z całego świata? Dlaczego nie? W KL Auschwitz Niemcy doprowadzili do śmierci ok. 75 tys. Polaków ze 150 tys. osadzonych, ale o tym fakcie wspominają tylko polscy „antysemici". Przypomnijmy, że młodzież izraelska w 1994 r. łomotała do drzwi mieszkańców Oświęcimia, krzycząc: „Dlaczego nie protestowaliście? Dlaczego nie demonstrowaliście na ulicach przeciw Holokaustowi?". Świadomość młodych Żydów w Izraelu, USA i innych krajach jest właśnie taka – „dlaczego nie protestowaliście". Oświęcim, czyli KL Auschwitz-Birkenau, ma być wyłącznie synonimem Holokaustu. Kamila Dorbach i Jerzy Skolimowski przykładają do tego rękę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Najlepszy przyjaciel

★★★★★☆

SEZON 2
„PLATONICZNA PRZYJAŹŃ" („PLATONIC")
USA 2025

wyst. Seth Rogen, Rose Byrne

Chłopak i dziewczyna po przejściach: kiedyś byli parą, dziś Will i Sylvia wchodzą w kryzysy wieku średniego. On właśnie się rozwodzi, ona ma męża, dzieci i poczucie, że trochę się w tym wszystkim zakopała. Na początku nawet nie potrafią ponownie ze sobą rozmawiać, bo przeszłość zawsze ciąży na teraźniejszości. No i poza tym: Czy mężczyzna i kobieta mogą być po prostu przyjaciółmi? Czy to możliwe, by spędzali razem czas, żartowali, zwierzali się sobie – ale bez erotycznych podtekstów?

Małżeństwo Francesca Delbanco i Nicholas Stoller, twórcy serialu „Platoniczna przyjaźń", udowadniają, że tak – i ja im wierzę. Zamiast typowego dla seriali napięcia „czy on i ona wreszcie to zrobią", dostajemy jego odwrotność „kiedyś już to zrobili, czy teraz wszystko popsują?". Na szczęście nie, okazuje się, że przede wszystkim będą sobie nawzajem w stanie pomóc. Nie tylko dobrą radą, ale po prostu samą swą obecnością i własnymi kłopotami otworzyć oczy drugiej stronie na to, co dzieje się w jej własnym życiu.

Tak było w pierwszym sezonie (rok 2023), który zdawał się zamkniętą całością. Czy drugi jest potrzebny i równie dobry? Okazuje się, że tak. Chwyt jest genialnie prosty: w pierwszym sezonie to Sylvia swoimi rozterkami i decyzjami pomogła Willowi zrozumieć, że dryfuje w życiu i że coś powinien zmienić, naprawić. A w sezonie drugim jest odwrotnie, to dzięki Willowi Sylvia zacznie widzieć świat nieco inaczej. Zresztą siłą tej historii jest właśnie to, że bohaterowie uczą się od siebie, że się napędzają nawzajem, że stają się lepsi.

Nie byłoby tego, gdyby nie doskonała obsada. Seth Rogen jako Will i Rose Byrne jako Sylvia pasują do siebie idealnie. Oboje mają charyzmę i urok (choć różnych typów: on wiecznego studenta, ona królowej balu maturalnego), jest między nimi chemia. Dzięki temu bardzo łatwo trzymać kciuki za jedno i drugie, a bez tego przecież nie ma dobrej feel good comedy.

W bibliotece Apple TV+ wypada postawić ten serial gdzieś obok „Teda Lasso", „Mistrza kija" czy „Terapii bez trzymanki". Myślę, że to dobra rekomendacja. ©℗

GRA TYGODNIA: „SILENT HILL F"

Japońskie miasteczka z lat 60. XX w. i nastoletnia protagonistka, poddana presji otoczenia… W kontekście serii „Silent Hill" brzmi jak przepis na katastrofę, ale tak nie jest. Kiedy świat spowija mgła, czuć tu ducha „SH". Ciężki klimat i dorównująca mu mocna opowieść, angażująca rozgrywka – wszystko tu się zgadza. Zmianie uległ system walki. Nastolatka stawia czoła złu uzbrojona w to, co akurat wpadnie jej w ręce, a że nie jest herosem, musi podejść do sprawy bardziej taktycznie. Twórcy jak ognia unikają soulslike'owych porównań, ale uciec przed nimi zupełnie nie zdołają. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *survival horror, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *NeoBards; Konami (PL: Cenega)*

eprasa.pl c7cac20f2f

Cztery pory roku

KINO

Dawno temu w Trentino. Z jakiegoś powodu włoskie reżyserki upodobały sobie okres pod każdym względem przełomowy, gdy wszyscy ludzie chcący uchodzić za poważnych ćmili papierosy, a branża filmowa chorowała na neorealizm. Maura Delpero, w przeciwieństwie do rzymianki Paoli Cortellesi, lepiej czuje wiejskie klimaty. Opowiada historię, która zaczyna się po bożemu, od dojenia krowy. Mieszkańcy Vermiglio są religijni i zarazem przesądni. Klepią biedę, jednak nie mają w zwyczaju się nad sobą rozczulać. Żyją jakby poza czasem, choć świat właśnie zmienia skórę. Wojna ma się ku końcowi. Duce jest już politycznym trupem. Niemieckich żołnierzy dawno nikt nie widział, a w stodole ukrywa się dwóch dezerterów. Młodszy z nich, Sycylijczyk, wpada w oko Adzie, najstarszej córce miejscowego nauczyciela. Ów pedagog to ciekawa figura: patriota zdecydowany nałożyć kaganiec oświaty także dorosłym analfabetom, wielbiciel muzyki klasycznej i lokalny autorytet, we własnym domu coraz częściej wypada z roli czcigodnego patriarchy. Żona niby potulna, dzieciaki chodzą jak na sznurku, jednak w powietrzu wisi bunt. Dla rodziny Graziadei ów rok będzie brzemienny w wydarzenia oraz ich konsekwencje.

★★★★☆☆

REŻ. MAURA DELPERO
„DROGA DO VERMIGLIO”
WŁOCHY/ FRANCJA/BELGIA 2024

wyst. Tommaso Ragno, Roberta Rovelli, Giuseppe De Domenico

Film, nagrodzony w Wenecji i nominowany do Oscara, jest kolejnym sygnałem, że włoska kinematografia po kilku dekadach zapaści stopniowo wraca do formy. Naturszczyków trudno odróżnić od zawodowców, co potwierdza tezę, że każdy mieszkaniec Italii niezależnie od płci, wieku, stanu zdrowia i wykonywanego zawodu jest urodzonym aktorem. Jeśli nudzą cię rozlewne fabuły, pozbawione wątków pedofilskich, jawnie politycznych tudzież antyklerykalnych, to zamiast „Drogi do Vermiglio” wybierz lepiej inny kierunek. Sądząc po internetowych recenzjach, publiczność mamy coraz bardziej rozwydrzoną. Wśród zarzutów pod adresem twórców filmu najczęściej pojawia się pretensja, że pod względem wizualnym jest on zanadto dopieszczony. Iwaszkiewicz i Siemiradzki przewracają się w grobach ze śmiechu. Narzekać na zbyt estetyczne kadry mogą chyba tylko ci, którzy nigdy w życiu nie bawili we Włoszech. ©℗

Wiesław Chełminiak

WESELE NA OPAK

Jak się żegnać, to z przytupem. Alejandra, kulturowa rewizjonistka, i Alex, zwolennik otwartej konserwy, ostatniego dnia lata chcą wyprawić wielką imprezę. Hiszpanie bawić się umieją, lecz powód owej fiesty jest specyficzny – rozstanie. Jak mawia ojciec Alejandry – samozwańczy filozof – lepiej świętować końce niż początki. Po 14 latach rutyna oraz brak sukcesów zawodowych doszczętnie zrujnowały związek, który rodzinie i znajomym wydawał się doskonały. Jak na komedię jest to mało śmieszne, jak na dramat – za błahe. Przypominają się, wcale liczne, polskie produkcje, których autorzy z powodu narcyzmu lub zwykłego braku inwencji kierowali kamerę w stronę lustra, tudzież nużące filmy o tym, jak trudno jest zrobić film. Ludzie żyją coraz dłużej, a kryzys wieku średniego dopada już trzydziestoparolatków. Europo, quo vadis? ©℗

NH nowe horyzonty

★★★☆☆☆

REŻ. JONÁS TRUEBA
„WRÓCICIE DO SIEBIE”
HISZPANIA/ FRANCJA 2024

wyst. Itsaso Arana, Vito Sanz, Fernando Trueba

DO ZOBACZENIA

Puszka zupy i coś jeszcze

RADOSŁAW WOJTAS

GDZIE? ***Pop Culture Gallery, Stary Browar, Poznań***
KIEDY? ***do 28 lutego 2026 r.***

Teza, którą stawiają autorzy wystawy „Andy Warhol. A Kind of Retrospective” – że Warhol jest najbardziej znanym twórcą na świecie – jest co najmniej dyskusyjna, lecz trudno nie zgodzić się z tym, że jego twórczość to dużo więcej niż Marilyn Monroe i puszka zupy Campbell.

To „dużo więcej” pokazano na trzech kondygnacjach Pop Culture Gallery w Starym Browarze w Poznaniu. Nie ma tam tego, z czym ikona popartu najbardziej się kojarzy, są za to mniej mainstreamowe prace, m.in. grafiki, polaroidy, filmy, szkice, archiwalne reklamy, zaprojektowane przez Warhola okładki płyt i magazynów „Interview”, tekstylia czy autoportret NFT wykonany na komputerze Amiga.

Wystawę zbudowano wokół pytania o to, w jaki sposób twórczość jednego artysty przeniknęła tak wiele obszarów życia współczesnego i dlaczego jego wizje wciąż działają z taką siłą? – Instagram, YouTube, reality show, selfie, kontent wiralowy, tabloidy on-line i TMZ – cały ten świat operuje dziś według zasad, które Warhol dostrzegł i uruchomił dekady temu – mówi Wojtek Piotr Onak, kurator wystawy. – Współczesna popkultura to jego dzieło, nawet jeśli o tym nie wie. ©℗

FOT. POP CULTURE GALLERY, STARY BROWAR

eprasa.pl c7cac20f2f

MOJA PÓŁKA

Stypendium cięższe niż kamień

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Miał 17 lat, gdy porzucił uczelnię – Instytut Politechniczny i Rolniczo-Leśny w Nowej Aleksandrii, jak zaborca nazwał Puławy, i w 1863 r. poszedł do powstania. Ze swoim oddziałem walczył z Moskalami na Lubelszczyźnie i Mazowszu u boku swego kolegi, Adama Chmielowskiego. Obaj zostali malarzami, a Chmielowski nawet świętym. To właśnie późniejszy brat Albert namówił przyjaciela, by przeniósł na płótno to, co przeżył w działaniach insurekcyjnych. Tak powstał m.in. „Patrol powstańczy", obok rysunków Grottgera najbardziej znacząca ikona powstania styczniowego w sztuce polskiej.

Maksymilian Gierymski, bo o nim mowa, zmarł młodo, na gruźlicę w 1874 r. Dziś wspominany bywa najczęściej jako starszy brat Aleksandra, artysty wsławionego takimi obrazami jak „Wieczór nad Sekwaną", „Święto Trąbek", a przede wszystkim „Żydówka z pomarańczami". Przeżył Maksymiliana o 27 lat. Zmarł w Rzymie, w zakładzie dla obłąkanych; dopiero po latach koledzy artyści z kolonii polskiej wystawią mu pomnik na cmentarzu Campo Verano. Popiersie jest dziełem Antoniego Madeyskiego. Rzeźbiarz oddał zmarłemu własne ubranie do trumny.

Pochówek Maksymiliana był równie smutny. W jego pogrzebie w Bad Reichenhall wzięły udział tylko trzy osoby: brat Aleksander i dwaj przyjaciele, Adam Chmielowski i, chyba, Roman Padlewski. A przecież w Monachium, w którym malarze z Polski rodem stanowili potężną gromadkę, uważany był obok Brandta i Wierusz-Kowalskiego za jednego z najważniejszych twórców. A o sukces nad Izerą nie było łatwo. W jednym z listów Maksymilian Gierymski konstatował: „Strona przychylna nam wyznaje wprost, że Polacy wzrósłszy i wykształciwszy się na ich terytorium, wywierają teraz wpływ korzystny na sztukę Niemców, odwzajemniając się niejako za przychylne przyjęcie, kiedy niechętni, a tych jest większość […], złośliwym uśmiechem i szykaną przyjmują wszystko, co nosi w podpisie autora zakończenia na -ski".

A skąd się wziął Gierymski w Bawarii? Otóż dzięki stypendium otrzymanemu z rąk Fiodora Berga, ostatniego namiestnika Królestwa Polskiego, bezwzględnego rusyfikatora urzędującego na Zamku Królewskim, gdzie przyjął utalentowanego młodziana, raczył obejrzeć przedstawione mu szkice i wspomógł go materialnie. Postarał się o to ojciec braci Gierymskich, intendent koszar i Szpitala Ujazdowskiego, gorliwy wykonawca rosyjskich rozkazów. Gdyby nie jego wstawiennictwo, Maksymilian – uczestnik powstania styczniowego – powędrowałby w zupełnie inne strony, a w drodze mógłby zaśpiewać sobie: „Do Tobolska etapem pojedziemy z kacapem".

Uwierać będą Maksymiliana Gierymskiego pieniądze otrzymane z łaski Berga, choć warto tu wspomnieć, że audiencję u carskiego namiestnika podpowiedział mu sam Juliusz Kossak, który – jak czytamy w wydanej właśnie książce Marka Sołtysika o braciach Gierymskich – „starszy od niego o 22 lata, sam żyjący z uprawianej sztuki i potrafiący utrzymać na wysokim poziomie żonę i dzieci, nie wiadomo, dlaczego wziął sobie za punkt honoru wykierowanie Maksa na człowieka, który będzie zarabiał na życie, malując i nic oprócz tego nie robiąc (bo wszystko inne rozprasza)".

Marek Sołtysik pięknie opowiedział historię pasjonującą, dramatyczną, smutną, a nade wszystko prawdziwą. Zwracając uwagę na wszystkie wydarzenia mające wpływ na malarstwo Gierymskich, a także na samo malarstwo, fachowo, przystępnym językiem wprowadzając nawet laika w tajniki plastycznego warsztatu. Dzięki temu łatwiej nam zrozumieć relacje obu braci i pojąć, dlaczego uwaga Maksymiliana poczyniona w obecności Chmielowskiego: „A mówiłem durniowi, żeby zielonego nie dawał!" tak zabolała Aleksandra, że przez lata będzie o niej pamiętał i wypowie cięższe od kamienia zdanie: „Od śmierci brata zostałem człowiekiem".

Maksymilian bardzo szybko osiągnął powodzenie, Aleksandrowi to się nie udało. Sam się do tego przyczynił, brzydząc się i gardząc materialnymi dowodami artystycznego sukcesu, a przecież skrycie marząc o nich. Zresztą gdyby nie sławny bogacz i awanturnik Ignacy Korwin-Milewski, nie stać byłoby Aleksandra na nic.

Książka Marka Sołtysika przynosi też interesujący obraz monachijskiej rzeczywistości. Stanisław Witkiewicz, ojciec Witkacego, przyjaciel Aleksandra Gierymskiego o bawarskiej Akademie der Bildenden Kunste pisał: „Akademia monachijska była w owych latach najrozumniej zorganizowanym zakładem wychowawczym dla artystów. Mogła ona wyrządzić minimum szkody, jaką zawsze każdy system kształcenia artystów im wyrządza, ponieważ, ściśle biorąc, nie było w niej żadnego systemu".

Oczywiście przesadzał. Akademia dawała świetny warsztat, a że nie narzucała swojego stylu, to dzięki temu mogli w niej w miarę swobodnie doskonalić swój kunszt twórcy tej rangi co właśnie Maksymilian i Aleksander Gierymscy. ©℗

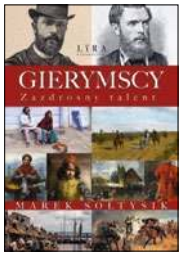

★★★★★

MAREK SOŁTYSIK „GIERYMSCY. ZAZDROSNY TALENT"
LIRA, WARSZAWA 2025

eprasa.pl c7cac20f2f

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Márai najważniejszy

Intrygujące są już same dzieje cyklu „Dzieło Garrenów". Opus magnum Sándora Máraiego to pięć powieści (wydanych w trzech tomach), z których pierwsza powstała w 1930 r. i miała być osobną całością, kolejne zaś pisane były w sporych odstępach przez dwie kolejne dekady. Ostateczną redakcję i nowy kształt książkom „Zbuntowani", „Zazdrośni", „Obcy", „Znieważeni" i „Maruderzy" nadał pisarz w roku 1988, tuż przed śmiercią, domykając pracę, o której niemal pół wieku wcześniej pisał w „Dzienniku", że gdyby jej nie kontynuował, to „wszystko było daremne: moja praca i życie".

Rodzinne miasto Kass, Koszyce, zamienia się na tych stronicach w Miasto, geografia staje się nieco fantastyczna (Miasto leży nad morzem); szukając symbolu, Márai ocala realizm. Cała reszta bowiem wywiedziona jest z tego, co przeżył, widział i przemyślał. W centrum historii mamy rodzinę Garrenów: ojciec – wzór patrycjusza; dzieci – rozpierzchnięte po świecie (oprócz córki, która została przy ojcu). Emmanuel został z wyboru człowiekiem bez ojczyzny, Tamas wstąpił do partii nazistowskiej, bo uznał, że tak bezpieczniej; alter ego autora, czyli pisarz Peter, obserwuje wszystko, co dzieje się dokoła, i jest kronikarzem klęski.

Upadek następuje na wielu poziomach. Konsumpcjonizm zabija sztukę, nowoczesność zabija religię, historyczne wichry zmieniają granice i mieszkańcy Miasta (oraz wielu innych miast w naszej części Europy) budzą się nagle pod obcym butem. Rozpadają się dawne tożsamości, miejsce Boga zajmują bożki: ideologia, samolubność, materializm. Tam, gdzie nie ma prawdy, tradycji i obowiązku, tam jest nicość; nicość ma zaś to do siebie, że wypełnia ją byle co.

Co zostaje? Czym było tytułowe „Dzieło Garrenów"? Doskonalić się i dbać o powierzone dobro, ale zawsze z myślą o innych. Rozwijać się, nabywać nowe umiejętności, ale nie pobłażać sobie. Ciśnie się na usta słowo „etos", tyle że polityczna codzienność III RP wytarła je do cna ze znaczeń.

Wróćmy na Węgry. Świat wspierał się na Garrenach i ich poczuciu obowiązku, świat zmiażdżył Garrenów, świat bez Garrenów przestał być prawdziwym światem. Wspaniała, gorzka, wielowątkowa opowieść jednego z nielicznych wielkich pisarzy, którzy byli prawdziwymi kronikarzami XX w. ©℗

★★★★★☆
SÁNDOR MÁRAI „DZIEŁO GARRENÓW" CZYTELNIK 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Pięć tysięcy lat bogactwa, chciwości i pracy" – panorama dziejów od chwili, gdy wrotami do tajemnic kontynentu był Egipt faraonów, do dzisiejszych intryg Chin. Nie ma jednej Afryki, są setki rozmaitych historii – wszystkie ciekawe.

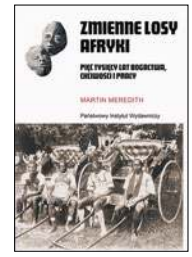

MARTIN MEREDITH „ZMIENNE LOSY AFRYKI" PIW

O relacjach między Słowianami w XIX w. – fascynujący obraz kotła narodów w Wiedniu, opowieść o wizjach współpracy serbsko-bułgarskiej i panslawizm widziany oczami polskich dziennikarzy oraz autorów przed pierwszą wojną światową.

AUTORZY RÓŻNI „SŁOWIAŃSKA WSPÓLNOTA?" WYDAWNICTWO UJ

Nowa książka autorki „Zagubionych w Neapolu". Szesnastoletnia Frida z USA przybywa pod Neapol, gdzie znajdzie mądrość mammy Fridy i fascynację nie tylko kuchnią i krajobrazem, lecz także chłopakiem z kręgów Camorry.

HEDDI GOODRICH „AMERYKANKA WE WŁOSZECH" ZYSK I S-KA

Drugi tom (po „Ostatnim wielorybie") gromadzący niewielki, ale wciąż intrygujący dorobek klasyka sowieckiej SF. Ironia i pomysłowość autora stawiają go gdzieś obok Andrzeja Czechowskiego i Roberta Sheckleya.

recenzuje Piotr Gociek

ILJA WARSZAWSKI „DONOMAG I INNE OPOWIEŚCI" STALKER BOOKS

KOMIKS TYGODNIA:
KONIEC ŚWIATA. I POCZĄTEK

Aż dziw, że dotąd nie było okazji wspomnieć: sześciotomowy cykl Roberta Aguirre'a-Sacasy i Mike'a Perkinsa to obszerna i wierna adaptacja najciekawszej powieści Stephena Kinga. „Bastion" to klasyka literatury apokaliptycznej, ze świetnie nakreślonymi postaciami, pandemią oraz osobistą interwencją zarówno Szatana, jak i Pana Boga. Tom piąty, „Ziemia niczyja", już w sprzedaży.

Piotr Gociek

ROBERTO AGUIRRE-SACASA, MIKE PERKINS „BASTION" ALBATROS 2025

eprasa.pl c7cac20f2f

FOT. ADOBE STOCK

Edukacja czy indoktrynacja

Bogdan Chazan

Realizacja programu edukacji zdrowotnej w obecnej formie prowadzić będzie do poważnych zagrożeń zdrowia fizycznego, psychicznego i duchowego dzieci oraz młodzieży. Zagrożone będzie prawidłowe funkcjonowanie ich rodzin, pogorszeniu ulegną sytuacja demograficzna Polski oraz zdrowie przyszłych pokoleń

Jestem lekarzem położnikiem i ginekologiem, już na emeryturze. Do wypowiedzi na temat edukacji prozdrowotnej w szkołach upoważnia mnie wieloletnia współpraca w przeszłości z Ministerstwem Edukacji w pracach nad podstawą programową przygotowania do życia w rodzinie oraz recenzowanie podręczników szkolnych o tej tematyce. Przez kilka kadencji, w sumie 28 lat, byłem członkiem Rządowej Rady Ludnościowej.

Prawdziwa edukacja zdrowotna w okresie nauki szkolnej to najbardziej opłacalna, długofalowa inwestycja w zdrowie społeczeństwa. Jest też podstawowym prawem każdego dziecka, zdrowy uczeń prawidłowo się rozwija fizycznie, psychicznie i emocjonalnie, lepiej się uczy. Program takiego przedmiotu powinien zawierać promocję wśród uczniów zachowań i postaw sprzyjających zdrowiu. To profilaktyka pierwotna, najbardziej skuteczna. Powinny tam się znaleźć kształcenie odpowiednich nawyków i umiejętności oraz troska o zdrowie.

Cały program EZ dokładnie przeczytałem. I dochodzę do wniosku, że jego realizacja w obecnej formie prowadzić będzie do poważnych zagrożeń zdrowia fizycznego, psychicznego i duchowego dzieci oraz młodzieży. Zagrożone będzie prawidłowe funkcjonowanie ich rodzin, pogorszeniu ulegną sytuacja demograficzna Polski oraz zdrowie przyszłych pokoleń.

Spróbuję to krótko uzasadnić.

BRAK TROSKI O PŁODNOŚĆ, O ZDROWIE PROKREACYJNE W PRZYSZŁOŚCI

Konieczne jest wychowywanie dzieci i młodych ludzi w duchu afirmacji płodności i troski o nią, poszanowaniu dla ludzkiego życia przez cały czas jego trwania od momentu poczęcia. Edukacja prozdrowotna powiązana z ludzką płciowością, jej funkcją więziotwórczą i, koniecznie, rodzicielską powinna być w szkołach częścią wychowania, prowadzenia ku dojrzałości. Powinna kształtować pozytywny obraz rodzicielstwa i rodziny.

Okres wzrastania i rozwoju to czas, w którym młodzi ludzie nierzadko podejmują ryzykowne, niesprzyjające zdrowiu zachowania. A trzeba widzieć, że to właśnie w okresie dojrzewania i młodości determinuje się stan zdrowia w przyszłości, czas trwania życia, podatność na choroby. W okresie dojrzewania organizm chłopca lub dziewczynki jest wyjątkowo podatny na różne czynniki, które mogą w sposób trwały zaburzyć stan zdrowia, w tym zdrowia prokreacyjnego. Należą do nich: przedwczesna inicjacja seksualna, nieuporządkowane relacje seksualne, papierosy, alkohol i inne substancje uzależniające, nieprawidłowe odżywianie,

eprasa.pl c7cac20f2f

otyłość czy przesadna dbałość o szczupłą sylwetkę, brak snu. Prowadzą one do chorób przenoszonych drogą płciową, w tym HIV, nieplanowanej ciąży, aborcji, w przyszłości niepłodności, porodów przedwczesnych, nowotworów narządów płciowych, różnych dolegliwości subiektywnych.

Z medycznego punktu widzenia jest sprawą oczywistą, że abstynencja seksualna w tym czasie to najlepszy sposób pierwotnej profilaktyki. Co proponuje zamiast profilaktyki pierwotnej program EZ? Wczesną inicjację seksualną, byle tylko odbyły się przed nią negocjacje co do świadomej zgody i zostały zastosowane nieskuteczne i szkodliwe środki antykoncepcyjne. Zamiast zachęty do poczekania na dorosłość, prawdziwą miłość i małżeństwo zaleca się podejście: „Jeżeli chcesz, to idź w to, tylko się zabezpiecz".

JAKA EDUKACJA SEKSUALNA?

Mądra, nowocześnie pojmowana edukacja seksualna powinna dostarczać uczniom wiedzy na temat odmienności ciał mężczyzny i kobiety, odmienności psychiki obu płci, nie może być oderwana od świata uczuć, nie powinna tłumić naturalnych u młodych osób wrażliwości czy wstydu, a sprawy płci powinny być traktowane jako wartość i dobro. W edukacji seksualnej konieczne są odniesienia do systemu wartości i norm moralnych, takich jak: godność człowieka, szacunek dla partnera, szacunek dla życia. W ten sposób, rozwijając odpowiedzialność wobec płciowości i relacji międzyludzkich, EZ powinna przyczynić się do harmonijnego rozwoju osobowości ucznia, kultury, wrażliwości, życzliwości, miłości, umiejętności dzielenia się tymi wartościami z innymi.

Tymczasem program proponuje postawę egoistyczną, konsumpcyjną, zachęca młodzież do poszukiwania nowych wrażeń, zaznajamiania się z różnymi formami aktywności seksualnej, dbania o własną wygodę i przyjemność. Zachowania autoerotyczne uznaje się za „medyczną normę". Druga osoba istnieje po to, aby wyrazić „przyzwolenie".

W podstawie programowej EZ nie pada ani razu słowo „miłość", a największą uwagę przywiązuje się do satysfakcjonującego życia seksualnego. Oderwanie sfery seksualnej od całego systemu wartości życia rodzinnego, kulturowego i cywilizacyjnego powoduje, że seks nabiera charakteru instrumentalnego, staje się celem samym w sobie. Kształtuje się w ten sposób egocentryczne podejście do tych spraw w dorosłym życiu. Toteż nie powinniśmy się dziwić, że dziecko będzie traktowane w przyszłości jak obciążenie, problem, kłopot. Zapaść demograficzna będzie narastać.

ORIENTACJA PSYCHOSEKSUALNA

W podstawie programowej EZ pojawiają się bardzo niebezpieczne odniesienia do orientacji psychoseksualnej dzieci i młodzieży. Przemiany dotyczące wyglądu ciała chłopców i dziewcząt w okresie pokwitania wymieniono razem, bez podziału na płeć męską i żeńską. Za wszelką cenę, bez racjonalności przekazu, podkreślono, że płeć jest czymś niestałym, mogącym podlegać zmianom. Napisano tam, że „uczeń omawia budowę i podstawowe funkcje narządów płciowych wewnętrznych i zewnętrznych", tak jakby istniał tylko jeden rodzaj tych narządów, a wiadomo powszechnie, że są dwa.

Pojawia się tam zdanie, że „uczeń omawia pojęcie orientacji psychoseksualnej i kierunki jej rozwoju", sugerując, że orientacja ta jest czymś rozwijającym się w czasie, płynnym, zmieniającym się w różnych i dowolnych kierunkach.

Podano możliwe kierunki tego rozwoju, za którymi uczeń może podążać i dowolnie zmieniać swoją orientację: heteroseksualny, homoseksualny, biseksualny, aseksualny, cispłciowość, transpłciowość, mimo że uczy się te same dzieci na biologii, że płeć jest cechą wrodzoną genetycznie, zależną od układu chromosomów X i Y.

Przekazywanie dzieciom „wiedzy" o różnych orientacjach seksualnych to indoktrynacja zgodna z postulatami ruchów LGBT, która zwykle prowadzi do tragicznych następstw, pojawienia się dysforii płciowej i pomysłów korekty płci przy pomocy stosowania hormonów w dużych dawkach czy zabiegów operacyjnych za cenę nieodwracalnych szkód dla zdrowia, trwałej niepłodności, chorób narządów płciowych, przewlekłych dolegliwości, depresji i samobójstw.

WALKA NA OŚLEP ZE „STEREOTYPAMI"

Z niezrozumiałych powodów walczy się z poglądem, że dobre funkcjonowanie człowieka we współczesnym świecie zależy od powszechnego akceptowania przyjętych dobrych zwyczajów i wzorców kulturowych. Bez logicznego uzasadnienia przywiązuje się ogromną wagę do zwalczania tzw. stereotypów odnoszących się do sfery seksualnej, do ich rzekomego „negatywnego wpływu na rozwój człowieka i relacje interpersonalne".

Co prawda, nie określono, czego te szkodliwe stereotypy miałyby dotyczyć. Nauczyciele mają według swojego uznania określać, co jest, a co nie jest „stereotypem płciowym", aby organizacje pozarządowe, firmy produkujące środki antykoncepcyjne śmiało wkraczały do szkół i bez porozumienia z rodzicami walczyły ze stereotypami, jak je rozumieją. Zachęcanie uczniów do odrzucenia wszystkich zwyczajów, elementów kultury i moralności w obszarze płci i prokreacji, takich jak czułość czy miłość, to objaw bardzo niebezpiecznego rewolucyjnego zapału autorów programu.

RODZICE – DZIECI – SZKOŁA

W opisie przedmiotu EZ słowo „rodzina" pada bardzo rzadko, jakby dla jego twórców była nieistotna w wychowaniu młodego pokolenia. Są wymieniane szkoła, społeczność lokalna, a nawet ojczyzna, ale rodzina jakby nie istniała. Ponieważ jednak w świadomości społecznej rodzina istnieje jako bardzo ważne miejsce wzrastania i wychowania, tego rodzaju

eprasa.pl c7cac20f2f

podejście autorów podstawy programowej należy traktować jako chęć stopniowego zmniejszania znaczenia rodziny wśród uczniów i następnie jej eliminacji z życia następnych pokoleń. Wymienia się najróżniejsze „modele rodzin", traktując je wszystkie równorzędnie.

W programie EZ napisano, że uczeń zna prawa dziecka i obowiązki rodziców, ale już nie wspomina się tam ani słowem o prawach rodziców, jakby nie istniały czy miały być dla ucznia nieistotne. Nie akceptuje się zasady, że za wychowanie dzieci i młodzieży odpowiedzialni są przede wszystkim rodzice. Szkoła ma podobno uczyć, jak „rozpoznawać manipulacje w środowisku społecznym i rodzinnym oraz asertywnie na nie reagować". To na kilometr pachnie Pawlikiem Morozowem i PRL.

W programie czytamy, że „nauczyciel ma wspierać uczniów w kształtowaniu postaw oraz inspiruje podejmowanie decyzji". Jest to zapowiedź indoktrynacji uczniów w dziedzinie wartości. Nie można zgodzić się, aby mówić w szkole tylko o „prawach dziecka i obowiązkach rodziców względem dziecka". A co z obowiązkami dziecka względem rodziców?

CZEGO W PROGRAMIE EDUKACJI ZDROWOTNEJ BRAKUJE?

Wśród celów programu edukacji zdrowotnej znalazły się: „odpowiedzialne pełnienie ról społecznych i budowanie relacji opartych na wartości zdrowia, godności, szacunku i tolerancji na wszystkich etapach życia". Nie wiadomo, o czyją godność chodzi. O szacunek dla kogo? Nie ma tam celu najważniejszego: ochrony życia ludzkiego i konieczności ochrony jego trwałości i godności. Niedopatrzenie czy celowe pominięcie?

W podstawie programowej EZ nie wymienia się i nie wyjaśnia się pojęcia zdrowia prokreacyjnego, odnoszącego się do wszystkich aspektów prokreacji u osób obu płci. Prawidłowo przebiegający proces dojrzewania, niezaburzona płodność, prawidłowy przebieg ciąży i porodu są kluczowe dla każdego człowieka, każdej rodziny i bardzo ważne dla kolejnych pokoleń każdej społeczności. Są to elementy pierwotnej profilaktyki chorób i zaburzeń stanu zdrowia w obszarze przyszłej prokreacji. Nie ma o tym mowy w programie EZ. Nie ma tam ani słowa o konieczności obserwacji przez dziewczęta cyklu miesiączkowego w celu wykrywania zaburzeń stanu zdrowia i oceny przyszłej płodności. Nie wspomina się o uznanych przez WHO metodach kierowania płodnością w sposób naturalny. Zupełnie pominięta jest potrzeba przygotowania się młodych ludzi do przyszłej prokreacji, które pozwala zmniejszyć częstość występowania niepłodności, wad rozwojowych dziecka, poronień i innych powikłań ciąży.

Macierzyństwo przedstawia się jako źródło kłopotów i zagrożeń. Wspomnienie przy okazji prowadzonej w szkole promocji prozdrowotnych zachowań o potrzebie przygotowania się w przyszłości do pierwszej ciąży wydaje się sprawą oczywistą, ale nie dla autorów programu EZ. Po zakończeniu nauki szkolnej nie będzie już okazji, by wiedzę na ten temat przekazywać jednocześnie dużej liczbie młodych osób. Mówi się natomiast o „antykoncepcji naturalnej", a wiadomo, że każda antykoncepcja jest ze swojej natury nienaturalna.

Decyzje podejmowane w sferze seksualnej mają nie mieć żadnej kwalifikacji moralnej, a popęd seksualny ma być traktowany wyłącznie jako instynkt

W podstawie programowej zwraca się uwagę na profilaktykę otyłości i zespołu metabolicznego, ale pomija się milczeniem problem niedowagi, który dotyczy wielu dziewcząt i wywiera bardzo niekorzystny wpływ na zdrowie (niedokrwistość, osteoporoza, awitaminozy, zaburzenia cyklu miesiączkowego). Próżno szukać w programie EZ, poza anegdotycznymi przykładami, wykazu dolegliwości w zakresie zdrowia prokreacyjnego, które wymagałyby interwencji lekarskiej (w sytuacjach stanów zapalnych, zaburzeń cyklu miesiączkowego). Nie ma informacji o szkodliwym wpływie antykoncepcji na zdrowie kobiety, a zwłaszcza młodej dziewczyny. Autoerotyczne zachowania, sprzyjające zakażeniom narządów płciowych, umieszczono wśród „medycznej normy". Jest dla mnie zagadką, dlaczego autorzy programu zwracają szczególną uwagę na ćwiczenia mięśni dna miednicy. Są one potrzebne, ale później, w okresie starości, by zapobiec wysiłkowemu nietrzymaniu moczu.

PODSUMOWANIE

Dokument programowy EZ cechuje „drewniany" język niezachęcający do lektury, w nadmiarze stosowane są słowa obcego pochodzenia. W treści dokumentu kładzie się nacisk na krzewienie wśród uczniów podejścia egoistycznego, biorącego pod uwagę przede wszystkim własną korzyść i przyjemność, wykazującego zrozumienie dla „różnorodności ludzkiej natury", w tym oczywiście różne zachowania i upodobania, także w dziedzinie seksualności.

Słowa „przyjaźń", miłość" w nim prawie nie istnieją. Zamiast tego proponuje się „satysfakcjonującą relację". Propaguje się swobodne zachowania seksualne. Decyzje podejmowane w sferze seksualnej mają nie mieć żadnej kwalifikacji moralnej, a popęd seksualny ma być traktowany wyłącznie jako instynkt. Uczeń ma otrzymać wiedzę o seksie i wykorzystać ją tak, jak zechce. Duża część treści programu stwarza wrażenie, jakby celem jego autorów nie było wychowanie dzieci we wrażliwym i pięknym obszarze ludzkiej seksualności, ale produkcja odczłowieczonych robotów, dla których intymne relacje to nic innego, jak prostacko pojmowana „aktywność seksualna". Te egoistyczne, pozbawione samokrytycyzmu indywidua nastawione będą przede wszystkim na odczuwanie przyjemności i własny interes.

Nie do przyjęcia są zawarte tam pozytywna ocena egoizmu, marginalizacja wartości i norm etycznych, rodzinnych i religijnych oraz antynatalistyczny charakter proponowanego modelu edukacji zdrowotnej. Wychowanie młodego pokolenia Polaków według tych wzorców spowoduje, że nasz kraj będą zamieszkiwać ludzie bez emocji, wyższych uczuć, chłodni, przezroczyści, mający różne problemy zdrowotne, w tym problemy z płodnością, myślący wyłącznie o sobie, niezdolni do odróżnienia dobra od zła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem położnictwa i ginekologii, był członkiem Rządowej Rady Ludnościowej, wiceprezydentem Europejskiej Federacji Stowarzyszeń Lekarzy Katolickich FEAMC, jest wiceprezesem Katolickiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskich, członkiem Rady MaterCare International – organizacji pomagającej matkom w Afryce.

eprasa.pl c7cac20f2f

Święty Charlie Kirk?

Michał Murgrabia

Niektórzy niemal od razu po zamachu na Charliego Kirka wprost obwoływali go świętym, a nawet męczennikiem. Pojawia się tutaj jednak zasadniczy problem. Kirk otwarcie przyznawał się do tego, że jest ewangelikiem. Jaka była więc jego „wiara"?

Cały świat poruszony został informacją o zamordowaniu Charliego Kirka podczas spotkania ze studentami na kampusie Utah Valley University w mieście Orem. Zabójstwa twórcy organizacji o nazwie Turning Point USA dokonano 10 września. Dzisiaj nie będziemy jednak mówić o jego mordercy. Zamach wywołał niemal ryk złowrogiego zadowolenia i bardzo ostre reakcje po stronie lewicy, która wręcz obnosiła się z tym, że świętuje śmierć swojego znienawidzonego wroga. Wielu z nich chwaliło się tym publicznie, w następstwie czego na ogół tracili pracę. Jest to zrozumiałe, bo słusznie budziło to uzasadnione oburzenie.

Skąd ta piekielna nienawiść? Jego adwersarze nie mogli znieść odwagi Charliego Kirka. Jego uczciwość i znajomość spraw, o których debatował, wywoływała w nich wręcz spazmy gniewu. Dlaczego? Wielokrotnie podczas swoich publicznych debat odwoływał się do Pisma Świętego i przyznawał się do wiary w Jezusa Chrystusa. To w połączeniu z jego skutecznością i całym wachlarzem argumentów w przeróżnych sprawach czyniło go niezwykle silnym i wpływowym człowiekiem. Trzeba przyznać, że posiadał dość imponującą wiedzę, umiał ją przekazać i nie bał się konfrontacji. Potrafił wyczuć osoby, z którymi rozmawiał, i naprowadzić je na samodzielne odkrycie prawdy. Niewątpliwie młodzi ludzie uznawali go za swój autorytet. Autorytet przypisywali mu również ci, którzy go nienawidzili. Autorytetu nie odmawiał mu również prezydent Stanów Zjednoczonych. Sam Donald Trump oceniał go jako wybitnego i niezwykłego człowieka. W znacznym stopniu Kirk przyczynił się bowiem do zwycięstwa Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich, który przed kamerami miał wręcz powiedzieć, że to nie jest jego zwycięstwo, a właśnie Charliego Kirka.

O ile po jednej stronie cieszono się z jego przedwczesnej śmierci, o tyle po drugiej odbywa się zupełnie inny proces. Prawica, konserwatyści i tradycjonaliści wszelkiej maści nabrali śmiałości w głoszeniu swoich poglądów. Kirk dał im siłę do przełamywania strachu. To tragiczne zabójstwo nie sprawiło, że się ukryli ze swoimi przekonaniami, ale wręcz dzięki niemu wyszli z nimi na zewnątrz. Wśród nich jest wielu takich, którzy do tej pory tego nie robili z obawy o ataki ze strony radykalnej lewicy, np. bojówek Antify. Obawy te nie były bezzasadne, ponieważ ostatnio w USA uznano tę organizację za twór o charakterze terrorystycznym.

Przed 10 września coś takiego, i to na taką skalę, nie było po prostu możliwe. Do tego stopnia przypisuje się sprawczość Charliemu, jako głównej przyczynie tego nowego ruchu, że niektórzy niemal od razu wprost obwoływali go świętym, a nawet męczennikiem. W Ashdod w Izraelu powstał już nawet mural upamiętniający Charliego Kirka, który przedstawia go z aureolą i anielskimi skrzydłami. Namalowany został błyskawicznie, kilka dni po zamachu. Pojawia się tutaj jednak zasadniczy problem. Kirk otwarcie przyznawał się do tego, że jest ewangelikiem. Jaka była więc jego „wiara"?

OSTATNI KROK

Według relacji znanej amerykańskiej dziennikarki – Candace Owens – Kirk miał ponoć modlić się na różańcu, a nawet bywać na Mszy Świętej. Kirków miano widywać w parafii św. Bernadetty w Scottsdale w Arizonie. Zdaje się to znajdować potwierdzenie w tym, że Erika Kirk (wdowa po zamordowanym) wychowała się w katolickiej rodzinie. Zaraz po zabójstwie Charliego Kirka Internet obiegły też zdjęcia, jak modliła się na różańcu. Apelowała także o modlitwę za męża. Candace Owens miała również żartować do Kirka, że „pozostał mu tylko jeden krok" i że jest „zbyt mądry, aby być protestantem". Mówiła mu wprost, żeby „postawił ostatni krok". Tego kroku jednak zabrakło. W tym kontekście jest to kluczowa informacja. Ponadto rozmawiali o Matce Bożej, a także o tym, że powinien przestać określać się jako judeochrześcijanin.

Z informacji zamieszczonych na portalu PCh24 dowiemy się, że „zamordowany konserwatywny aktywista i mówca Charlie Kirk tuż przed zamachem miał poważnie rozważać przejście

eprasa.pl c7cac20f2f

na katolicyzm". O swoich rozterkach związanych z konwersją miał rozmawiać, ok. tygodnia przed zamachem, z bp. Josephem Brennanem z Fresno w Kalifornii. Jego brat, Robert Brennan, udostępnił tę informację publicznie, dzieląc się nią na łamach gazety archidiecezji Los Angeles o nazwie „Angelus". Tekst ukazał się 18 września. W rozmowie z biskupem miał potwierdzić to, że razem z żoną Eriką i swoimi dziećmi chodził na Mszę Świętą. Był faktycznie blisko podjęcia decyzji na miarę Gilberta Keitha Chestertona, kard. Henry'ego Newmana czy ks. Roberta Hugh Bensona. Był o włos, a jednak o włos za daleko, choć niewątpliwie szedł w dobrym kierunku. Jego życie przeciął nie tylko człowiek, lecz także demon.

Być może gdyby go nie zamordowano, to Charlie Kirk dołączyłby do wielu innych protestanckich konwertytów na katolicyzm. Niestety, odebrano mu tę szansę

Podczas jednej z rozmów z katolickim komentatorem politycznym Michaelem Knowlesem wyznał mu, że to, co wstrzymuje go przed dokonaniem konwersji, to jego problemy z mariologią i transsubstancjacją. Największym z nich było dla niego jednak coś innego. Odrzucał papiestwo. Swojemu rozmówcy powiedział wprost, o co chodzi: „Nie mogę pogodzić się z tym, że marksista nazywa siebie głową waszego Kościoła, będąc reprezentantem Chrystusa, naszego Pana". Gdy mówił te słowa, miał wówczas na myśli pontyfikat papieża Franciszka. Trudno, przynajmniej po części, nie przyznać mu racji, że był to fatalny i pełen wieloznaczności okres w historii Kościoła. Adekwatne do tego jest stare kościelne porzekadło mówiące, że jednych papieży Pan Bóg posyła w nagrodę, innych toleruje, a jeszcze innych daje nam za karę.

Nie był to jedyny raz, gdy Kirk podważał dogmaty katolickie. W jednym ze swoich programów podkreślał, że jego ostatecznym komentarzem dla katolickiej nauki o Matce Bożej jest to, że „nie wierzy, że może istnieć ktoś inny, oprócz Jezusa, kto jest bez grzechu". Jak widać, niektóre prawdy wiary i dogmaty wprost odrzucał. Zapewne przez długi czas budziło to wśród katolików słuszne zgorszenie. Również Erika Kirk miała czas, w którym, zapewne będąc pod wpływem męża, zbliżała się do protestantyzmu. Publicznie podważała chociażby sens sakramentu spowiedzi.

ODEBRANA SZANSA

To jednak jego wcześniejsze wypowiedzi. Utrzymywanie znajomości z katolikami, m.in. Taylorem Marshallem (katolicki tradycjonalista), Candace Owens, Mattem Walshem czy wspomnianym Knowlesem, nie pozostawało bez efektów. Jego późniejsze wypowiedzi są już zupełnie inne.

Podczas ostatniej jego rozmowy na kanale Michaela Knowlesa wypowiadał się o Matce Bożej, otwarcie broniąc Jej czci. Podzielał stanowisko, że „tym, kto może uzdrowić kobiety spod wpływu ideologii feministycznej, jest właśnie Maryja". Kirk podkreślał wręcz, że byłaby ona „doskonałą przeciwwagą dla toksyczności feminizmu", a nawet zalecał, aby kobiety naśladowały jej cnoty. Wśród nich wymieniał m.in. pokorę, pobożność i milczenie. Zdanie Kirka uległo zupełnemu przeobrażeniu, ponieważ uważał, że protestanci „oddają jej zdecydowanie za mało czci". Knowles przywołał nawet naukę św. Ireneusza na temat Matki Bożej.

W tym samym programie obydwaj podkreślali wielkie zasługi Kościoła katolickiego, dzięki któremu zostały przechowane nauki pierwszych chrześcijan, i to w niezmienionej formie. Nie szczędzili również pochwał pod adresem współczesnych katolików, o których mówili, że wśród nich jest „wielu zdeterminowanych i oddanych sprawie, konserwatywnych działaczy społecznych, którzy są zdolni do ochrony instytucji rodziny bez względu na koszty". Co ciekawe, mówili również o konwersjach ewangelików na katolicyzm. Być może była to zapowiedź czegoś bardziej spektakularnego, co niestety, ale jednak nie nadeszło.

Wtórowali im w tym widzowie, którzy w komentarzach pod materiałem zarówno licznie zamieszczali swoje świadectwa dotyczące nawróceń z protestantyzmu na katolicyzm, zbliżania się do niego, jak

Mężczyźni wieszają plakat z podobizną Charliego Kirka i napisem: „Wiara, rodzina, wolność", Phoenix, 19 września 2025 r. FOT. CHARLY TRIBALLEAU/AFP/EAST NEWS

i przyznawali się do odmawiania Różańca. Trzeba przyznać, że poglądy Kirka, z którymi można się było zapoznać podczas tej rozmowy, zaczęły diametralnie się zmieniać, i to do tego stopnia, że stały się prawie katolickie. Być może gdyby go nie zamordowano, to dołączyłby do wielu innych protestanckich konwertytów na katolicyzm, których to świadectwa w ślad za sobą zawsze pociągały ogromne tłumy. Dzisiaj wielki i znany konwertyta przydałby się światu. Niestety, ale odebrano mu tę szansę.

Warto odnotować jeszcze kilka jego poglądów. Był przeciwnikiem zarówno zabijania dzieci nienarodzonych, ideologii gender, jak i LGBT. Pornografię nazywał cyfrowym narkotykiem, podobnie jak polska psycholog – Bogna Białecka. Na jednym ze spotkań do osób debatujących z nim dołączyła kobieta, która do niedawna tworzyła obsceniczne treści dla Only Fans, ale nawróciła się i porzuciła dotychczasową działalność. W rozmowie z nią nawoływał mężczyzn, aby zerwali z tym nałogiem i pokutowali za swoje grzechy. Z pewnością możemy określić go mianem „męczennika", ale

eprasa.pl c7cac20f2f

za sprawę, a nie za wiarę, jak robią to niektórzy. Wiara protestantów stanowi bowiem jedynie zestaw poglądów i nie jest wiarą w sensie ścisłym.

ŻADNYCH WĄTPLIWOŚCI

W jego sprawie zabrał również głos kard. Gerhard Ludwig Müller, nazywając go „męczennikiem Jezusa Chrystusa". Nie do końca wiadomo, co kardynał miał na myśli, choć sugestia jest raczej jednoznaczna. Wprawdzie Kirk przyznawał się do wiary w Jezusa Chrystusa, ale nie był katolikiem i nie może być przez to uznany za męczennika. To wydaje się chyba proste. Obwoływanie go męczennikiem jest nieuzasadnione i niestety, ale jest zwyczajnym nadużyciem.

Po pierwsze, nie mamy prawa jako katolicy mówić o protestancie, że jest świętym czy też że jest męczennikiem. To jest gorszące dla tych, którzy wyznają prawdziwą wiarę. Choć jego metamorfoza była czymś oczywistym, to jednak do celu nie dotarł. Niestety. Winę za to ponoszą ci, którzy stoją za jego zabójstwem. Kościół nie pozostawia nam w tym względzie żadnych wątpliwości. Wystarczy przywołać jego nauczanie, aby wiedzieć, że tak właśnie jest. O jakich dokumentach mowa? Po pierwsze mamy „Syllabus Errorum", czyli zbiór zdań potępionych, sygnowany przez bł. Piusa IX. W punktach 16 i 17 otrzymujemy odpowiedź na swoje wątpliwości. Treść punktu 16 jest następująca: „Ludzie mogą znaleźć drogę do wiecznego zbawienia i osiągnąć to wieczne zbawienie przez praktykowanie jakiejkolwiek religii". To zdanie zostało wielokrotnie potępione przez Kościół. W punkcie 17 otrzymujemy jeszcze jaśniejsze wskazanie w sprawie, która nas interesuje. Napisano tam bowiem: „Należy mieć przynajmniej zasadną nadzieję co do zbawienia wiecznego tych wszystkich, którzy w żaden sposób nie przynależą do prawdziwego Kościoła Chrystusowego". Nadzieja nasza, że Kirk został zbawiony, jest zatem fałszywa. Część bowiem jego poglądów była sprzeczna z wiarą katolicką. Przynajmniej taki obraz rysuje się na podstawie jego publicznych wypowiedzi.

Koniecznie trzeba wspomnieć również o soborze florenckim, który nie pozostawia żadnych wątpliwości w tym względzie, pisząc w bulli „Cantate Domino" sygnowanej przez papieża Eugeniusza IV: „[Święty Kościół rzymski] mocno wierzy, wyznaje i głosi: że nikt z tych, co są poza Kościołem katolickim, nie tylko poganie, ale i Żydzi, heretycy i schizmatycy, nie mogą stać się uczestnikami życia wiecznego, ale pójdą »w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom« [Mt 25, 41], jeśli przed końcem życia nie będą do niego włączeni; i że jedność ciała Kościoła znaczy tak wiele, iż jedynie ludziom w nim pozostającym sakramenty kościelne, posty, jałmużny i inne dzieła pobożności pomagają do zbawienia, a trudy chrześcijańskiej walki przynoszą nagrody wieczne, gdyż nikt – jakichkolwiek by jałmużn nie udzielał, nawet gdyby dla imienia Chrystusa przelał swą krew – nie może być zbawiony, jeśli nie pozostaje w łonie Kościoła katolickiego i w jedności z nim".

Tak samo naucza Sobór Laterański IV słowami, pod którymi podpisał się papież Innocenty III, że „jeden jest powszechny Kościół wiernych, poza którym nikt w ogóle nie może być zbawiony". W przypisie zaś widnieje odniesienie do listu św. Cypriana z Kartaginy „salus extra ecclesiam non est" (tłum. Nie ma zbawienia poza Kościołem). Wymogiem naszej wiary jest zatem nie tylko przynależeć do Kościoła, lecz także uznawać, że poza nim nie ma zbawienia, a drogą do niego wiodącą nie jest ani ewangelikanizm, ani wyznawany wcześniej przez Kirka prezbiterianizm, w którego duchu się wychowywał.

Kościół nie ma zatem prawa kanonizować kogoś, kto nie był katolikiem, i nie ma tu żadnego znaczenia tzw. vox populi. Kirk nie zostanie przez Kościół ogłoszony świętym, podobnie jak nie zostanie uznany za męczennika. Tutaj nie ma miejsca na kompromis i sprawa jest jednoznaczna.

Tajemnica sądu Bożego to jednak już nie nasza rzecz i została przed nami zakryta. Jako katolicy nie możemy wierzyć inaczej. Tam, gdzie nie sięga nasz wzrok, czyli za zasłonę śmierci i do sądu szczegółowego, który odbył się nad duszą Kirka w momencie zabójstwa, nie mamy dostępu i aż do czasu sądu ostatecznego pozostanie to już tylko między Bogiem a Kirkiem. My dowiemy się tego dopiero na końcu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

Nadchodzi przełom

Paweł Chmielewski

Kościół nie może istnieć bez biskupów. Dotyczy to również najbardziej znanego tradycjonalistycznego zgromadzenia, Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X. Prawdopodobnie właśnie za pontyfikatu Leona XIV dojdzie w jego przypadku do przełomu

Bractwo zostało założone w 1970 r. przez francuskiego arcybiskupa Marcela Lefebvre'a, dobrze znanego w Kościele powszechnym ze względu na wybitną posługę w Afryce i znaczącą rolę podczas Soboru Watykańskiego II. To od jego nazwiska członków Bractwa nazywa się popularnie „lefebrystami". Arcybiskup Lefebvre powołał do życia swoje zgromadzenie w odpowiedzi na posoborową rewolucję wewnątrz Kościoła. Papież Paweł VI wprowadził nowy obrzęd Mszy Świętej i zakazał tzw. Mszy trydenckiej, czyli starodawnego sposobu odprawiania liturgii. Wielu katolików nie kryło przerażenia zmianami. W kilku krajach Europy, w tym we Francji, miały gwałtowny przebieg. Ludzie nie potrafili się odnaleźć w kościele ze zburzonym ołtarzem i ustawionym „stołem", który przypominał raczej celebracje protestanckie niż odwieczną Najświętszą Ofiarę. Trudno się do końca dziwić, że dochodziło nierzadko do rezygnacji z praktykowania. Wydawało się, że Kościół nie jest już nieomylny, skoro lekką ręką odrzuca swoje tradycje. W swojej autobiografii bardzo krytycznie opisywał ten czas choćby kard. Józef Ratzinger, przyszły papież Benedykt XVI. Jak wspominał, nie mógł zrozumieć motywów dla tak radykalnego i opłakanego w skutkach kroku władz Kościoła. Arcybiskup Lefebvre powiedział temu „nie", odmawiając sprawowania nowej liturgii. Postanowił kontynuować odprawianie według przedsoborowych ksiąg, uznając, że musi zadbać o dobro

Abp Marcel Lefebvre, 30 czerwca 1977 r.

FOT. KEYSTONE/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

eprasa.pl c7cac20f2f

wiernych oraz o prawdę wyrażaną przez obrzęd Mszy trydenckiej.

TOLERANCJA CZY AFIRMACJA

Francuski hierarcha bardzo negatywnie oceniał również zamieszanie doktrynalne narastające po Vaticanum II. Nawet jeżeli uznać, że dokumenty Soboru Watykańskiego II są wolne od formalnych błędów, to obiektywna ocena musi uwzględnić fakt ich głębokiej niejednoznaczności. Na soborze dominującą rolę odegrała przecież frakcja progresywnych biskupów z Europy Zachodniej. Dążyli do zamieszczenia w tekstach takich wyrażeń, które pozwoliłyby im później na odejście od wielu ustalonych elementów wiary katolickiej. Szczególnie mocno zaznaczyło się to w kwestii wolności religijnej. Kościół katolicki przez całe swoje dzieje nauczał, że zgodnie z prawem Bożym żaden człowiek nie posiada „prawa" do tego, by wyznawać błąd. Owszem, katolickie władze państwowe w pewnych okolicznościach mogą to tolerować – tak jak np. w Rzeczypospolitej tolerowano kult religijny muzułmanów, żydów czy nawet kalwinów. Tolerancja nie oznacza jednak afirmacji.

Bractwo Kapłańskie św. Piusa X stało się swoistym bastionem oporu wobec posoborowej rewolucji doktrynalnej i liturgicznej

Dokumenty soborowe mówią tymczasem o tym problemie językiem niejasnym. W efekcie w okresie posoborowym rozpowszechniła się w samym Kościele narracja o „prawie" każdego człowieka do wyznawania takiej religii, jaką chce. W istocie doszło do przyjęcia przez hierarchów Kościoła definicji wolności religijnej nie według katolickiej Tradycji, ale według zasad, które cechują republikańskie, relatywistyczne systemy polityczne stworzone przez Amerykę czy Francję. Efekty są dobrze znane: to dialog międzyreligijny i ekumeniczny, który spycha kwestię prawdy na margines. Zamiast zachęcać żydów, muzułmanów czy protestantów do przyjęcia wiary w Chrystusa i wejścia do Kościoła, zaczęto raczej utwierdzać tych ludzi w ich własnej drodze religijnej, sugerując, jakoby było to wystarczające dla ich zbawienia. Arcybiskup Lefebvre uznał, że prezentowanie wiernym Kościoła tej nowej narracji – a wolność religijna to tylko jeden z przykładów – byłoby niebezpieczne dla czystości doktryny, stąd odmówił opierania swojego nauczania na dokumentach soborowych.

BASTION OPORU

Założone przezeń Bractwo Kapłańskie św. Piusa X stało się w ten sposób swoistym bastionem oporu wobec posoborowej rewolucji doktrynalnej i liturgicznej. Stolica Apostolska z oczywistych przyczyn nie podzielała obiekcji Bractwa i twardo egzekwowała wprowadzanie nowej Mszy Świętej oraz nauczania mniej lub bardziej dokładnie opartego na dokumentach soboru. Watykan miał oczywiście swoje racje. Ostatecznie w Kościele katolickim rządzi papież, zgodnie z dogmatyczną definicją Soboru Watykańskiego I. Arcybiskup Lefebvre zgadzał się oczywiście z tą prawdą, ale można powiedzieć, że stawiał władzy papieskiej granicę w innym miejscu niż sam Paweł VI. Z perspektywy arcybiskupa papież uzurpował sobie kompetencje do zmian liturgii czy doktryny, których wcale nie miał. Z perspektywy Watykanu to francuski hierarcha uzurpował sobie władzę odrzucania nakazów papieskich. Powstała w efekcie zasadnicza trudność, która prędzej czy później musiała doprowadzić do starcia.

Już w 1976 r. abp Marcel Lefebvre został suspendowany przez papieża za udzielenie w swoim zgromadzeniu święceń kapłańskich bez zgody Watykanu. Sytuacja stała się trudna, ale jeszcze nie beznadziejna. Niestety, 12 lat później doszło do całkowitego kryzysu. Założyciel Bractwa chciał udzielić święceń biskupich czterem kapłanom, na co nie miał wymaganej zgody papieża Jana Pawła II. Stolica Apostolska wezwała abp. Lefebvre'a do odstąpienia od tych planów, ale nie odniosła skutku. 30 czerwca 1988 r., wraz z zaprzyjaźnionym biskupem z Brazylii Antôniem de Castro Mayerem, arcybiskup przeprowadził swoje dzieło. W ten sposób biskupami Bractwa zostali Bernard Fellay, Alfonso de Galarreta, Bernard Tissier de Mallerais oraz Richard Williamson. W efekcie papież Wojtyła ogłosił, że zarówno abp Lefebvre, jak i czterej wyświęceni są ekskomunikowani, czyli wyłączeni ze wspólnoty Kościoła katolickiego.

Część kapłanów Bractwa postanowiła odłączyć się od zgromadzenia, uznając, że podział zaszedł już zbyt daleko. Skutkiem było założenie nowych zgromadzeń tradycjonalistycznych, m.in. Bractwa Kapłańskiego św. Piotra. Jego członkowie doszli do porozumienia ze Stolicą Apostolską. Formalnie zaakceptowali całość nauczania Soboru Watykańskiego II, otrzymując możliwość celebracji tradycyjnej liturgii. W tym duchu działają do dziś, pełniąc posługę również w Polsce. Większość zwolenników Bractwa została jednak przy abp. Lefebvrze. Ekskomunikę brano przecież pod uwagę, nie można było zatem mówić o zaskoczeniu.

Kolejne lata były dla Bractwa dość trudne. Jego biskupi, księża i związani z nim wierni stali na stanowisku o nieważności ekskomuniki ogłoszonej przez Jana Pawła II. Jak twierdzili, abp Lefebvre, udzielając formalnie nielegalnej sakry biskupiej, działał w dobrej wierze, troszcząc się o Kościół. Wskazywano, że historycznie rzecz biorąc, ekskomunika bywała w Kościele karą nadużywaną i tak też miałoby być w tym przypadku. Ich krytycy podnosili, że niezależnie od intencji Kościół jest rzeczywistością legalną i obiektywną, stąd nieposłuszeństwo papieżowi musi być karane. Jak wskazywali, na troskę o Kościół powoływali się na przestrzeni dziejów de facto wszyscy heretycy, w tym arcyrewolucjonista Marcin Luter. Bractwo odpowiadało, że działa przecież w sytuacji nadzwyczajnej, to znaczy zagrożenia wiary i moralności w całym Kościele. Krytycy odpowiadali na to, że sytuacja nadzwyczajna nie może trwać przez wiele lat, a postępująca samorządność Bractwa prowadzi do faktycznego ustanowienia „Kościoła równoległego", bo nawet jeżeli kapłani zgromadzenia formalnie uznają zwierzchnictwo papieża, to w praktyce nic z tego nie wynika. Sam abp Lefebvre zmarł w 1991 r., pozostawiając Bractwo od strony strukturalnej w bezpiecznym stanie, ale zarazem w sytuacji głębokiego napięcia w związku z negatywną oceną Watykanu. Sytuacja wydawała się patowa.

Dialog między Bractwem a Stolicą Apostolską zintensyfikowano dopiero pod koniec pontyfikatu Jana Pawła II, a jeszcze bardziej – w latach Benedykta XVI, który

eprasa.pl c7cac20f2f

chciał porozumienia. W 2007 r. Ojciec Święty ogłosił dokument „Summorum pontificum", wprowadzający w Kościele dużą swobodę celebracji Mszy Świętej w dawnym rycie. Dwa lata później Ojciec Święty zdecydował o zdjęciu ekskomuniki z czterech żyjących biskupów Bractwa. Z perspektywy zewnętrznego obserwatora zaistniała wówczas sytuacja, która powinna torować drogę do pełnego pojednania. W 2012 r. Stolica Apostolska przedłożyła Bractwu do podpisania dokument zwany „Preambułą doktrynalną", ale władze zgromadzenia odmówiły. Zwolennicy kroku Bractwa uważali, że odmowa była konieczna dla zachowania czystości katolickiej doktryny. Krytycy widzą w tym z kolei przejaw zbyt jednostronnej lektury dokumentów soborowych i nieuzasadnioną chęć utrzymania uzyskanej na przestrzeni lat autonomii.

W najbliższych latach musi dojść do jakiegoś przełomu. Czy będzie to pojednanie Bractwa ze Stolicą Apostolską czy może raczej pogłębienie nieuregulowanej sytuacji albo nawet ponowne obłożenie jego zwierzchników ekskomuniką, pozostaje kwestią otwartą

Obecnie Bractwo działa prężnie w wielu państwach na całym świecie, w tym w Polsce. Jego kapłani posługują w zasadzie w całym kraju, a w seminarium kapłańskim, które znajduje się w Zaitzkofen w Niemczech, do przyjęcia święceń regularnie przygotowują się Polacy. Formalny status Bractwa w Kościele pozostaje dość niejasny. Z jednej strony, nie można mówić o schizmie – kto tak robi, a zdarza się to nawet biskupom, ten po prostu mija się z prawdą. Bractwo jest częścią Kościoła katolickiego i tej rzeczywistości nie należy kwestionować. Sytuację Bractwa zwykle opisuje się w efekcie jako „nieuregulowaną". Wierni, którzy uczestniczą we Mszy Świętej sprawowanej przez kapłanów Bractwa, działają w granicach prawa. Co więcej, papież Franciszek w 2016 r. pozwolił księżom z tego zgromadzenia na wysłuchiwanie spowiedzi (wcześniej też to praktykowano, ale od strony formalnej – nielegalnie). W 2021 r. papież ogłosił motu proprio „Traditionis custodes", ograniczając możliwość sprawowania tradycyjnej Mszy Świętej. Nie dotyczyło to jednak zgromadzeń tradycjonalistycznych, a zatem nie wpłynęło w żaden sposób na sytuację Bractwa.

POTRZEBA NOWYCH BISKUPÓW

Nie ma jednak wątpliwości, że to w najbliższych latach musi dojść do jakiegoś przełomu. Czy będzie to pojednanie Bractwa ze Stolicą Apostolską czy może raczej pogłębienie nieuregulowanej sytuacji albo nawet ponowne obłożenie jego zwierzchników ekskomuniką, pozostaje kwestią otwartą. Przyczyna jest prosta – chodzi o biskupów. Spośród czterech wyświęconych w 1988 r. przez abp. Marcela Lefebvre'a pozostało już tylko dwóch. W ubiegłym roku zmarł Bernard Tissier de Mallerais, a w styczniu obecnego roku Richard Williamson – przed laty usunięty z Bractwa z powodu nieposłuszeństwa wobec przełożonych. Pozostali biskupi, Bernard Fellay i Alfonso de Galarreta, powoli zbliżają się do 70. roku życia – pierwszy ukończy go za trzy lata, drugi za dwa. Są zatem niewiele młodsi od papieża Leona XIV, który 70 lat skończył we wrześniu tego roku. Biskupi Fellay i Galarreta mogą jeszcze długo cieszyć się dobrym zdrowiem, ale swoiste zawieszenie trwałości Bractwa tylko na nich staje się z roku na rok coraz mniej bezpieczne. Stąd powoli staje się koniecznością pozyskanie dla Bractwa nowych biskupów.

Jeżeli obecny przełożony bp Bernard Fellay zdecydowałby się na udzielenie sakry biskupiej bez zgody Stolicy Apostolskiej, to oznaczałoby to dla Kościoła kolejną tragedię, bo przyniosłoby to jemu oraz wyświęconym automatycznie ekskomunikę. Jakkolwiek większość członków i sympatyków Bractwa uznałaby pewnie taką sytuację za uzasadnioną i akceptowalną, to byłaby pewnie też część, która nie chciałaby się z tym pogodzić – doszłoby zatem do jakiegoś wewnętrznego rozłamu, co dla nikogo nie jest sytuacją pożądaną. Teoretycznie mogą jeszcze dokooptować do Bractwa jakiegoś już wyświęconego biskupa, ale w grę wchodziliby praktycznie tylko emeryci – to nie zmieniłoby przecież trudnego położenia. Dlatego władze zgromadzenia będą najpewniej zmuszone do nawiązania dialogu z Watykanem celem poszukiwania jakiegoś rozwiązania ich sytuacji. Być może liczą na to, że Leon pogodzi się ze święceniami biskupimi, nawet jeżeli nie będzie za tym szło pełne porozumienie. Pytanie tylko, jak długo będzie jeszcze trwać sytuacja zawieszenia.

Leon XIV może odwołać „Traditionis custodes" papieża Franciszka i dać Kościołowi swobodę celebracji dawnej liturgii. Jednak skoro w 2007 r. taki gest ze strony Benedykta XVI nie wystarczył Bractwu, to nie ma powodów, by dziś został potraktowany inaczej. Kluczowe pozostają kwestie doktrynalne. W tym zakresie sytuacja w Kościele katolickim jest dalece trudniejsza niż za pontyfikatu Benedykta XVI czy za czasów samego abp. Marcela Lefebvre'a. Papież Franciszek wprowadził do Magisterium Kościoła katolickiego wiele dokumentów, które są bardziej problematyczne niż najbardziej nawet wątpliwe dokumenty soborowe. To choćby adhortacja „Amoris laetitia", deklaracja „Fiducia supplicans" czy „Dokument finalny" Synodu o synodalności, nie mówiąc już o szerzonym przez niego relatywizmie religijnym, np. w podpisanej wespół z islamskim imamem „Deklaracji z Abu Zabi". W Kościele zupełnie otwarcie działają kardynałowie, biskupi, księża i teologowie, którzy odrzucają różne elementy tradycyjnej doktryny, w tym doktryny moralnej. Wielu biskupów błogosławi pary tej samej płci, a niektórzy – jak w Belgii czy Niemczech – robią to nawet w formie de facto pseudomałżeńskiej.

Leon XIV nie jest rewolucjonistą na miarę Franciszka, ale z jego dotychczasowych słów i działań dość jednoznacznie wynika, że akceptuje stan głębokiej „różnorodności doktrynalnej", czyli powolnej atomizacji doktryny i moralności Kościoła. Jedyne, co mógłby zaproponować Bractwu, to powiedzieć: zawrzyjmy porozumienie i róbcie, co chcecie – niech w Kościele działają tradycjonaliści wierni nauce wszystkich czasów, a obok nich progresiści głoszący ewolucję dogmatów i ideologię LGBT, katolicyzm pomieści wszystko. Nie wiem jednak, czy będzie to dla Bractwa zadowalająca oferta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl c7cac20f2f

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zabójstwa

W Polskim Państwie Podziemnym kształtował się nie tylko etos służby i walki o najwyższe ideały. Miały bowiem również miejsce zabójstwa i morderstwa popełniane w najwyższych kręgach konspiracyjnej władzy. Wiele z tych spraw pozostanie już na zawsze w kręgu podejrzeń, bez możliwości ich wyjaśnienia, inne zaś, dzięki zachowanym dokumentom i relacjom, zostały odkryte. Mimo to służą one do kontynuowania przez dziesięciolecia pomówień i oskarżeń, a dowody służące wyjaśnieniom sprawy są ciągle ignorowane.

Jedną z takich zbrodni jest m.in. sprawa zabójstwa Ludwika Widerszala. Był on oficerem KG AK – członkiem Biura Informacji i Propagandy. Został zamordowany 13 czerwca 1944 r. przez… No właśnie, przez kogo? Z racji jego żydowskiego pochodzenia podejrzenia od początku skierowano na kręgi „nacjonalistyczne", przede wszystkim na NSZ. Te zaś od początku zaprzeczały tej wersji, co więcej – zostały włączone do uczestników poszukiwań sprawców. Było to możliwe, ponieważ ta organizacja nie popełniała skrytobójczych mordów, zresztą był to okres bardzo trudnych, ale jawnych przecież rozmów scaleniowych AK oraz NSZ i z tego powodu byłyby one natychmiast zerwane.

Wkrótce wybuchło Powstanie Warszawskie i tego typu sprawy zeszły na dalszy plan, miano do nich wrócić „po wojnie". Przyszła jednak Polska Ludowa i to ona rozliczała, ale tylko kogo chciała i jak chciała, a ta sprawa była dla niej bardzo wygodna propagandowo. W nowych warunkach osoby mające na ten temat bardzo rozległą wiedzę robiły wszystko, aby podejrzenia dalej były kierowane w fałszywym kierunku. Oto w połowie 1947 r. Eugenia Widerszalowa (matka Ludwika) złożyła w Związku Bojowników z Faszyzmem i Najazdem Hitlerowskim o Niepodległość i Demokrację (z tego wkrótce powstał ZBoWiD) kwestionariusz, jako rodzina poległego. W rubryce „Przez kogo zamordowany" są dwie możliwości: „a) niemców, b) reakcję polską" jest wpis: „bojówkę NSZ". W kwestionariuszu są podpisy dwóch świadków: płk. dypl. Jana Rzepeckiego i doc. dr. Aleksandra Gieysztora.

Z nagranych i spisanych posłuchów SB, założonych w pomieszczeniach Polskiej Akademii Nauk (w latach 60. i 70. ubiegłego wieku, m.in. w gabinecie A. Gieysztora), wiemy, że byli uczestnicy konspiracji AK-owskiej (oprócz nich m.in. również Władysław Bartoszewski) uzgadniali, aby nadal podtrzymywać wersję o sprawstwie NSZ, choć bardzo dobrze wiedzieli, że to jest nieprawda. Badania podjęte w ostatnich latach przez uczciwych historyków doprowadziły do zgromadzenia setek dokumentów i notatek zaprzeczających wersji o zbrodni NSZ. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

ABBA i prezes Szczepański

Gdy Mariusz Walter przystąpił do tworzenia Studia 2, doskonale wiedział, że miał to być program zupełnie inny, niż dotychczas prezentowano na krajowej antenie. Planom sprzyjały zresztą okoliczności, gdyż w październiku 1972 r. szefem Radiokomitetu został protegowany Edwarda Gierka, Maciej Szczepański.

Nowy prezes miał odpowiedni rozmach i uważał, że „w telewizji skończył się czas manufaktury, a zaczyna się wielkoprzemysłowy". Nie interesował się programami o uznanej renomie, z dużą dozą pragmatyzmu uważał, że nie ma powodu ulepszania czegoś, co dobrze funkcjonuje, i choćby dlatego nie ingerował w działalność Teatru Telewizji.

„Szczepański miał koncepcję telewizji lojalnej wobec partii, a jednocześnie masowej, rozrywkowej – wspominał Daniel Passent. – […] Mówił, że »są tacy ludzie, którzy wolą homary, i są tacy, którzy wolą kaszankę. Natomiast każdy zje dobrze przyrządzoną pieczeń wołową. I to ilustruje naszą koncepcję rozrywki«".

Nowy prezes doskonale wiedział, jak zainteresować widzów, i to właśnie za jego kadencji pojawiły się takie programy jak Studio 2 czy Sonda, które natychmiast zdobyły ogromną popularność. W pozostałych programach również zadbano o atrakcyjną formułę przekazu, co spowodowało, że nawet magazyn kulturalny „Pegaz" miał oglądalność na poziomie 30 proc. A gdy Zygmunt Kałużyński i Aleksander Jackiewicz pokłócili się przed kamerami o „Noce i dnie" Antczaka, to następnego dnia dyskutowała o tym cała Polska

Studio 2 emitowano w drugim kanale telewizji i z zasady miało nie zawierać polityki, gdyż tubą propagandową była Jedynka. Szczepański uważał bowiem, że „przeciętny obywatel włącza telewizję przede wszystkim po to, aby się rozerwać". Dlatego nie żałował pieniędzy na sprowadzanie gwiazd i 7 października 1976 r. do Polski przybyła grupa ABBA będąca wówczas u szczytu popularności. Szwedzi nagrali program, który wyemitowano kilka tygodni później przy ogromnej oglądalności.

„Sposobem usypiania społeczeństwa jest telewizja – notował Stefan Kisielewski. – Pisywałem źle o Macieju Szczepańskim, jej dyrektorze, a teraz powiedzieć jednak muszę, że to w swoim rodzaju wielki menedżer. Daje mnóstwo amerykańskich filmów, coraz lepsze programy rozrywkowe i sportowe i oto cała Polska siedzi bez przerwy przed telewizorem, ja sam bym siedział, i nie myśli, tylko chłonie tę opiumową strawę. Ameryka – opium dla ludu, to dobre hasło – ten spryciarz wie dobrze, że jakby pokazywał Rosję, toby ludzi szlag trafił. I tak Polska śpi – a oni rządzą". ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

Sklejanie prawicy z komunizmem

Filip Memches

Czytając książkę Pawła Machcewicza, odnosi się wrażenie, że w oczach autora największą winą „partyzantów" było to, że porzucili szlachetne lewicowe ideały na rzecz nacjonalizmu, więc popełnili myślozbrodnię

Wbrew krążącemu mitowi Mieczysław Moczar i Władysław Gomułka nie byli sojusznikami

FOT. ARTUR STAREWICZ/EAST; NEWS

Dzieje Polski końca lat 60. XX w. to epoka mocno zmistyfikowana. Jeśli historię piszą zwycięzcy, to w tym przypadku napisali ją dysydenci systemu komunistycznego – naprawiacze realnego socjalizmu, którzy w Marcu '68 zbuntowali się przeciw reżimowi PRL, a potem część z nich – już jako zwolennicy modelu zachodniej liberalnej demokracji – odegrała istotną, polityczną i intelektualną rolę w procesie polskiej transformacji ustrojowej. Chodzi o tzw. komandosów. Czołowymi postaciami tego środowiska w roku 1968 byli Adam Michnik i Henryk Szlajfer.

Można powiedzieć, że w opowieści serwowanej w tym kręgu pobrzmiewała słynna fraza: „Jest ONR-u spadkobiercą Partia" z wydanego w Paryżu w roku 1957 poematu „Traktat poetycki" Czesława Miłosza. Słowa te da się zinterpretować tak, że w PZPR nad szlachetnymi lewicowymi ideałami (które – dopowiedzmy – w latach 50. np. wdrażał w ramach Hufca Walterowskiego Jacek Kuroń) ostatecznie górę wzięły nacjonalizm i zamordyzm (stąd przywołanie skrótu nazwy Obozu Narodowo-Radykalnego – organizacji zdelegalizowanej w roku 1934 przez władze sanacyjne za stosowanie przemocy, a będącej w oczach nadwiślańskich progresistów emanacją polskiego faszyzmu).

ANTYPRAWICOWA POLITYKA HISTORYCZNA

Obraz wydarzeń końca lat 60. jest więc naznaczony perspektywą środowiska, które miało swoje sympatie i idiosynkrazje. W roli szwarccharakteru obsadziło ono tzw. partyzantów – działającą w łonie PZPR nieformalną grupę pod przywództwem Mieczysława Moczara. Polityk ten w latach 1964–1968 był ministrem spraw wewnętrznych. I właśnie jego grupie poświęcił swoją książkę Paweł Machcewicz. „Narodowy komunizm po polsku. »Partyzanci« Moczara" to w dużym stopniu świadectwo tego, jak ludzie pokroju autora tej pozycji – czyli mentalnie ukształtowani przez aksjologię bliską etosowi „komandosów" – patrzą na PRL.

Nie przypadkiem książka ukazała się nakładem Krytyki Politycznej – lewicowego wydawnictwa, które poczuwa się do ideowego dziedzictwa marcowej rebelii. Sam Machcewicz to historyk utytułowany (profesor w Instytucie Studiów Politycznych PAN) z olbrzymim dorobkiem naukowym, niemniej nie można przemilczeć jego zaangażowania w bieżące polskie spory polityczne. Jako publicysta gości na łamach „Gazety Wyborczej". Był pierwszym dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej i współtwórcą wystawy stałej, której po prawej stronie polskiej sceny politycznej zarzucano, że uniwersalizuje doświadczenie wojny kosztem tego, co było udziałem Polaków. Dlatego po dojściu PiS do władzy Machcewicz stracił swoje stanowisko.

Już we wstępie swojego opasłego dzieła autor zdradza polityczne powody, dla których ono powstało. Portretuje „partyzantów" jako ideowych protoplastów współczesnej – jak można się domyślać, nie tylko polskiej – „populistycznej" prawicy. „Narodowy komunizm po polsku" jest więc o pewnej grupie w PZPR lat 60., lecz dla Machcewicza problem pozostaje aktualny, dlatego przypuszczalnie chodziło mu też o to, żeby dostało się jego dzisiejszym politycznym antagonistom. Mamy tu zatem do czynienia z czymś więcej niż z historiografią, bo także z polityką historyczną. Niezależnie jednak od tego powstała bardzo ciekawa książka, która dostarcza sporo wiedzy nie tylko o „partyzantach",

eprasa.pl c7cac20f2f

lecz także o rozmaitych ważnych kontekstach ich działalności.

Sam termin „narodowy komunizm" jest publicystyczny. Przede wszystkim jednak brzmi jak oksymoron. Wiadomo przecież, że jednym z założeń komunizmu, zarówno w teorii, jak i w praktyce, miał być „internacjonalizm proletariacki". Komuniści głosili prymat interesów klasowych nad interesami narodowymi. Wszelkie nacjonalizmy piętnowali. Tymczasem – jak słusznie konstatuje Machcewicz – ideologia przegrała z rzeczywistością. Autor, posiłkując się diagnozą amerykańskiego politologa Chalmersa Johnsona, stwierdza, że w państwach komunistycznych nastąpił „efekt zderzenia projektu ideologicznego z »materią społeczną«". Tożsamości narodowe okazały się silniejsze od abstrakcyjnych mrzonek.

Jeśli mowa o grupie Moczara, to przede wszystkim trzeba zacząć od sytuacji Polski w październiku 1956 r., gdy na czele PZPR stanął Władysław Gomułka i zaczęła się „odwilż". Choć stalinowski totalitaryzm odszedł w przeszłość, to rzecz jasna komuniści nie zrezygnowali jednak z dyktatorskiego sprawowania rządów (choć były one łagodniejsze niż na przełomie lat 40. i 50.), a większości Polaków nadal doskwierał niski poziom życia. Ten stan rzeczy przygotowywał grunt pod nastroje społeczne zwrócone przeciw elitom – pojętym nie tylko jako władza państwowa, lecz także jako wąska warstwa ludzi, którym udało się w warunkach realnego socjalizmu dorobić. A w PZPR wsłuchiwano się w głos ludu i zastanawiano, jaki z tego zrobić użytek.

Na szczytach władzy doszło do walk frakcyjnych. Wyodrębniły się dwie główne, konkurujące między sobą, grupy: „natolińczycy" i „puławianie". Ta pierwsza (jej członkowie mieli spotykać się m.in. w pałacu w Natolinie) sprzeciwiała się liberalizacji systemu, a destalinizację chciała sprowadzić przede wszystkim do rozliczeń personalnych. „Natolińczycy" uderzali w tony antyinteligenckie. Sięgali też po retorykę antysemicką – po to, żeby postponować drugą grupę, w której nadreprezentację stanowiły osoby pochodzenia żydowskiego, co ożywiało stary stereotyp „żydokomuny". Tymczasem „puławianie" (niektórzy jej przedstawiciele mieszkali w Warszawie na ulicy Puławskiej) optowali za reformami systemu, choć w tym gronie znaczącymi postaciami byli ludzie pełniący ważne funkcje państwowe w okresie stalinowskim, tyle że potem przewartościowali oni swój stosunek do komunizmu. W grupie tej znaleźli się też intelektualiści, którzy stali się rewizjonistami marksizmu. Krytykowali oni partyjną biurokrację i chcieli socjalizmowi nadać „ludzką twarz", ale – czego Machcewicz nie drąży – pozostawali w kontrze wobec tego, co uważali za wsteczne, czyli choćby wobec linii, której wyrazicielem w Kościele katolickim w Polsce był nieufny wobec lewicowej inteligencji kard. Stefan Wyszyński.

W PRL ideologia przegrała z rzeczywistością. Tożsamość narodowa okazała się silniejsza od abstrakcyjnych mrzonek

„WZMOŻENIE PATRIOTYCZNE"

Znamienne, że gdy Gomułka szedł do władzy, poparli go i „natolińczycy", i „puławianie". On zaś próbował równoważyć ich polityczne wpływy.

„Partyzanci" stanowili w rozgrywkach na szczytach władzy trzecią grupę. Za przeciwników mieli „puławian" (na celowniku Moczara znalazł się Jakub Berman – w okresie stalinowskim człowiek ze ścisłego kierownictwa PZPR, nadzorujący struktury bezpieki), natomiast od „natolińczyków" różnili się szczególnie tym, że usiłowali pozyskać inteligencję. Zrozumieli oni bowiem coś bardzo istotnego – rolę, jaką w kształtowaniu nastrojów społecznych odgrywają kultura oraz media.

Omawiając temat „partyzantów", nie można pominąć życiorysu ich lidera. Mieczysław Moczar urodził się w roku 1913 jako Nikołaj Demko i był synem prawosławnego chłopa z okolic Grodna. W okresie międzywojennym działał w ruchu komunistycznym. Podczas drugiej wojny światowej przystąpił do partyzantki – znalazł się w szeregach Gwardii Ludowej. W roku 1945 włączył się w podporządkowanej ZSRS Polsce w budowę aparatu bezpieki. W okresie stalinowskim był jednak politycznie marginalizowany, postrzegano go bowiem jako polityka związanego z Gomułką, choć gdy ten znalazł się w opałach (rozpoczęto wówczas rozprawę z „odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym" w PZPR, czyli ukrócono dążenie do względnej autonomii partii wobec sowieckich komunistów), Moczar się od niego odciął. Nie przeszkodziło to jednak przyszłemu liderowi „partyzantów" w zrobieniu kariery politycznej po roku 1956. Złotym czasem dla niego okazały się lata 60., kiedy był nie tylko ministrem spraw wewnętrznych, lecz także szefem organizacji kombatanckiej – Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Potem zaś – już w latach 70., gdy jego polityczne notowania spadły – został prezesem Najwyższej Izby Kontroli. Zmarł w roku 1986.

Grupa Moczara – złożona w wielu przypadkach z ludzi o partyzanckiej przeszłości, tak jak on sam – uzyskała polityczne wpływy na fali tego, co Machcewicz szyderczo nazywa „wzmożeniem patriotycznym", połączonego z antyelitarnym zwrotem. Skutkiem „odwilży" było m.in. to, że do łask zaczęli wracać weterani drugiej wojny światowej z niekomunistycznych formacji zbrojnych. Moczar, stojąc na czele ZBoWiD, wyciągnął rękę do AK-owców. „Partyzanci" w swoim przekazie kładli nacisk na braterstwo broni ponad podziałami politycznymi, bazujące na zbiorowych emocjach antyniemieckich. ZBoWiD próbował nawet nawiązywać kontakty z emigracyjnymi środowiskami kombatanckimi. Mało tego, „partyzanci" swoją patriotyczną retoryką, wymierzoną propagandowym ostrzem w „żydokomunę", potrafili zdobywać uznanie wśród części środowisk katolickich – podobnie jak wśród niektórych AK-owców i generalnie rozmaitych osób o proweniencji antykomunistycznej. Ataki na „puławian" były odbierane jako ciosy wymierzane w personalne relikty stalinizmu. Oczywiście robiono to wszystko w taki sposób, żeby oficjalnie nie podważać doktryny państwa oraz ideologii partii rządzącej.

Jak już zostało powiedziane, „partyzanci" doceniali rolę kultury i mediów. Chcieli więc uzyskać wpływ na opiniotwórczy tygodnik, jakim była „Polityka", ale nie przyniosło to zadowalających rezultatów.

eprasa.pl c7cac20f2f

Intelektualiści, którzy znaleźli się w polu oddziaływania „partyzantów", toczyli ostre polemiki z „odbrązawiaczami" dziejów Polski. Wytykali im coś, co dziś w kręgu polskiej prawicy bywa określane jako „pedagogika wstydu" i „ojkofobia" (zresztą Machcewicz, kiedy porusza kwestię „wzmożenia patriotycznego", czyni aluzje do współczesności). Oskarżali choćby Andrzeja Wajdę o to, że ten w filmie „Popioły" ukazał Polaków w jak najgorszym świetle. W tych kampaniach wyróżniał się pułkownik Ludowego Wojska Polskiego Zbigniew Załuski, autor eseistycznej książki „Siedem polskich grzechów głównych", która w latach 60. stała się bestsellerem.

Ważnym elementem gry politycznej, którą prowadzili „partyzanci", było szukanie dla siebie poparcia na Kremlu. W ZSRS Moczarowi udało się zyskać przychylność dwóch prominentnych polityków, którzy jeden po drugim zostali szefami KGB: Aleksandra Szelepina i Władimira Siemiczastnego. Oni również – tak jak „partyzanci" – twierdzili, że czynniki etniczne mają znaczenie, przestrzegali przed plenieniem się „syjonizmu" i „kosmopolityzmu" w KPZR oraz innych „bratnich" partiach komunistycznych. Pod koniec lat 60. pozycja tych polityków w sowieckim aparacie władzy zaczęła jednak słabnąć. Ale pomijając to, „partyzanci" stanowili dla sowieckiego establishmentu politycznego zagwozdkę. W Kraju Rad kojarzyli się z komunistycznym przywódcą Rumunii Nicolae Ceaușescu, który już wtedy usiłował się usamodzielnić od Kremla i tym samym stawał się dla niego kłopotliwy.

Swoją drogą grupa Moczara za wzór stawiała sobie Jugosławię pod wodzą Josipa Broza-Tity. Państwo to już w okresie stalinowskim wybiło się na niezależność wobec ZSRS. Komuniści jugosłowiańscy sławili okres swojej partyzanckiej walki z okupantem niemieckim. Moczar i ludzie z jego grupy mogli więc odczuwać rodzaj powinowactwa z nimi.

ZDRADZONA REWOLUCJA

Kluczowym momentem w działalności „partyzantów" okazały się wydarzenia Marca '68. Był to punkt kulminacyjny konfrontacji z „puławianami", przeciw którym wytoczono „antysyjonistyczną" artylerię propagandową. A że w niektórych przypadkach z grupą tą rodzinnie i środowiskowo związani byli „komandosi", to bunt studentów, któremu oni przewodzili, władza również chciała publicznie zdezawuować jako awanturę „syjonistów". Szczególnym narzędziem represji, zastosowanym przez reżim PRL wobec osób pochodzenia żydowskiego (w tym tych ze środowiska „puławian"), było wypychanie ich z Polski. Na te wydarzenia nałożyła się sytuacja międzynarodowa: w wojnie sześciodniowej w roku 1967 państwa bloku wschodniego stanęły po stronie państw arabskich przeciw Izraelowi.

PAWEŁ MACHCEWICZ „NARODOWY KOMUNIZM PO POLSKU, »PARTYZANCI« MOCZARA" WYDAWNICTWO KRYTYKI POLITYCZNEJ, WARSZAWA 2025

Wokół stosunków Gomułki z Moczarem narosła opinia, że politycy ci byli w ścisłym sojuszu. To jednak mit. W latach 60. lider „partyzantów" miał ambicje, które zagrażały pozycji ówczesnego przywódcy państwa. Kilka miesięcy po wydarzeniach Marca '68 Gomułka zaczął wygaszać kampanię „antysyjonistyczną", a Moczara ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych się pozbył.

Przy okazji warto odnotować, że Stefan Kisielewski, występujący w książce Pawła Machcewicza jako postać pozytywna (w roku 1968 został pobity przez „nieznanych sprawców" i objęty zakazem druku, wcześniej wypowiedział publicznie słowa o tym, że w Polsce panuje „dyktatura ciemniaków"), bardzo gorzko wyraził się na temat martyrologii ludzi wypchniętych przez Marzec '68 na emigrację. Dał temu świadectwo w „Dziennikach", które pisał w latach 1968–1980 „do szuflady" (ukazały się one dopiero pięć lat po jego śmierci – w roku 1996). Ten wątek jednak Machcewicz przemilcza.

„Dzienniki" kolidują z opowieścią „komandosów". Kisiel zarzucał emigrantom marcowym, że wielu z nich bagatelizowało dramat czasów stalinowskich, w tym mordowanie AK-owców czy pogrom Żydów w Kielcach. Dla tych osób liczyły się tylko ich traumy. Publicysta wskazywał, że ludzie ci za apogeum prześladowań komunistycznych uważali to, że zostali zmuszeni do opuszczenia Polski. Według Kisiela epatowanie przez te osoby tym, że padły ofiarą polskiego antysemityzmu, miało z nich zdjąć odium wcześniejszego zaangażowania w stalinizm. Natomiast co do samego Marca '68 – publicysta twierdził, że były to brudne rozgrywki frakcyjne w łonie PZPR o władzę w PRL, których odprysk uderzył w zbuntowanych studentów – sam zaś Moczar okazał się człowiekiem bezideowym, dla którego walka z „syjonizmem" stanowiła wyłącznie pretekst do atakowania konkurencyjnej grupy w obrębie systemu komunistycznego.

Tak więc „partyzantów" trudno bronić (choć za ruchy deideologizujące państwo można ich pochwalić). Byli bowiem przede wszystkim jedną z grup reżimu PRL, w dodatku – mimo chęci uniezależniania pod pewnymi względami Polski od ZSRS – cywilizacyjnie i geopolitycznie zorientowaną jednak na Rosję przeciw Zachodowi.

Ponadto nie można pominąć konfliktu „partyzantów" z Kościołem. Nie w smak im były takie pojednawcze gesty wobec Niemców jak orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich z roku 1965. Grupa Moczara w latach 60. ścierała się z hierarchią kościelną również w sprawie obchodów tysiąclecia państwa polskiego. Chciała im nadać charakter nacjonalistyczny, lecz zarazem agresywnie świecki, lekceważąc tym samym inny jubileusz – tysiąclecie chrztu Polski. Była to więc nowa odsłona walki komunistów z Kościołem o „rząd dusz" w PRL – choć rzecz jasna różniąca się od tej z udziałem rewizjonistów marksizmu, również wrogo nastawionych wobec katolicyzmu.

Paweł Machcewicz nie zostawia na „partyzantach" suchej nitki i można byłoby z jego krytycznym stanowiskiem się nawet zgodzić, gdyby nie główny powód, dla którego ich chłoszcze. Czytając jego książkę, odnosi się wrażenie, że w oczach autora największą winą tej grupy było to, że wybrała nacjonalizm, więc popełniła myślozbrodnię i zdradziła rewolucję. Wybór ten uchodzi wśród polskich progresistów za coś gorszego od komunizmu. Stąd bierze się u nich potrzeba sklejenia współczesnej polskiej „populistycznej" prawicy z Moczarem. A ten straszy ich zza grobu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

Chłopcy i dziewczynki Powstania Warszawskiego

Maciej Kledzik

Nikt jeszcze dokładnie nie ustalił, ile dzieci wzięło czynny udział w walkach, ile zginęło, ile zostało rannych i okaleczonych do końca życia

Zdaniem felietonisty „Komuchożercy" Leszka Żebrowskiego („Młodociani", „Do Rzeczy" nr 32/2025) w okresie konspiracji lat 1939–1945 nie wszyscy nieletni byli potrzebni i nie wszyscy się do niej nadawali. I dodał, że żaden dowódca nie wziąłby na siebie odpowiedzialności za przyjęcie dziecka w szeregi konspiracji, bo gdyby to zrobił, podlegałby odpowiedzialności karnej. Wiek przyjęcia, z licznymi obostrzeniami, zaczynał się od lat 16. W momencie wybuchu powstania to wszystko przestało mieć jakiekolwiek znaczenie.

Generał Tadeusz „Bór" Komorowski 23 września 1944 r. w istniejącym do dzisiaj gmachu Dyrekcji Gazowni Miejskiej przy ul. Kredytowej odznaczył m.in. Orderem Virtuti Militari 14-letnego Jerzego Bartnika „Magika". Kiedy u schyłku życia Jerzy Bartnik wrócił z emigracji do Polski i osiadł w willi na warszawskiej Saskiej Kępie, odwiedziłem go. Powiedział mi: „Gdy gen. Bór Komorowski odznaczał mnie Orderem Virtuti Militari, jego adiutant, kapitan »Eugeniusz« Eugeniusz Ihnatowicz-Suszyński, powiedział, że jestem najmłodszym kawalerem tego odznaczenia. Znał moją rodzinę i mnie i doskonale wiedział, że nie mam 17 lat, jak podawałem moim dowódcom, tylko 14".

„Magik" walczył na Starym Mieście w Oddziale Specjalnym „Juliusz", tam stracił oko i tam zginęła jego siostra Maria Teresa „Lalka", łączniczka w batalionie „Parasol". Przeszedł kanałami do Śródmieścia, gdzie dokończył dane sobie przyrzeczenie zabicia 30 Niemców. Dziesięciu za rozstrzelanego w listopadzie 1939 r. ojca, 10 za zamordowanie w obozie w Auschwitz matki i 10 za poległą 13 sierpnia siostrę „Lalkę". Przy końcu września, skradając się wypalonymi poddaszami kamienic przy ul. Królewskiej, zastrzelił na podwórzu gmachu Zachęty dwóch niemieckich oficerów, 30. i 31. z danego przyrzeczenia.

Moim ulubionym dzieckiem bohaterem powstania, a zajmuję się już blisko 50 lat historią powstańczych działań, szczególnie w północnym Śródmieściu, jest 14-letni „Generał" Mirosław Biernacki. 1 sierpnia, dowodząc kilkoma kolegami z klasy, zdobył wraz z nimi broń z niemieckiej ciężarówki i uzbrojony w karabin Mauser, dłuższy od niego, w hełmie opadającym mu na uszy i przyczepionymi do paska dwiema ładownicami z nabojami, dołączył do 3. kompanii II batalionu Grupy „Chrobry" (od 5 sierpnia „Chrobry II").

Major „Krzyś" Emil Kumor, oficer inspekcyjny zachodniej części północnego Śródmieścia, wizytując powstańcze stanowiska opodal Dworca Głównego przy pl. Zawiszy i Poczcie Dworcowej, zapytał „Generała" o wiek. Chłopiec odpowiedział, że skończył 16 lat. Stojący obok kolega poprawił, że na pewno 14, bo chodzili razem do jednej klasy. Major nie zareagował na informację o wieku. Wspominał: „Nie zauważyłem u tego młodego człowieka oznak tremy, jaka cechuje zazwyczaj starszego wiekiem żołnierza wobec przełożonego. O każdym stanowisku miał coś do powiedzenia, a najwięcej o pustym, przy którym zatrzymaliśmy się dłużej. Tu z dumą oświadczył: – To stanowisko należy do mnie, jest bardzo szczęśliwe. Z niego to właśnie do dnia dzisiejszego ustrzeliłem z tego karabinka 19 Niemców. W dzień poluję, a nocami wychodzimy z kolegami na Dworzec Główny".

Potem major relacjonował: „Zaprowadził mnie do jednego z okien, gdzie pokazał mi wagon kolejowy, stojący samotnie przed Dworcem Głównym. – Ten wagon jest celem naszych nocnych wycieczek. Znaleźliśmy tam dużo broni i amunicji. Przeważnie były to pistolety. Znalezioną broń przynosimy na placówkę i oddajemy dowódcy, wagon ten dokładnie oczyściliśmy".

Za te wypady, za zabitych wrogów, „Generał" odznaczony został dwukrotnie Krzyżem Walecznych i awansowany do stopnia kaprala. Po skończeniu ceremonii dekoracji ten żołnierz dziecko zapytał: „Czy nie można by tego Krzyża zamienić na karabin maszynowy?".

30 sierpnia kpr. „Generał" Biernacki poległ trafiony w głowę kulą przez niemieckiego snajpera.

Podobnych przykładów walczących dzieci w powstaniu było więcej. Ich udział upamiętniono m.in. pomnikiem chłopczyka powstańca, który stoi przy murach Starego Miasta.

W powstaniu dzieci walczyły, bywało, że odważniej od dorosłych, a przełożeni i dowódcy nie reagowali na ich wiek. I tym się, panie Leszku „Komuchożerco", konspiracja zasadniczo różniła od powstania. ©℗

ODPOWIEDŹ AUTORA

Mój felieton nie dotyczył przecież „chłopców i dziewczynek w powstaniu", lecz wyłącznie we wcześniejszej konspiracji. Powstanie było zaś wyjściem z konspiracji. Wśród powstańców dzieci poniżej 16. roku życia stanowiły mikroskopijny ułamek stanów ewidencyjnych, a i tak musiały na ogół dodawać sobie lat, co słusznie pan Maciej Kledzik w swym liście zauważył.

Z poważaniem
Leszek Żebrowski

eprasa.pl c7cac20f2f

Grzegorz Majchrzak

Wieści o tym, że literacka nagroda przyznawana przez Akademię Szwedzką przypadnie polskiemu twórcy emigracyjnemu, wzbudziła zainteresowanie Służby Bezpieczeństwa

Czesław Miłosz (po lewej) podczas ceremonii wręczenia Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, Sztokholm, 10 grudnia 1980 r.

FOT. JERZY UNDRO/CAF/PAP

„Smutni panowie" na tropie Nobla dla Miłosza

Lato 1980 r. było dla PRL-owskich władz wyjątkowo „gorące" nie tylko ze względu na strajki, które ogarnęły kraj 1 lipca, a dwa miesiące później wymusiły na nich zgodę na utworzenie niezależnych od nich związków zawodowych. Zagrożenie przyszło również z zagranicy. Otóż – co najmniej od połowy lipca tego roku – Służba Bezpieczeństwa dysponowała wiedzą, że Literacką Nagrodę Nobla może otrzymać Czesław Miłosz. Dane te pochodziły z inwigilacji Władysława Bartoszewskiego, który 13 lipca otrzymał ze Sztokholmu informację, że „według półoficjalnych opinii krążących w stolicy Szwecji" ma się tak właśnie stać. Tak na marginesie: kandydatura Miłosza miała zostać zgłoszona (w lutym 1980 r.) m.in. z krajowej inicjatywy „grona literatów skupionych w PEN Clubie", zresztą według „smutnych panów" z inspiracji „osób znanych z postaw antysocjalistycznych, dla których Cz[esław] Miłosz jest niekwestionowanym autorytetem artystycznym i moralnym, a zarazem symbolem nieskrępowanej postawy twórczej i intelektualnej". Tymi osobami byli: Andrzej Szczypiorski, skarbnik zarządu, i Jan Józef Szczepański. Oprócz nich list, którego autorem był Szczepański, do Akademii Szwedzkiej podpisało kilkunastu ich kolegów, członków PEN Clubu, m.in.: Władysław Bartoszewski, Jerzy Ficowski, Tadeusz Konwicki czy Jacek Woźniakowski.

Co jednak warto podkreślić, za Miłosza „kciuki trzymali" nie tylko literaci związani z opozycją. I tak np. Jerzy Putrament, który – podobnie jak Czesław Miłosz – był przed drugą wojną światową członkiem wileńskiej grupy poetyckiej „Żagary", a którego (zresztą członka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej) nie sposób oskarżyć o związki z opozycją czy choćby sympatię wobec niej – miał podczas posiedzenia Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich w listopadzie 1978 r. wyrażać poparcie dla jego kandydatury do Literackiej Nagrody Nobla.

DZIAŁANIA WYPRZEDZAJĄCE

Inna sprawa, że kandydaturę Miłosza popierały nie tylko środowiska krajowe. Według ustaleń Służby Bezpieczeństwa „w latach 1977–[19]78 wpływowe grupy wrogiej emigracji usiłowały wysunąć jego kandydaturę" do tej prestiżowej nagrody. Zabiegał o to m.in. poeta i krytyk literacki Jan Kott. W związku z przewidywanym Noblem dla Miłosza, który uznano za niekorzystny fakt – oczywiście z punktu widzenia ekipy Edwarda Gierka, I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR) – podjęto stosowne przeciwdziałania. Od razu narzucają się dwa pytania: „Jakie?" oraz „Dlaczego?".

Odpowiedź na to drugie była jasna – Miłosz był „zdrajcą" (w 1951 r., po odwołaniu z funkcji attaché w Ambasadzie RP w Paryżu, odmówił powrotu do kraju), na dodatek powiązanym z polską emigracją polityczną (głównie z paryską „Kulturą", a także z pismami emigracyjnymi, np. „Wiadomościami"). Na dodatek

eprasa.pl c7cac20f2f

– w ocenie funkcjonariuszy SB – w przeszłości „w pewnej części swej publicystyki i prozy prezentował wrogi stosunek do rzeczywistości PRL". Tak miało być w „Zniewolonym umyśle" czy „Zdobyciu władzy". Jakby tego było mało, brał również udział w akcjach poparcia dla opozycji w PRL – miał m.in. w latach 1976–1977 podpisać „Apel intelektualistów amerykańskich" oraz „Apel do opinii publicznej Zachodu". I choć jego postawa w ocenie esbeków ewoluowała „od ostrych ataków na Polskę i socjalizm (tuż po opuszczeniu kraju) do postawy umiarkowanej, którą zajmuje ostatnio", to potencjalny Nobel dla niego miał grozić wieloma negatywnymi – z punktu widzenia władz PRL – zjawiskami. Na Rakowieckiej do najważniejszych z nich zaliczono: „wzrost aktywności" emigracyjnych środowisk literackich „w celu oddziaływania na kraj", w tym wytworzenia „przekonania, że wyróżnić się w literaturze można, dopiero »zrywając z ograniczeniami i przymusem w kraju« i emigrując".

A tymczasem „ugruntowane w środowisku literackim w kraju i za granicą przekonanie, że »wielkim polskim pisarzem można być tylko w Polsce«", powodowało, że „niektórzy pisarze znani z antysocjalistycznych postaw politycznych i ideowo-twórczych kategorycznie odrzucali myśl emigracji politycznej". Kolejnym niepożądanym zjawiskiem, którego obawiali się „smutni panowie", był „potencjalny wzrost nacisku Kościoła", który mógłby „wykorzystać propagandowo" częste wątki religijne w twórczości Czesława Miłosza w celu zwiększenia swojego wpływu na środowisko literackie. Ostatnim zagrożeniem miała być dezorientacja krajowej opinii publicznej, dla której „nazwisko i dorobek Miłosza są większości zupełnie nieznane".

Jakie działania w związku z tym zagrożeniem proponowano? Tego dowiadujemy się m.in. z dokumentu przeznaczonego dla władz, zarówno MSW, jak i partii oraz państwa (np. nadzorującego z ramienia Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej resort spraw wewnętrznych Stanisława Kani, odpowiedzialnego w partii za prasę oraz propagandę Jerzego Łukaszewicza czy wiceprezesa Rady Ministrów Kazimierza Barcikowskiego) z 12 sierpnia 1980 r. Proponowano w nim podjęcie „działań wyprzedzających na płaszczyźnie organizacyjnej, wydawniczej i propagandowej" w celu przygotowania polskiej opinii publicznej na uhonorowanie emigracyjnego pisarza Literacką Nagrodą Nobla, a także uniemożliwienia „wrogim ośrodkom na Zachodzie" oraz opozycji politycznej w PRL wykorzystania tego faktu dla „wrogich celów propagandowych i ataków na polską politykę kulturalną". W tym celu zamierzano działać według szczegółowego planu przygotowanego w Wydziale IV Departamentu III MSW. Przewidywano w nim „podjęcie akcji propagandowej zmierzającej do zapoznania polskiej opinii publicznej z sylwetką polityczno-ideową i dorobkiem literackim Cz[esława] Miłosza". Przy czym w tym przypadku zamierzano akcentować „uniwersalne, artystyczne wątki jego twórczości". Kolejnym krokiem miało być sfinalizowanie „w najbliższym czasie" wydania przygotowywanej w Wydawnictwie Literackim w Krakowie przez Andrzeja Lama „Antologii poezji" Miłosza, a także szykowanej w Znaku przez Jacka Woźniakowskiego antologii jego poezji religijnej.

Wbrew obawom esbeków
noblista w czasie swojego pobytu w Polsce nie chciał podważać polityki kulturalnej PRL-owskich władz

SMUTNE ŚWIADECTWO EPOKI

Mało tego. Postulowano również podjęcie „przez przedstawicieli polskich wydawnictw" pertraktacji z pisarzem na temat wydania w Polsce kolejnych jego publikacji. Zamierzano również „właściwie przygotować propagandowo i politycznie" przyjazd Czesława Miłosza do Polski, o który zresztą poeta starał się od lat (co najmniej od 1972 r.). Planowano dążyć do tego, aby jego wizyta w ojczyźnie „miała charakter wyłącznie literacki i wydawniczy". Miało temu służyć – do czego nie doszło, ze względu na tzw. solidarnościowy karnawał – „wyeksponowanie roli wydawnictw w organizacji tej wizyty oraz redakcji czasopism literackich np. »Twórczości«, w której [Miłosz] pracował w 1945 r.", przy jednoczesnym dążeniu do „pomniejszenia roli Związku Literatów Polskich i »PEN Clubu«". Ostatecznie noblista przyjechał do kraju w czerwcu 1981 r., na zaproszenie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w celu odbioru tytułu doktora honoris causa tej uczelni, a Służba Bezpieczeństwa pilnie śledziła jego pobyt (głównie w ramach ogólnopolskiej sprawy pod mało wyszukanym kryptonimem Poeta). Wracając jednak do esbeckich propozycji, to kolejną – dla „rozładowania ewentualnych namiętności w środowisku literackim" wywołanych Noblem – było zorganizowanie sesji naukowo-literackiej (np. w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk), co miało zapobiec „przechwyceniu inicjatywy popularyzowania twórczości Cz[esława] Miłosza w środowiskach intelektualnych przez PEN Club, który wykorzystałby z pewnością wizytę do celów sprzecznych z polityką kulturalną [państwa]". Ten punkt szybko zresztą się zdezaktualizował w związku z powstaniem NSZZ „Solidarność", a funkcjonariusze SB czy – szerzej – PRL-owskie władze nie miały nic do powiedzenia nawet w sprawie spotkania noblisty z pracownikami oraz współpracownikami Niezależnej Oficyny Wydawniczej, którzy w podziemiu wydawali jego twórczość (zwłaszcza tę jej część, która nie miała szans ukazać się oficjalnie).

Jak zatem widać, plany, zamierzenia „smutnych panów" w związku z „zagrożeniem" Noblem dla Miłosza pozostały – ze względu na gwałtownie zmienioną sytuację w Polsce w latach 1980–1981 – w znacznej mierze na papierze i smutnym świadectwem epoki, która – miejmy nadzieję – odeszła już w przeszłość. Inna sprawa, że wbrew ich obawom noblista w czasie swojego pobytu generalnie – może poza pochwałą dla robotników, NSZZ „Solidarność" i jej lidera Lecha Wałęsy – nie chciał angażować się w bieżące kwestie politycznie czy też np. podważać polityki kulturalnej PRL-owskich władz. Ale ten jego pobyt w kraju w czerwcu 1981 r. to już temat na inny, choć nie mniej zapewne ciekawy artykuł. Podobnie jak związane z nim działania funkcjonariuszy SB.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej.

eprasa.pl c7cac20f2f

Maciej Pieczyński

Wojna na

Ani Rosja nie jest w stanie podbić Ukrainy, ani Ukraina odzyskać wszystkich okupowanych terenów. Na froncie zmian nie widać. Od dawna trwa wojna pozycyjna, którą Putin chce wygrać, forsując „pokój" i unikając rozejmu

Rosjanie okupują obecnie ok. 20 proc. terytorium Ukrainy, licząc wraz z Krymem i tą częścią Donbasu, na terenie której powstały w 2014 r. separatystyczne republiki ludowe. Największe sukcesy odnosili w pierwszych miesiącach wojny na pełną skalę. Wtedy to zdobyli jedyne na tym etapie konfliktu miasto obwodowe, czyli Chersoń, zajęli też całe ukraińskie wybrzeże Morza Azowskiego, tworząc strategicznie bezcenny korytarz z Donbasu na Krym. Ofensywa z północy, z terenów Białorusi na Kijów, nie powiodła się, podobnie jak desant w okolicach Odessy. Ukraińcom udało się wyzwolić obwód charkowski. Jesienią Rosjanie wycofali się z Chersonia, tracąc ważny przyczółek na prawym brzegu Dniepru.

Mniej więcej wtedy wojna zaczęła się zmieniać. Według wyliczeń grupy monitorującej DeepState od listopada 2022 r. do sierpnia 2025 r. Rosjanie zdobyli tylko niecały 1 proc. terytorium Ukrainy. Konflikt przeszedł w fazę wojny pozycyjnej. Jej symbolem stały się trwające ponad dziewięć miesięcy walki o sześciotysięczne miasteczko Bachmut w obwodzie donieckim. Ostatecznie tę jedną z najdłuższych i najkrwawszych bitew obecnej wojny wygrali Rosjanie, zajmując nie tyle miejscowość, ile jej gruzy.

WALKA O „BRAMĘ DO DONBASU"

Wciąż żadna ze stron nie potrafi przechylić szali na swoją stronę. Rosyjskie drony i rakiety spadają na terenie całej Ukrainy. Jednak bezpośrednie walki toczą się na ograniczonym obszarze wschodnich obwodów kraju. Sytuacja na froncie według stanu na przełom września i października wygląda mniej więcej następująco. Rosjanie kontynuują natarcie na pograniczu obwodów dniepropietrowskiego i zaporoskiego. Trwają ciężkie walki w kierunku Dobropola, gdzie nieznaczne postępy terytorialne osiągnęły obie strony. We wtorek 30 września rosyjskie Ministerstwo Obrony poinformowało o rzekomym zdobyciu wsi Siewiersk Mały w obwodzie donieckim. Szturm na miejscowość przeprowadziły jednostki zgrupowania sił „Południe". Najpierw użyto dronów do dokładnego rozpoznania, a następnie artylerii. W momencie, gdy piszę te słowa, czyli 1 października, wciąż ważą się losy Pokrowska, który staje się drugim Bachmutem. Obecnie to prawdopodobnie najdłużej trwająca bitwa tej wojny. Walki o tę miejscowość trwają od początku sierpnia 2024 r. O ile jednak Bachmut Rosjanie zdobywali głównie poprzez „mięsne szturmy", nie licząc się ze stratami własnymi, o tyle w przypadku Pokrowska w pewnym momencie zmienili taktykę, rezygnując z frontalnych ataków na rzecz prób okrążenia miasta.

„Wojska rosyjskie rozbijają obronę ukraińską w centrum Pokrowska na mniejsze ogniska oporu. Oddziały 2. Ogólnowojskowej Armii Gwardyjskiej Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej były w stanie narzucić Siłom Zbrojnym Ukrainy w Pokrowsku skrajnie niekorzystny scenariusz walk" – pisał 29 września na prokremlowskim portalu Readovka Michaił Pszenicznikow. Jak relacjonował, rosyjskim pododdziałom szturmowym udało się naruszyć system obrony ukraińskiej w kilku częściach miasta. Przyznał jednocześnie, że „nieprzyjaciel (czytaj:

eprasa.pl c7cac20f2f

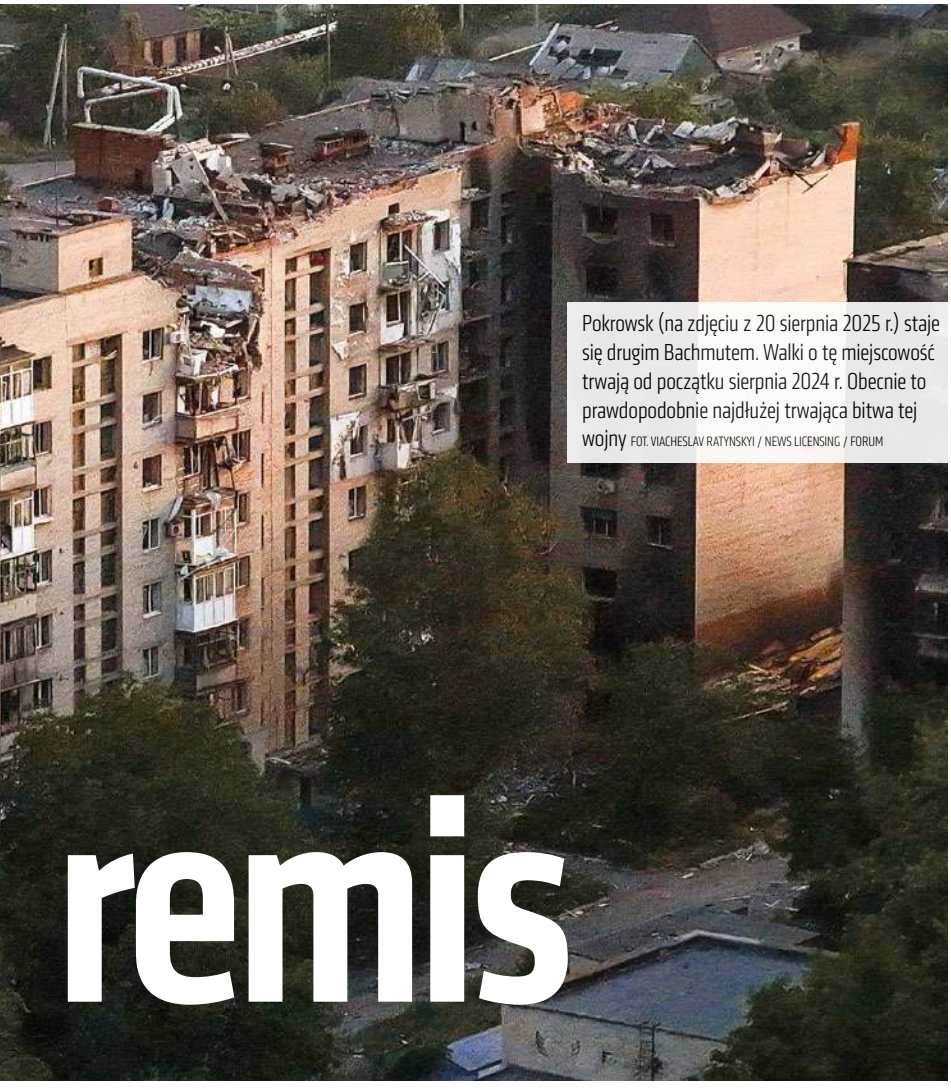

Pokrowsk (na zdjęciu z 20 sierpnia 2025 r.) staje się drugim Bachmutem. Walki o tę miejscowość trwają od początku sierpnia 2024 r. Obecnie to prawdopodobnie najdłużej trwająca bitwa tej wojny FOT. VIACHESLAV RATYNSKYI / NEWS LICENSING / FORUM

remis

Ukraińcy) przekształcił wiele obiektów przemysłowych w silny węzeł obrony".

Na zachód od Pokrowska wojska rosyjskie rozpoczęły natarcie od strony wioski Piszczane w kierunku Hryszyna. „Oddziały 2. armii formują szeroki front ataku i obchodzą węzeł obrony przeciwnika w strefie przemysłowej. Wszystko wskazuje na to, że garnizon ukraiński jest bliski utraty integralności. Jedyną szansą dla SZU jest wycofać wojska na północ miasta, za linię kolejową, i od nowa zorganizować obronę. To jednak doprowadzi do utraty przez przeciwnika większej części Pokrowska" – analizuje Readovka.

A jak sytuację przedstawiają ukraińskie media? „Pod Pokrowskiem sytuacja jest zmienna. Z powodu trudnych warunków pogodowych, silnego wiatru oraz niestabilnego nieba wróg nie może skutecznie wykorzystywać dronów, a masowe ataki piechoty przynoszą poważne straty" – pisze 1 października portal RBK Ukraina. Dzień wcześniej na antenie telewizji Kyiv 24 rzecznik 14. brygady Gwardii Narodowej „Czerwona Kalina" Maksym Bakulin przyznawał, że pogorszenie pogody utrudnia warunki zarówno rosyjskim, jak i ukraińskim dronom.

Rosjanie próbują otoczyć Pokrowsk, tymczasem to część ich sił została otoczona przez wojska obrońców. W ostatnich dniach po obu stronach informacyjnego frontu pojawiły się doniesienia o wzięciu wojsk rosyjskich pod Pokrowskiem w okrążenie. Na sytuację otwarcie skarżyli się tzw. wojenkorzy, czyli rosyjscy korespondenci wojenni. Na Telegramie pisali nawet o tym, że Ukraińcy zamknęli ich towarzyszy broni w trzech „kotłach". Co ciekawe, o takiej skali problemów przeciwnika nie informowali nawet sami Ukraińcy. Na łamach mediów oficerowie prasowi tonowali optymizm, stwierdzając, że jeszcze za wcześnie na triumfalizm.

Głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy gen. Ołeksandr Syrski odwiedził niedawno linię frontu, po czym publicznie oświadczył, że „dzięki dobrze zaplanowanym i odważnym działaniom" wojsk ukraińskich część oddziałów rosyjskich została okrążona w pobliżu Dobropilla. Chodzi o fragment odcinka pokrowskiego na linii frontu w obwodzie donieckim. „W czasie operacji kontrofensywnej udało się odzyskać 175 km kw. terytorium, ponadto oczyszczono z rosyjskich grup dywersyjnych 195 km kw." – napisał gen. Syrski na Telegramie. To nie oznacza jednak, że na kierunku pokrowskim któraś ze stron odniosła ostateczny sukces. Walki wciąż trwają i w momencie wysłania tego numeru „Do Rzeczy" do druku nie wiadomo, czym się zakończą.

Pokrowsk jest bardzo ważnym centrum logistycznym dla obrony ukraińskiej w obwodzie donieckim. Miasto położone jest przy drodze T054, która łączy kilka strategicznie istotnych miast. Ukraińcy wykorzystują infrastrukturę transportową Pokrowska. Przez miasto przebiega linia zaopatrzenia dla Konstantyniwki, Torećka, Kramatorska, Słowiańska czy Czasiw Jaru. Wszystkie te miejscowości staną się łatwym łupem dla Rosji, jeśli padnie Pokrowsk. Jest to więc „brama do Donbasu", której utrata przez Ukraińców otworzy Rosjanom autostradę do zdobycia całego regionu. „Rosjanie dotarli do centrum Kupiańska i według niektórych źródeł przecięli w jego zachodniej części drogę łączącą go z Charkowem. Dowództwo ukraińskie wprowadziło całkowity zakaz ruchu cywilnego do miasta. Najeźdźcy poczynili także dalsze postępy na pograniczu obwodów charkowskiego i biełgorodzkiego – wkroczyli do centrum Wołczańska oraz rozbudowali przygraniczny przyczółek między miejscowościami Miłowe i Odradne" – tak sytuację w obwodzie charkowskim, według stanu na 30 września, analizują Andrzej Wilk i Piotr Żochowski w raporcie dla Ośrodka Studiów Wschodnich. Ponadto toczą się również starcia w obwodzie zaporoskim.

eprasa.pl c7cac20f2f

1 października rosyjskie Ministerstwo Obrony pochwaliło się zdobyciem wsi Werbowe.

POD CIĄGŁYM OSTRZAŁEM

Ostatniego dnia września, według informacji Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Ukrainy, odnotowano 155 starć bojowych na froncie. Najgoręcej było na wspomnianym już odcinku pokrowskim. Nie wygląda jednak na to, aby Rosjanie byli w stanie przeprowadzić szeroko zakrojoną ofensywę jeszcze tej jesieni. Jak pisze Iwan Mahuriak z portalu telewizji 24 Kanał, jeśli w przedostatnim tygodniu września codziennie dokonywali ok. 180–220 ataków, to w ostatnim tygodniu miesiąca tych ataków było od 136 do 200. „Wciąż jest to dużo, ale tendencja pokazuje, że Rosjanom brakuje środków do tego, aby zachowywać zwiększoną aktywność na konkretnych odcinkach frontu" – komentuje ukraiński publicysta.

Trzyletnie zmagania w ramach „bitwy o Donbas" podsumowało niedawno Radio Swoboda. Według danych ukraińskiego wywiadu Putin planował zająć całe terytorium obwodu donieckiego najpierw do jesieni 2022 r., a gdy to się nie udało – do 1 marca 2023 r. Ani plan A, ani plan B się nie powiodły. Od lipca 2022 r., kiedy zdobyty został Lisiczańsk (co oznaczało, że pod kontrolą Rosji znalazł się cały obwód ługański), do jesieni 2022 r., gdy SZU przeszły do kontrofensywy, postępy Moskwy były ledwie zauważalne. We wrześniu 2022 r., podczas błyskawicznej operacji Kijowa, Rosja straciła znaczną część zajętych wcześniej terenów obwodów donieckiego i charkowskiego oraz niewielką część ługańskiego. W styczniu 2023 r. zdobyła miasteczko Sołedar, do maja – większą część Bachmutu, gdzie, według brytyjskiego Ministerstwa Obrony, traciła jednego żołnierza za każde 48 cm kw. zajętego terytorium. Od maja 2023 r. SZU prowadziły operacje na kierunku bachmuckim, a od lipca 2023 r. przerwały front południowy – na styku obwodów donieckiego i zaporoskiego.

Jednak w październiku 2023 r. Rosja znów przeszła do ofensywy. Do końca lutego 2024 r. Ukraińcy stracili Awdijiwkę. Na początku października – Wuhłedar. Obecnie, jesienią 2025 r., Rosja naciska na trzech kierunkach: pokrowskim, kupiańsko-limańskim i bachmuckim.

Bitwa o wschód Ukrainy trwa. Linia frontu przebiega z północy na południe przez obwody charkowski, ługański, doniecki, zaporoski i chersoński. Ponadto walki trwają też w kilku miejscowościach obwodu sumskiego.

Cała Ukraina – od Charkowa do Lwowa, od Odessy do Kijowa – jest regularnie ostrzeliwana z powietrza przez rosyjskie drony i rakiety. Przy czym najczęściej ofiarą nalotów padają stolica i wschodnie regiony. Ukraińcy jednak potrafią się odgryźć. W ostatnią niedzielę września zaatakowali dwie stacje elektroenergetyczne i elektrociepłownię w obwodzie biełgorodzkim. W efekcie ponad pół miliona mieszkańców regionu ucierpiało wskutek przerw w dostawach prądu. Po raz pierwszy od wybuchu wojny Ukraińcy byli w stanie tak poważnie zagrozić infrastrukturze energetycznej agresora. Co więcej, dzień po ataku Waszyngton ustami specjalnego wysłannika USA na Ukrainę Keitha Kellogga potwierdził, że Amerykanie nie mają żadnych zastrzeżeń wobec ukraińskich ataków dalekiego zasięgu przy użyciu zachodniej broni.

Rosji nie opłaca się przestać walczyć, bo wciąż traci na tej wojnie o wiele mniej niż Ukraina i o wiele więcej może zyskać

MARCHEWKA CZY KIJ?

Prawdopodobnie Donald Trump zaczyna rozumieć, że „marchewka" nie jest skutecznym narzędziem w negocjacjach z Putinem, dlatego postanowił użyć „kija", aby w ten sposób nakłonić Moskwę do zakończenia wojny. Rzeczywiście, w dalszej perspektywie amerykańska zgoda na ostrzał głębokich tyłów Rosji przy użyciu amerykańskiej broni może zmienić sytuację na froncie na korzyść Kijowa. Na naloty na infrastrukturę krytyczną Ukraina będzie mogła odpowiadać tym samym. Warto jednak pamiętać, że Trump już wiele razy zmieniał zdanie w sprawach dotyczącej wojny rosyjsko-ukraińskiej, więc i w tym wypadku nie jest pewne, czy będzie konsekwentnie stosował język siły.

Kilka kwestii wydaje się jednak oczywistych. Po pierwsze, celem Putina jest podbój albo uzależnienie od Rosji całej Ukrainy. Gdyby chodziło jedynie o wymuszenie ustępstw terytorialnych, już dawno zgodziłby się na, sugerowane przez Waszyngton, zamrożenie bądź zakończenie wojny na bieżącej linii frontu. Tymczasem Putin za każdym razem podkreślał, że punktem wyjścia do rozmów musi być usunięcie „praprzyczyn" konfliktu, czyli de facto kapitulacja Kijowa przed Moskwą (oraz zamiana tamtejszych rządów na prorosyjskie) i wycofanie się NATO możliwie dalej na zachód. Po drugie, Kreml konsekwentnie odrzuca propozycje zawieszenia broni, postulując przejście od razu do rozmów pokojowych.

Brzmi kusząco, bo przecież trwały pokój jest zawsze lepszy niż tymczasowe zaprzestanie walk. W czym więc problem? Otóż dotychczasowe negocjacje pokazały, że Rosja nie jest skłonna do kompromisów. Rozmowy pokojowe trwałyby więc bardzo długo. A w tym czasie Rosjanie zdobywaliby kolejne ukraińskie miasta i wsie. Może nie zdążyliby zająć nawet połowy kraju, ale permanentne ostrzały z powietrza, niekończąca się rzeź w okopach i pogłębiający się kryzys gospodarczy (a pewnie i z czasem polityczny) sprawiłyby, że w końcu Ukraińcy sami wymusiliby na swoich władzach maksymalne ustępstwa.

Rosji nie opłaca się przestać walczyć, bo wciąż traci na tej wojnie o wiele mniej niż Ukraina i o wiele więcej może zyskać. Nie opłaca jej się też zawierać pokoju, który nie oznaczałby całkowitej kapitulacji Wołodymyra Zełenskiego. Dlatego na ten moment maksimum, jakie Ukraina i Zachód mogą uzyskać od Rosji, to zamrożenie konfliktu wzdłuż linii frontu. Putin tego nie chce (bo idzie mu w miarę dobrze na froncie), ale może zmieni zdanie, gdy poczuje, że amerykańska broń dalekiego zasięgu w ukraińskich rękach jest równie skuteczna na tyłach Rosji, co rosyjskie drony i rakiety spadające na ukraińskie miasta.

Tak czy inaczej, ani jedna, ani druga strona konfliktu nie osiągnie swoich maksymalnych celów. Ani Rosja nie zlikwiduje ukraińskiej państwowości w jej obecnym, niezależnym od Moskwy kształcie, ani Ukraina nie odbije wszystkich terenów okupowanych przez Rosję.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

„BUNT ŻELIGOWSKIEGO" – JAK POLACY ODZYSKALI WILNO

Wielka gra o Wileńszczyznę – Józef Piłsudski chciał stworzyć federację na ziemiach byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wilno w polskich rękach miało być kartą przetargową

Miasto miłosierdzia – Cudowne wizerunki Jezusa i Matki Bożej przyciągają do Wilna tysiące wiernych. Dzieje powstania obu świętych dla Polaków obrazów pełne są zaskakujących wątków

Piastowski demon – Bolesław Rogatka okazał się jednym z największych łotrów i szubrawców tej wielkiej polskiej dynastii

Na ostatnim posterunku – Straceńcze boje to nie tylko polska specjalność. Często mimo braku militarnego sensu przynosiły one mniej lub bardziej dalekosiężne skutki i były również powodem do dumy dla przyszłych pokoleń

W kleszczach walk AK i UPA – Pod koniec wojny na Hrubieszowszczyźnie niemal każdy walczył z każdym. Polskie podziemie w bardzo brutalny sposób pacyfikowało ukraińskie wsie, starając się zastraszyć ukraińskich nacjonalistów

Pośpiech Anny Kamieńskiej – Po śmierci męża poetka stwierdziła: „Szukałam umarłego, a znalazłam Boga". Ksiądz Twardowski nie nawracał jej. Zrozpaczona po śmierci męża sama odnalazła Boga

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c7cac20f2f

Pete Hegseth, szef Departamentu Wojny USA, podpadł feministkom. Podtrzymał bowiem zapowiedź o rezygnacji z różnic w testach sprawnościowych dla kobiet i mężczyzn

FOT. TECH. SGT. CHARLES JOHNSTON/U.S. AIR NATIONAL GUARD

Kontrrewolucja w armii USA: koniec z urojeniami

Jacek Przybylski

W armii zakończyła się era poprawności politycznej i lewicowych ideologii. Ekipa Trumpa przywraca etos służby wojskowej, wyrzuca „facetów w sukienkach", walczy z otyłymi generałami i likwiduje taryfę ulgową dla kobiet. – Nie ma czasu na gierki – ostrzega Pete Hegseth, szef Departamentu Obrony przemianowywanego właśnie na Departament Wojny

Gdy Rosjanie i Chińczycy z roku na rok budowali coraz silniejszą armię, społeczeństwa Zachodu poświęciły długie lata na rozważania, ile jest płci, projektowanie „dumnych" świateł (np. w Londynie na przejściach dla pieszych zamiast ludzika wyświetlany jest symbol ruchu trans) oraz „postępowe" zmiany w armii, oficjalnie otwierające koszary najpierw dla gejów, lesbijek (przed 2011 r. mogli nieoficjalnie służyć w ramach polityki „Nie pytaj, nie mów" – „Don't ask, don't tell"), a następnie dla transwestytów.

Zwolennicy tej polityki mogą argumentować, że armia USA przez dekady zyskiwała na tym, że historycznie była nośnikiem największych zmian kulturalnych i społecznych w Stanach Zjednoczonych. Dekret wydany w 1948 r. przez Harry'ego S. Trumana zakazywał dyskryminacji „ze względu na rasę, kolor skóry, religię lub pochodzenie narodowe". Również w 1948 r. amerykańska armia oficjalnie pozwoliła na służbę wojskową kobiet, choć możliwość wykonywania misji bojowych w marynarce i lotnictwie żołnierki zyskały dopiero w latach 90. XX w. I rzeczywiście bez Indian, czarnych czy świetnie wyszkolonych, ambitnych kobiet amerykańskie siły zbrojne byłyby dziś słabsze.

Niestety, do Pentagonu dorwali się lewicowi politycy, którzy w XXI w. pokazali, że w promocji „postępowych ideologii" nie znają żadnego umiaru. Efekt? Gdy amerykańskie media alarmowały, że w 2013 r. ponad połowa Amerykanek, pragnących zostać żołnierkami Korpusu Piechoty Morskiej USA, nie zdołała podciągnąć się na drążku choćby trzy razy (to minimum w teście sprawnościowym, który miał obowiązywać kobiety od 2014 r.) to Korpus… postanowił opóźnić wprowadzenie tego wymogu. Obawiano się bowiem ryzyka utraty nie tylko nowych rekrutów płci pięknej, lecz także tych kobiet, które założyły już mundur. W roku 2015 zmieniono normy dotyczące oddziałów bojowych, tak aby zapewnić kobietom możliwość zdania testów. To nie koniec. Pod wpływem nacisków polityków z administracji Baracka Obamy Departament Obrony ogłosił również wówczas z wielką dumą plan rychłego otwarcia szeregów amerykańskiej armii na osoby po zmianie płci.

W roku 2017 prezydent Donald Trump zdecydował wprawdzie, że osoby transpłciowe nie będą dopuszczane do służby w amerykańskiej armii „w jakimkolwiek charakterze" – zwracając uwagę m.in. na olbrzymie koszty opieki medycznej oraz różnego rodzaju problemy generowane przez osoby transpłciowe w armii – ale po zmianie warty w Białym Domu amerykańska armia pod dowództwem Joe Bidena znów pochwaliła się

eprasa.pl c7cac20f2f

„historycznym sukcesem": w 2021 r. pierwsza transpłciowa osoba została czterogwiazdkowym oficerem – zaprzysiężona jako admirał Korpusu Komisarycznego Publicznej Służby Zdrowia (PHSCC) została wówczas Rachel Levine.

POŻEGNANIE Z „WOKE"

Obecnie historia zatacza koło. Prezydent Donald Trump w obliczu rosnącego zagrożenia ze strony Rosji i Chin postanowił definitywnie skończyć z polityczną poprawnością w armii. Osoby transpłciowe oficjalnie znów nie mogą służyć w amerykańskim wojsku. Armia ma bowiem koncentrować się na walce i zwycięstwie, a nie na promowaniu ideologii „woke". Zamiast programów promujących dumę z tożsamości, różnorodności etc., które mają być likwidowane lub znacząco ograniczane, pojawi się więcej treningów fizycznych i egzaminów z WF, służących rozwijaniu zdolności bojowej, a nie wrażliwości kulturowej.

– Zbyt długo awansowaliśmy zbyt wielu umundurowanych dowódców z niewłaściwych powodów, ze względu na ich rasę, parytety płci – mówił szef Departamentu Wojny podczas niecodziennego spotkania z kilkuset generałami i admirałami w Quantico w Wirginii, przedstawiając 10 dyrektyw mających wzmocnić armię USA. – Staliśmy się ministerstwem „woke", ale już nigdy więcej. Koniec z miesiącami tożsamości, biurami DEI (do spraw „różnorodności", „równości" i „inkluzywności") i facetami w sukienkach. Koniec z kultem zmian klimatycznych. Koniec z podziałami, rozproszeniem uwagi i urojeniami dotyczącymi płci. Jak już mówiłem i powtórzę jeszcze raz, skończyliśmy z tym gównem – mówił dosadnie Pete Hegseth.

JEDYNA MISJA TO WOJNA

Sekretarz wojny zapowiedział, że zmiana nazwy na Departament Wojny czeka jeszcze na oficjalne zatwierdzenie przez Kongres, nie jest tylko symbolicznym odejściem od departamentu ideologii „woke", w który przez lata lewicowi politycy próbowali przekształcić Pentagon. – Od tej chwili jedyną misją odrodzonego właśnie Departamentu Wojny USA jest prowadzenie wojny, przygotowywanie się do wojny i przygotowywanie się do zwycięstwa – ogłosił Pete Hegseth, podkreślając, że nie chce wojny, ale aby móc kochać pokój, trzeba być nieustępliwym i bezkompromisowym. – Wrogowie się gromadzą. Zagrożenia rosną. Nie ma czasu na gierki – dodał sekretarz wojny.

Nowi, silni i sprawni amerykańscy wojownicy mają nie być już ograniczeni podczas misji „głupimi" zasadami prowadzenia walki (z ang. rules of engagement). – Rozwiązujemy ręce naszym żołnierzom, aby mogli zastraszać, demoralizować i zabijać wrogów naszego kraju. Koniec z poprawnymi politycznie zasadami walki, tylko zdrowy rozsądek, maksymalna skuteczność i swoboda dla wojowników – zapowiedział Hegseth. Wtórował mu Donald Trump, który przywołując nazwiska generałów George'a S. Pattona, Omara Bradleya i Douglasa MacArthura, powiedział zgromadzonym generałom i admirałom, że „razem budzimy na nowo ducha wojownika".

BEZ TARYFY ULGOWEJ

Hegseth już w maju obecnego roku zakazał wojskowym uczelniom stosowania podczas rekrutacji kryteriów rasy, płci i pochodzenia. Najpóźniej od przyszłego roku wstęp na uczelnie mają mieć tylko ci, którzy są najsprawniejsi i mają największe zasługi w służbie wojskowej.

W ubiegłym tygodniu administracja Donalda Trump wprost zażądała zaś od żołnierzy, aby na stanowiskach bojowych spełniali „najwyższe standardy fizyczne". – To właśnie one uczyniły nasze siły najpotężniejszą armią na świecie – podkreślał podczas przemówienia w ubiegłym tygodniu sekretarz wojny, ogłaszając jednocześnie, że amerykańscy żołnierze obowiązkowo mają wykonywać w dni służby treningi fizyczne. – Jeśli sekretarz wojny może regularnie wykonywać ciężkie treningi fizyczne, to samo może robić każdy członek naszych sił zbrojnych – mówił 45-letni sekretarz wojny. Wyjaśnił też, dlaczego Departament Obrony zmienia nazwę na Departament Wojny. – Szkolimy wojowników, a nie obrońców. Toczymy wojny, aby wygrywać, a nie bronić. Obrona to coś, co robisz cały czas, jest z natury reakcyjna i może prowadzić do nadużywania, przesady i rozmycia misji – tłumaczył.

Zapowiedź regularnych testów sprawnościowych to rzeczywiście powrót do przeszłości, która wyniosła amerykańską armię na pierwsze miejsce w świecie. Pierwszy test sprawności fizycznej w Korpusie Piechoty Morskiej zarządził bowiem w roku 1908 prezydent Theodore Roosevelt. Aby go zaliczyć, oficerowie musieli być w stanie w ciągu trzech dni przebyć konno 90 mil (144 km), a oficerowie liniowi – przemaszerować 50 mil (80 km).

Aby przywrócić armię do formy, dwa razy do roku wszyscy żołnierze będą musieli nie tylko zdać egzamin spraw-

REKLAMA

eprasa.pl c7cac20f2f

nościowy, lecz także zaliczyć obowiązkowe ważenie. – Obecnie w każdej jednostce są tłuści żołnierze. Grubi generałowie i admirałowie, źle to wygląda. Od dzisiaj od każdego przedstawiciela wojska wymagane będzie zdawanie dwa razy do roku testów sprawnościowych – zapowiedział w ubiegłym tygodniu amerykański sekretarz wojny.

Pete Hegseth podpadł nie tylko grubasom w armii, lecz także amerykańskim feministkom. Podtrzymał bowiem zapowiedź o rezygnacji z różnic w testach sprawnościowych dla kobiet i mężczyzn. Standardy mają być „neutralne pod względem płci". – Jeżeli kobiety zdadzą testy sprawnościowe to świetnie. Jeżeli jednak nowe standardy będą oznaczały, że żadna kobieta nie zakwalifikuje się do niektórych jednostek bojowych, to trudno – oznajmił krótko, przekonując, że nie może być mowy o taryfie ulgowej, bo w tym zawodzie standardy mogą decydować o życiu i śmierci.

Urzędniczki administracji Joe Bidena: od lewej – admirał Korpusu Komisarycznego Publicznej Służby Zdrowia (PHSCC) Rachel Levine oraz rzecznik prasowa Białego Domu Karine Jean-Pierre

FOT. X.COM/HHS_ASH

Feministki rozpaczają, że „skandaliczna" decyzja spowoduje drastyczny odpływ żołnierek z amerykańskich jednostek bojowych. Obecnie ok. 18 proc. amerykańskich sił zbrojnych stanowią kobiety. Prawda jest jednak taka, że nowe zasady zamiast dyskryminacji oznaczają wzmocnienie pozycji tych żołnierek, które rzeczywiście nadają się na stanowiska bojowe. W wielu oddziałach od lat służą bowiem Amerykanki, które muszą zaliczyć taki sam test sprawnościowy jak ich koledzy mężczyźni, bez żadnej taryfy ulgowej. Są wśród nich np. kobiety, które kończą szkołę Rangersów lub które służą w piechocie. Wiele kobiet oficerów poparło więc działania Hegsetha, zmierzające do przywrócenia etosu wojskowego i zaprzestania polityki awansowania żołnierzy głównie z powodu rasy, płci lub polityki inkluzywności zamiast nagradzania za konkretne kwalifikacje i osiągnięcia. Wśród nich są m.in. Nancy Mace – pierwsza kobieta, która ukończyła z wyróżnieniem Cytadelę, czyli kolegium wojskowe Karoliny Południowej, a obecnie reprezentuje w Kongresie Partię Republikańską. „Prezydent Trump i sekretarz Hegseth mają rację: armia amerykańska nie jest placem zabaw dla lewicowej ideologii naginania płci. Nasze wojsko to siła bojowa, która musi powrócić do gotowości do misji" – powiedziała Mace agencji AP.

BRODA TYLKO DLA SPECJALSÓW

Pete Hegseth zapowiedział też dbałość o wygląd. Szef Pentagonu oczekuje od żołnierzy, że będą gładko ogoleni i będą mieli jednolitą fryzurę. – Nie będzie już więcej bród, długich włosów, musimy powrócić do standardu jednolitego wyglądu. To jak z teorią wybitych okien w policji. Kiedy nie zwracasz uwagi na małe rzeczy, to zaczynasz mieć problem z poważnymi kwestiami. Jeśli nie chcesz się golić i wyglądać profesjonalnie, to czas na zmianę stanowiska lub zawodu – mówił wprost szef Pentagonu, przekonując, że jeśli ktoś chce móc nadal nosić brodę w armii, to powinien wstąpić do jednostek specjalnych (komandosi nadal będą mogli mieć zarost).

ZIMNY CHÓW

Sekretarz wojny nie chce już ciepłych kluch w szeregach armii. Podczas szkolenia żołnierze mają więc mniej czasu spędzać na oglądaniu prezentacji w PowerPoincie, a więcej na poligonach, strzelnicach etc. Aby skończyć z kulturą „chodzenia po skorupkach jaj" – jak określił to sekretarz wojny – Pentagon zrewiduje więc definicję „toksycznego przywództwa", tak aby można było robić z kadetów prawdziwych wojowników bez myślenia o tym, kto co zezna potem w sądzie. Hegseth przekonuje, że naprawdę toksyczni liderzy to ci, którzy pozwalają podwładnym na niskie standardy. Gdy amerykańska armia przestanie już być zakładem pracy chronionej, dowódcy będą mogli znów skupić się na dyscyplinie i intensywnym szkoleniu, nie obawiając się o to, że jakiś roszczeniowy żołnierz z pokolenia Z oskarży ich o „nękanie", bo zmuszał podwładnych do robienia dodatkowych pompek, przebiegnięcia kilku kilometrów więcej lub wysyłał ich na tzw. orbitki wokół czołgu. Dopuszczalne ma być też motywowanie żołnierzy za pomocą poleceń kojarzonych obecnie ze zjawiskiem tzw. fali. Oczywiście nadal wszystkie rozkazy będą musiały być zgodne z obowiązującym prawem.

BILION DOLARÓW ROCZNIE

Podczas tego samego spotkania Donald Trump ogłosił, że żołnierze będą mogli zdobywać doświadczenie, walcząc „z wrogiem wewnętrznym" na ulicach najbardziej niebezpiecznych amerykańskich miast, takich jak Waszyngton, Chicago czy Portland. To nie spodobało się politykom z Partii Demokratycznej, którzy oskarżają prezydenta o „niebezpieczny zamach na demokrację" i traktowanie własnych obywateli jak wrogów w strefie wojny.

Prezydent taką krytyką na razie zbytnio się jednak nie przejmuje. W sierpniu Trump podpisał rozporządzenie nakazujące sekretarzowi obrony zapewnienie, że Gwardia Narodowa każdego stanu będzie odpowiednio wyposażona, wyszkolona, zorganizowana i gotowa do pomocy w „tłumieniu niepokojów społecznych".

Za nowymi wymaganiami mają pójść duże pieniądze. Prezydent Donald Trump na spotkaniu z generałami i admirałami powiedział, że w 2026 r. Biały Dom przeznaczy na wojsko aż 1 bln (!) dol. Dla porównania: Chiny wydają się na wojsko 245 mld (!) dol., a Polska – ok. 50 mld dol. rocznie.

Z ubiegłotygodniowego spotkania prezydenta Donalda Trumpa z amerykańskimi generałami i admirałami płynie też bardzo ważny wniosek dla polskich polityków: w kwestii wojny i pokoju naprawdę nie ma już czasu na gierki.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

FOT. ADOBE STOCK

WALKA Z PRZYGNĘBIENIEM

Władze Chińskiej Republiki Ludowej postanowiły zająć się kondycją psychiczną Chińczyków. Podjęły bowiem walkę z przygnębieniem. Rozpoczęto kampanię, która ma za zadanie ograniczenie pesymistycznych nastrojów w mediach społecznościowych. W tym przypadku nie chodzi tylko o polityczne przekazy. Internet w ChRL jest czyszczony z treści zawierających np. sugestię, że nauka lub ciężka praca są bez sensu.

PRESTIŻ GRABARZA

Do osobliwych zawodów doszło w Szekszárd (Węgry). Odbyły się tam... Międzynarodowe Mistrzostwa w Kopaniu Grobów. W turnieju uczestniczyło 20 drużyn. Impreza organizowana przez Stowarzyszenie Operatorów i Zarządców Cmentarzy (MTFE) ma na celu podniesienie prestiżu zawodu grabarza. Dwuosobowe ekipy w dwie godziny musiały wykopać i zasypać grób zgodnie z wymiarami. Oceniano nie tylko szybkość i dokładność, lecz także dbałość o szczegóły. Wygrał duet węgierski, ostatnie miejsce zajęli Rosjanie.

RABUŚ NUREK

Było już po północy, gdy od strony jeziora mężczyzna w kombinezonie nurkowym podpłynął do restauracji w Disney Springs – dużym centrum handlowo-rozrywkowym w Lake Buena Vista na Florydzie. Kiedy człowiek ten znalazł się w lokalu, zdjął kombinezon, a następnie wszedł do biura menedżera, gdzie kazał pracownikom stanąć w kącie, zawiązał im oczy i ich skrępował. Potem zabrał dziesiątki tysięcy dolarów, założył ponownie kombinezon i odpłynął.

UKRAŚĆ I WYRZUCIĆ

Dwie kobiety i mężczyzna weszli do sklepu H&M w Londynie, żeby dokonać zuchwałej kradzieży. W biały dzień wynieśli z placówki handlowej ubrania o wartości 400 funtów. Szkopuł w tym, że w pobliżu sklepu jest posterunek policji. Złodzieje zatem zostali wkrótce zatrzymani przez stróżów prawa na przystanku autobusowym. Natomiast skradzione rzeczy leżały tuż obok na chodniku.

WŁASNY POGRZEB

Mieszkańcy Aderetes (Argentyna) doznali istnego szoku, kiedy uznany za zmarłego 22-latek przybył na własny pogrzeb. „Żyję!" – zawołał, gdy wrócił po kilkudniowej nieobecności do domu. Podjęto śledztwo, które wykazało, że w trumnie znalazły się zwłoki innej osoby. Prawdopodobnie doszło do pomyłki przy identyfikacji ciała zmarłego. Zginął on w wyniku potrącenia przez ciężarówkę. Błędne rozpoznanie nastąpiło na podstawie ubrania i niektórych cech fizycznych ofiary wypadku. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trudna walka o Europę

Mołdawia. Piękne, lecz wyjątkowo biedne państwo, które nie dość, że jest słabo rozwinięte, to jest jeszcze silnie uzależnione od importu paliw i surowców. Średnie wynagrodzenie wynosiło tu w drugim kwartale 2025 r. równowartość ok. 3 tys. zł. Mnóstwo ambitnych ludzi za dobrze płatną pracą emigruje więc do innych krajów.

Kiszyniów – mołdawska stolica – mocno przypomina Warszawę z lat 90. ubiegłego stulecia. Nowoczesne biurowce, nowobogackie wille i apartamentowce stoją obok nielicznych zabytków i wielu typowych socrealistycznych bloków. Na ulicach błyszczące porsche mijają rozklekotane auta rodem z ZSRS.

My na początku XXI w. mieliśmy łatwiej. Unia Europejska była wówczas zupełnie inna. Nic więc dziwnego, że w referendum w 2003 r. „za" członkostwem w Unii głosowało ponad 77 proc. Polaków. Mieszkańcy dawnych peryferii Imperium Rosyjskiego stanęli przed decyzją, są przyzwyczajeni do niepewności politycznej. Wielu ekspertów w Kiszyniowie oficjalnie lub poza włączonym mikrofonem porównuje jednak wprost brukselski Zielony Ład do planów gospodarczych za czasów sowieckich. I racjonalnie argumentuje, że forsowane siłą przez Brukselę ideologie niebezpiecznie rymują się z wizjami człowieka kreślonymi przez Marksa, Engelsa czy Stalina.

Fakt, że przed ostatnimi wyborami w Mołdawii (ostatecznie wygranymi przez prounijny PAS) tak wielu polityków drżało, czy uda się utrzymać prozachodni kurs czy może górę weźmie Rosja, powinno zapalić alarmowe lampki w UE. Jeśli mieszkańcy najbiedniejszego kraju w Europie wahają się przed integracją z Unią, to znak, że czas na poważne reformy w Brukseli. ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

Więzienie za intencje

Wojciech Golonka

Trudno nie skłonić się do konkluzji, że w przypadku niezwykle kuriozalnego wyroku skazującego byłego prezydenta Francji i pośpiechu w jego osądzeniu nieformalna republika sędziów upokorzyła samą Francję

25 września były prezydent Francji Nicolas Sarkozy został w pierwszej instancji skazany na pięć lat więzienia FOT. ALAIN JOCARD/AFP/EAST NEWS

Nicolas Sarkozy nie był suwerenistą ani konserwatystą. Wykpił wynik referendum, w którym Francuzi odrzucili projekt konstytucji Unii Europejskiej, i przeprowadził jej ratyfikację w postaci traktatu lizbońskiego. Był zagorzałym zwolennikiem globalizacji, porzucił przy tym jedyną w swoim rodzaju pozycję Francji w NATO, wytyczoną jeszcze w 1966 r. przez gen. de Gaulle'a, integrując z powrotem jej siły zbrojne, dotychczas zupełnie niezależne, z amerykańskim dowództwem NATO. Zdestabilizował Bliski Wschód, eskalując NATO-wski interwencjonizm w Libii w 2011 r., skutkujący, obok wojny domowej w Syrii, kryzysem migracyjnym dla całej Unii Europejskiej. W końcu, pośród dłuższej listy pretensji i zarzutów, można by podkreślić, że to jego minister edukacji wprowadzał do programów nauczania zalążki wojującej dziś z normalnością teorii gender.

A jednak, jakkolwiek by patrzeć na jego prezydenturę i jej owoce, obecne bardzo nietypowe skazanie Sarkozy'ego ma prawo szokować i zastanawiać. Afera jest dość zawiła – postaram się ją za chwilę stosunkowo jasno streścić – a samo orzeczenie sądowe liczy przeszło 400 stron, natomiast clou wyroku jest następujące: Sarkozy został oczyszczony z trzech spośród czterech stawianych mu zarzutów. W przypadku czwartego uznano, że nie mógł nie wiedzieć, iż jego dwaj współpracownicy – Claude Guéant i Brice Hortefeux – mieli intencję uzyskania przestępczego finansowania jego kampanii wyborczej z 2007 r. za pomocą środków z Libii, którego to finansowania jednak nie wykazano. Libia ma tu znaczenie szczególne, o posmaku terrorystycznym – po wysadzeniu w 1989 r. samolotu francuskich linii lotniczych UTA na trasie z Kongo do Paryża, w którym zginęło kilkudziesięciu Francuzów (był to libijski odwet za francuskie wsparcie Czadu w konflikcie libijsko-czadzkim), kraj ten był dyplomatycznie odizolowany, stąd inwestycja w kampanię Sarkozy'ego miała być ceną za normalizację stosunków dyplomatycznych.

SPRAWA SPRZED LAT

A zatem 25 września były prezydent Francji został w pierwszej instancji skazany na pięć lat rzeczywistego więzienia za udział w zorganizowanej grupie przestępczej, której to przestępstwa nie wykazano. W dodatku, mimo że skazany ma prawo do apelacji, sąd zadecydował o tymczasowej wymierzalności kary (data jego uwięzienia ma zostać wyznaczona 13 października), powodując zdumienie części francuskiej opinii publicznej i prowokując pytania o niezawisłość, a raczej o upolitycznienie sądów. Innymi słowy: nie udowodniono popełnienia zasadniczego przestępstwa, ale założono istnienie zorganizowanej grupy przestępczej, i to z tego powodu zdecydowano o osadzeniu Nicolasa Sarkozy'ego w więzieniu, nie czekając, aż jego sprawa zostanie rozpatrzona przez sąd apelacyjny, tak jakby objęty permanentną policyjną ochroną, jako była głowa państwa, miał on realną możliwość ucieczki lub zachodziłoby zasadne prawdopodobieństwo popełnienia przezeń recydywy w tej dziedzinie…

Od tych intencji i czynów lub rzekomych czynów z 2007 r. upłynęło wiele wody w Sekwanie, a przede wszystkim miały miejsce trzy odbyte już kadencje prezydenckie, niewolne od skandali i kryzysów, jedne gorsze od drugich, patrząc na postępujący upadek Francji, na których tle prezydentura Sarkozy'ego jawi się w sumie dość przyzwoicie, tak że przypomnienie sprawy przez trybunał i media wydaje się jeśli nie abstrakcją, to historią już odległą, niepozbawioną jednak powagi. W 2011 r., niedługo przed zachodnią interwencją zbrojną w Libii, jej przywódca Muammar Kaddafi w wywiadzie dla „Le Figaro" stwierdził, że został zdradzony przez prezydenta Sarkozy'ego, że Sarkozy, będąc ministrem spraw wewnętrznych, zwrócił się do niego o pomoc finansową w celu wygrania wyborów, której ten mu udzielił. Wywiad ten nie został jednak opublikowa-

eprasa.pl c7cac20f2f

ny (wyemitowała go francuska telewizja dopiero w 2014 r.), a sam Kaddafi zginął jeszcze w tym samym roku, zlinczowany przez siły opozycyjne po wcześniejszym nalocie zachodnich myśliwców na jego konwój samochodowy.

Informacja ta wypłynęła jednak w trakcie kampanii prezydenckiej w 2012 r., w formie dziennikarskiego śledztwa opublikowanego przez sprzyjający François Hollande'owi lewicowy portal Mediapart. Co ważne, wiarygodność ówczesnej afery w dużej mierze opierała się na notatce szefa libijskiego wywiadu, której autentyczność trybunał kwestionował w swoim wyroku. Niemniej to właśnie w następstwie rewelacji Mediapartu podjęto śledztwo w sprawie przyjęcia przez Sarkozy'ego łapówki w zamian za normalizację relacji z Libią, nielegalnego finansowania kampanii wyborczej i przywłaszczenia libijskich środków publicznych.

Co ważne, dopiero w 2020 r. pojawił się zarzut przynależności do zorganizowanej grupy przestępczej, która miała ukuć zmowę korupcyjną z Libią, której urzeczywistnienia jednak w ostateczności nie wykazano. Z punktu widzenia wyroku skazującego, a zarazem oczyszczenia ze wszystkich podstawowych zarzutów zachodzi zatem pytanie, czy zarzut o działaniu w zorganizowanej grupie przestępczej nie został wysunięty wobec słabości zebranego materiału dowodowego, skądinąd niepozbawionego zastanawiających poszlak?

UPOLITYCZNIONE SĄDY

W 2005 r., kiedy Sarkozy był popularnym ministrem spraw wewnętrznych, Claude Guéant, wówczas dyrektor jego gabinetu, oraz Brice Hortefeux, jego wiceminister, odbyli w Libii spotkanie z Abdullahem Senussim, szwagrem Kaddafiego, szefem tamtejszego wywiadu, skazanym zaocznie we Francji na dożywocie za współorganizowanie wspomnianego zamachu terrorystycznego z 1989 r. Kilka miesięcy po objęciu urzędu prezydenta, w grudniu 2007 r., Sarkozy podjął Kaddafiego w Paryżu i w Wersalu podczas jego wyjątkowo długiej, pięciodniowej wizyty państwowej we Francji, podczas której podpisano wielce intratne kontrakty bądź promesy inwestycji na sumę kilkunastu miliardów euro. Wprawdzie Stany Zjednoczone czy Wielka Brytania zdążyły już wówczas unormować swe stosunki dyplomatyczne z Libią, niemniej Sarkozy'emu zarzucano godzący w pamięć ofiar libijskiego terroryzmu oportunizm.

Przechodząc do meritum, różni świadkowie z zagranicy mówili o wspomnianym pakcie korupcyjnym, jednakże ich zeznania bywały rozbieżne, np. co do kwot, a przede wszystkim główny świadek, Franko-Libańczyk Ziad Takieddine, handlarz bronią, który miał pośredniczyć w przekazywaniu libijskich funduszy, uciekł z Francji do Libanu w 2020 r., zanim uprawomocnił się jego wyrok skazujący w innej sprawie korupcyjnej. Następnie wycofał swe pierwotne zeznania obciążające oskarżonych, a ostatecznie zmarł przezornie w wieku 75 lat, kilka dni przed wrześniowym posiedzeniem trybunału, gdzie groziły mu sześć lat więzienia i 3 mln euro grzywny.

Te poszlaki, jak widać, po 10 latach niezmiernie kosztownego dochodzenia i śledztwa prowadzonego przez świeżo powołaną w 2013 r. superinstytucję w postaci Finansowej Prokuratury Krajowej, w których to wykorzystano w zasadzie wszelkie środki, z podsłuchami włącznie, okazały się wystarczające jedynie do ustalenia przez sąd, na podstawie własnej interpretacji faktów, intencji przeprowadzenia korupcyjnego paktu przez dwóch podwładnych Sarkozy'ego, o której on sam, wciąż według sądu, nie mógł nie wiedzieć. Otóż nie ma wątpliwości, że Sarkozy, z jednej strony w przeszłości błyskotliwy i w pewnym okresie niezwykle popularny polityk z racji stanowczego języka w kwestiach bezpieczeństwa wewnętrznego, z drugiej strony miał w swojej aurze również coś z ewidentnego politycznego cwaniaka. W postępowaniach, które go dotyczą, w 2024 r. zapadł już jeden prawomocny wyrok roku więzienia w zawieszeniu na ograniczenie wolności z bransoletką monitorującą (Sarkozy miał ją ostatecznie jedynie przez trzy miesiące, kiedy jego przebywanie poza domem było ograniczone): z racji skorumpowania pracownika sądu kasacyjnego, który miał go uprzedzić, jeśli zapadnie wobec niego decyzja podsłuchów w ramach toczących się wobec niego postępowań.

Jednakże w tamtej sytuacji, jakkolwiek frapującej – pierwszy raz skazano bowiem byłego prezydenta V Republiki – nie raził brak widocznej proporcji, który tym razem dla wielu jest oczywisty. Niedawny lewicowy zresztą minister sprawiedliwości w rządzie Emmanuela Macrona, Éric Dupond-Moretti, skomentował, że wyroki sądów nie zawsze są zrozumiałe dla ogółu ludzi. Prawicowa publicystka Charlotte d'Ornellas zwracała jednak uwagę, że powinno być wręcz przeciwnie – w demokracji sądy wymierzają sprawiedliwość w imię ludu, więc ich wyroki i kary muszą być właśnie zrozumiałe. Powrócił przy tym temat instrumentalizacji wymiaru sądownictwa w rywalizacji politycznej (inna publikacja Mediapartu, w 2017 r., pozbawiła prezydenckich szans byłego prawicowego premiera François Fillona, z kolei niedawny wyrok sądu pozbawił Marine Le Pen czynnego prawa wyborczego z klauzulą wykonalności, choć zapadł dopiero w pierwszej instancji).

REPUBLIKA UPOKORZONA

To prawda, że sądy we Francji nie są pozbawione politycznego kolorytu – w 2013 r. wybuchła afera w związku z „Murem idiotów" w siedzibie związku zawodowego sędziów, na którym wieszano wizerunki polityków (w tym Sarkozy'ego), dziennikarzy czy znanych policjantów, w większości prawicowych. Do tego związku zawodowego należała ongiś Nathalie Gavarino, przewodnicząca trybunału, który skazał Sarkozy'ego, biorąca zresztą w przeszłości udział w manifestacji przeciw jego polityce reformującej sądy (Sarkozy jako minister i prezydent krytykował permisywność sądów wobec recydywistów i dążył do ograniczania arbitralnej uznaniowości wyroków).

Ale światowy trend łagodniejszego traktowania lewicowych polityków, dla których obowiązuje złota zasada in dubio pro reo, przy jednoczesnej instrumentalizacji wymiaru sprawiedliwości w walce politycznej (jak w przypadku Donalda Trumpa, o polskich realiach nie wspominając), nie może z kolei systematycznie przesądzać o czyjejś niewinności. Trudno jednak nie skłonić się do konkluzji, że w przypadku niezwykle kuriozalnego wyroku skazującego byłego prezydenta Francji i pośpiechu w jego osądzeniu nieformalna republika sędziów upokorzyła samą Francję. „Strzeżcie się sędziów – miał przestrzegać prezydent Mitterand – obalili monarchię, obalą i republikę!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

Kto będzie władał algorytmem TikToka?

Jakub Wozinski

Administracja Donalda Trumpa przy pomocy swoich biznesowych sojuszników chce dokonać wielkiego odrodzenia chrześcijańskiego syjonizmu w USA. Szczególną rolę w tym procesie mają odgrywać media społecznościowe. Wyrugowane zostałyby z nich nie tylko treści wspierające sprawę palestyńską, lecz także wszystkie, którym przyprawi się łatkę „antysemickich"

FOT. ADOBE STOCK

Po kilkuletniej epopei wyjaśnia się przyszłość popularnej chińskiej aplikacji. Jej nowi właściciele mogą chcieć uczynić z niej narzędzie służące do poprawy wizerunku Izraela.

W przeciwieństwie do większości amerykańskich mediów społecznościowych, które od lat stoją niezmiennie na straży jedynego, słusznego, lewicowo-liberalnego światopoglądu, TikTok od dłuższego czasu szokował dopuszczaniem treści, które nie mieściły się w spektrum tego, co akceptowalne.

PROPALESTYŃSKIE SENTYMENTY

Mowa oczywiście o treściach otwarcie propalestyńskich, które wzmogły się w szczególności po 7 października 2023 r. Badanie przeprowadzone w okresie od wybuchu wojny do stycznia 2024 r. przez naukowców z Northeastern University wykazało nawet, że na platformie opracowanej przez chiński ByteDance treści sprzyjające Palestynie miały aż 236 mln wyświetleń, a posty wspierające Izrael zaledwie 14 mln.

Trwająca wojna tak naprawdę stała się jedynie katalizatorem przemian, które można było zaobserwować już od dłuższego czasu. Szerzący się najmocniej w Stanach Zjednoczonych wokeizm już od wielu lat kontestował wartości, które z perspektywy niezwykle licznego grona chrześcijańskich syjonistów uchodziły za świętość i fundament „konserwatyzmu". Sterowany z Chin algorytm TikToka okazał się na nie nieczuły, dlatego w ostatnich latach wydatnie dopomógł w gwałtownym wzroście nastrojów antysemickich.

Donald Trump dostrzegał zagrożenie ze strony chińskiej platformy już w czasie swojej pierwszej kadencji. Po raz pierwszy publicznie ogłosił, że jego administracja zamierza przejąć lub zmusić Chińczyków do sprzedaży TikToka już na początku sierpnia 2020 r. Jako oficjalny powód takich działań podawano troskę o bezpieczeństwo danych amerykańskich obywateli. I rzeczywiście nie ulega wątpliwości, że mając do dyspozycji aż 170 mln amerykańskich użytkowników aplikacji, Chiny zdołały w ostatnich latach znacząco wzbogacić swoją wiedzę na ich temat. Trump przekonywał, że TikTok pozwala chińskim komunistom na bieżąco śledzić poczynania jego rodaków i jednocześnie promować przekaz polityczny sprzyjający interesom Komunistycznej Partii Chin.

Prawdziwym motywem działań republikańskiego prezydenta od samego początku mogła być jednak zupełnie niespotykana jak na amerykańskie warunki swoboda wyrażania krytyki pod adresem Izraela czy wręcz wrogości względem Żydów i ich wpływów w USA. Już w latach 2020–2021 żydowska organizacja Anti-Defamation League powoływała się na badania wykazujące, że na TikToku liczba antyżydowskich komentarzy rosła w lawinowym tempie (nawet kilkaset procent w skali roku).

Ostatecznie Trump pod koniec sierpnia 2020 r. podpisał rozkaz wykonawczy zmuszający chińską firmę ByteDance do oddania kontroli nad TikTokiem. Zatwierdzono nawet wstępny plan umowy z firmami Oracle i Walmart, które miały przejąć znaczny pakiet akcji, choć amerykański rząd miał zachować decydujący wpływ na poczynania spółki.

Plany te przerwała dyskusyjna porażka wyborcza Trumpa. Przejęcie TikToka znacząco opóźniało się za sprawą sądów, a gdy władzę przejął Joe Biden, rozkaz wykonawczy Trumpa został w końcu uchylony. Nowa administracja zleciła zaledwie zbadanie potencjalnych zagrożeń ze strony chińskiej platformy, choć w 2023 r. wprowadziła zakaz korzystania z niej na rządowych komputerach. Decyzja Bidena była powszechnie odczytywana jako ukłon w stronę środowisk radykalnej lewicy, która poprzez TikToka zdobywała wpływy w szczególności wśród młodych odbiorców.

eprasa.pl c7cac20f2f

Postępy lewicowego szaleństwa na TikToku w sposób najbardziej skrupulatny śledził w ostatnich latach profil na portalu X o nazwie Libs of TikTok zarządzany przez wyznawczynię ortodoksyjnego judaizmu Chayę Raichik. Niewątpliwą zasługą Raichik było odsłonięcie przed wszystkimi osobami stroniącymi od chińskiej platformy społecznościowej bezmiaru dekadencji i degeneracji, które szerzą się wśród młodych. Libs of TikTok stało się przerażającą kroniką radykalizmu, którego rozprzestrzenianie się było chińskim właścicielom aplikacji najwyraźniej bardzo na rękę. Rzecz jasna, radykalne, nieprzyzwoite i podpadające pod wiele paragrafów treści można odnaleźć także w mediach społecznościowych należących do Big Tech, ale bez cienia wątpliwości TikTok przyzwalał na dużo więcej.

DOPIĘTY DEAL

Pomimo początkowej zmiany decyzji Trumpa Joe Biden ostatecznie w kwietniu ubiegłego roku przychylił się do idei wywłaszczenia TikToka, mając za sobą wsparcie obu partii. Wykonanie tego pozostawił jednak Trumpowi, który już w pierwszych dniach urzędowania przekazał, że tym razem doprowadzi całą sprawę do końca.

Na finalizację przejęcia trzeba było trochę poczekać, gdyż negocjacje wymagały konsultacji z samym Xi Jinpingiem. Na mocy decyzji Kongresu ByteDance miał także dany czas, aby samodzielnie wybrać amerykańskiego nabywcę. Ostatecznie skończyło się na tym, że przy walnym udziale Białego Domu zawiązana zostanie specjalna spółka, która przejmie 80 proc. udziałów w amerykańskim TikToku. W jej skład mają wchodzić m.in. należący do rodziny Murdochów Fox Corp., fundusz Silver Lake, Oracle, fundusz Andreessen Horowitz oraz Dell.

Amerykański TikTok ma działać na zasadzie dzierżawy licencji, lecz wszystkie dane amerykańskich użytkowników mają być zabezpieczone przez amerykańskie państwo i przeniesione na serwery Oracle. Co jednak najważniejsze, amerykańska spółka ma mieć do dyspozycji także pełnię władzy nad algorytmem aplikacji.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że TikTok w nowej odsłonie będzie promował skrajnie odmienne nastawienie do Izraela oraz wpływów ludności żydowskiej. Wśród udziałowców nowej spółki dominują wszak osoby powszechnie znane z wyrażania jednoznacznego i bezwarunkowego poparcia dla bliskowschodniego państwa, które dopuszcza się w Strefie Gazy ludobójstwa.

Dobrym tego przykładem jest choćby gigant branży informatycznej, Oracle. Jego dyrektorem generalnym jest urodzona w Izraelu Safra Catz, która po wybuchu ostatniej wojny uczyniła z poparcia dla Izraela oficjalne stanowisko spółki, zastrzegając, że „jeśli ktoś ma z tym problem, ten ma problem z nami". Już w 2021 r. Oracle zbudowało w Jerozolimie centrum danych za 319 mln dol., a przy okazji ubiegłorocznej wizyty w Izraelu Safra Catz ogłosiła chęć budowy kolejnego, znajdującego się dziewięć pięter pod powierzchnią ziemi.

PRZYJACIEL SIŁ OBRONNYCH IZRAELA

Równie bezgranicznie oddany interesom żydowskiego państwa jest współzałożyciel i prezes Oracle, Larry Ellison. Słynący z wystawnego i obfitującego w burzliwe związki życia miliarder ma również żydowskie pochodzenie, a w ostatnich latach zasłynął jako największy prywatny darczyńca fundacji noszącej nazwę Przyjaciele Sił Obronnych Izraela. Ellison od lat przyjaźni się nie tylko z Donaldem Trumpem, lecz także z Beniaminem Netanjahu, którego zaprosił nawet kiedyś do rady nadzorczej Oracle.

Warto dodać, że syn Larry'ego Ellisona, David, przejął w sierpniu kontrolę nad jedną z najbardziej popularnych stacji telewizyjnych CBS. Już w pierwszych dniach nakazał wstrzymanie realizacji programów DEI, czyli wdrażających lewackie zasady inkluzywności i różnorodności. W ostatnich dniach wiele mówi się także o możliwym zatrudnieniu w stacji osób znanych z dużo bardziej konserwatywnych (czy raczej antywokeistowskich) poglądów. Jakby tego było mało, David i Larry Ellison zaangażowali się ostatnio także w bardzo śmiały projekt przejęcia stacji telewizyjnej CNN. Ofensywa Ellisonów wpisuje się więc niewątpliwie w coraz bardziej zauważalny nurt, w którego ramach media tradycyjne i społecznościowe mają być coraz bardziej proizraelskie i coraz mniej wokeistowskie.

Niezwykle zaangażowani po stronie izraelskiej są także liderzy firmy Andreessen Horowitz, która zresztą specjalizuje się w finansowaniu izraelskich start-upów (szczególnie tych zakładanych przez wojennych weteranów). O Marcu Andreessenie było niedawno głośno, gdy w czasie jednej z publicznych debat wyrażał się entuzjastycznie na temat szans, które daje trwająca na Bliskim Wschodzie wojna w zakresie rozwoju nowoczesnych technologii wykorzystujących sztuczną inteligencję.

Już wkrótce TikTok zyska w Ameryce zupełnie nowe oblicze. Nie sposób oczywiście przewidzieć, jak dokładnie będzie działał nowy algorytm, ale biorąc pod uwagę to, jak do kwestii żydowskiej podchodzą liderzy firm mających współtworzyć nową spółkę, nie można mieć co do tego większych złudzeń. Administracja Trumpa przy pomocy swoich biznesowych sojuszników chce dokonać wielkiego odrodzenia chrześcijańskiego syjonizmu w Stanach Zjednoczonych, tak bardzo nadszarpniętego w czasach rządów Obamy i Bidena. Szczególną rolę w tym procesie mają odgrywać media społecznościowe, z których wyrugowane mają zostać nie tylko treści wspierające sprawę palestyńską, lecz także wszystkie, którym przyprawi się łatkę „antysemickich".

Lobby izraelskie w USA może bezsprzecznie mówić o swoim sukcesie. Uważany powszechnie za najbardziej skuteczny na świecie w podtrzymywaniu uwagi algorytm będzie odtąd pracował na jego korzyść. Cały proces przejmowania amerykańskiego TikToka przeciągnie się zapewne do drugiej połowy 2026 r., ale kluczowe decyzje już zapadły.

W ostatnich dniach do sprawy przejęcia TikToka odniósł się nawet sam Beniamin Netanjahu, który wyraził radość z faktu, że sojusznicy Izraela przejęli szczególnie ważną „broń" umożliwiającą „prowadzenie boju". Słowa ta padły w czasie specjalnego spotkania z internetowymi influencerami, które zorganizowano przy okazji pobytu premiera Izraela w Nowym Jorku. Netanjahu mówił także o „wyzwaniach nowej ery", w której najważniejszym polem bitwy są media społecznościowe.

W czasie spotkania z influencerami Netanjahu wspomniał także o portalu X, który odgrywa równie wielką rolę w kształtowaniu opinii na temat Izraela. „Musimy porozmawiać z Elonem […], on jest naszym przyjacielem" – zapewnił zgromadzonych premier.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7cac20f2f

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto źle życzy Polkom?

Gdyby PiS nie rozwalił pięknej reformy emerytalnej Platformy i PSL z 2012 r., której zazdrościliby nam dziś i Niemcy, i Francuzi, w wiek emerytalny wszedłbym po ukończeniu 67 lat. Albowiem reforma ta w odniesieniu do mężczyzn zakładała podnoszenie, począwszy od roku 2013, ich wieku przejścia na emeryturę z 65 lat co roku o trzy miesiące, tak że począwszy od 2021 r. mężczyźni w Polsce przechodziliby na emeryturę już po ukończeniu 67 lat.

W odniesieniu do kobiet, których wiek emerytalny, począwszy od roku 2013, też miał rosnąć z obowiązujących je 60 lat co roku o trzy miesiące, proces ten – czyli dojścia przez nie do wieku 67 lat uprawniającego do przechodzenia na emeryturę – zakończyłby się w roku 2041.

Niemądre, populistyczne utrącenie przez PiS w 2017 r. tej jednej z najmądrzejszych reform w całej historii III RP sprawiło jednak, że Polacy nadal osiągają wiek emerytalny po przekroczeniu 65. roku życia, a Polki – 60. roku życia. A w konsekwencji nie tylko dramatycznie powiększa się luka na polskim rynku pracy – luka, której nie da się zmniejszać inaczej, niż ściągając do Polski całymi setkami tysięcy cudzoziemskich gastarbeiterów – lecz także pogarsza się poziom życia polskich emerytów – dotyczy to szczególnie mocno kobiet.

„Biedaemerytury kobiet" – tak, już w tytule artykułu, podsumowuje coraz powszechniejszą sytuację polskich emerytek „Gazeta Wyborcza", pisząc, że „Polki już mają niższe emerytury od mężczyzn średnio o 1,5 tys. zł, a z każdym rokiem ta różnica będzie się pogłębiać". Ale czy może być inaczej, skoro kobiety aż o pięć lat krócej od mężczyzn odkładają na swoje emerytury i w dodatku żyją od nich statystycznie dłużej, a owa oczekiwana długość życia też ma wpływ na wymiar emerytury i w wypadku kobiet dodatkowo ją obniża?

Na podobne traktowanie przez swoich polityków nie mogą skarżyć się za to Dunki (ani Duńczycy), których emerytury są wysokie m.in. z tego powodu, że Duńczycy (obu płci) wybierają do rządzenia swym państwem polityków roztropnych, którzy w ich imieniu już wiele lat temu zdecydowali, że od 2024 r. prawo do przejścia na emeryturę przysługuje w Danii – przysługuje Dunkom i Duńczykom – po osiągnięciu 67. roku życia, a w tym roku przyjęli kolejną ustawę, zgodnie z którą od 2040 r. prawo do przejścia na emeryturę przysługiwać będzie – zarówno Dunkom, jak i Duńczykom – po osiągnięciu 70. roku życia.

No ale co tam jakieś Dunki i jacyś Duńczycy wymyślają – Polki i Polacy i tak przecież wiedzą swoje! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ukraińcy bronią banderyzmu

Przyjęcie wspomnianego projektu przez stronę polską z pewnością wywoła negatywną reakcję w Ukrainie. Zgodnie z dotychczasową praktyką strona ukraińska będzie również zmuszona podjąć działania odwetowe i przyjąć na szczeblu ustawowym odpowiednie akty dotyczące oceny działań niektórych oddziałów Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, które – jak wiadomo – dopuszczały się zbrodni wobec ludności cywilnej ukraińskiej w okresie drugiej wojny światowej i w pierwszych latach powojennych".

Przy stanowisku Ukraińców Niemcy jawią się jako wzór uczciwego postępowania

To fragment oświadczenia ukraińskich historyków, opublikowanego w ubiegłym tygodniu, będącego reakcją na prezydencki projekt penalizacji ideologii banderowskiej. Pod oświadczeniem podpisało się kilkudziesięciu ukraińskich naukowców, w tym były prezes ukraińskiego IPN Wołodymyr Wjatrowycz. W innym miejscu tekstu czytamy, że OUN i UPA były organizacjami „antyimperialnymi" i „narodowowyzwoleńczymi". Oświadczenie powiela także tezę, że potępianie przez Polskę działań obu tych organizacji jest na rękę Rosji oraz jest zbudowane na założeniu, że krzywdy były obustronne i o podobnej skali.

Nie jest to co prawda oficjalne stanowisko ukraińskich władz, ale może dlatego jest nawet bardziej znaczące. Oto bowiem grupa kilkudziesięciorga osób publicznych z kręgów zawodowo zajmujących się historią dowodzi jednym tekstem kilku kwestii.

Po pierwsze – że Ukraina oficjalnie uznaje banderyzm za swoją ideologię państwową. Po drugie – że Ukraińscy intelektualiści są w pełni świadomi jego antypolskiego wymiaru. Po trzecie – że są niezdolni do przyznania, iż banderyzm jest ideologią zbrodniczego nacjonalizmu.

To oświadczenie wyraźnie pokazuje, że współczesna Ukraina nie umie dokonać rozliczenia z własną przeszłością. Przy stanowisku Ukraińców Niemcy – do których przecież mamy wiele uwag i wiele możemy im zarzucić w związku z ich zbrodniami z czasu drugiej wojny światowej – jawią się jako wzór uczciwego postępowania.

Ukraińcy narzekają ostatnio, że Polacy tracą dla nich sympatię i reagują na nich z coraz większą niechęcią. Jednocześnie sami robią wszystko, żeby resztki sympatii przerodziły się w intensywną antypatię. ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

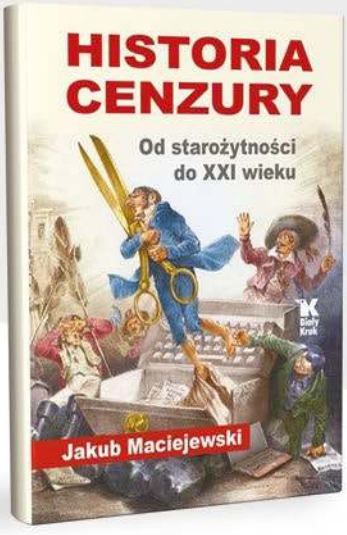

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JAKUB MACIEJEWSKI: „HISTORIA CENZURY. OD STAROŻYTNOŚCI DO XXI WIEKU"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1564~~ ZŁ

497,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 1067 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c7cac20f2f

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Dwie wyprawy ukrainnych królewiąt

FOT. DOMENA PUBLICZNA

JACEK KOMUDA

Jesienią 1647 r. duży rozgłos w Rzeczypospolitej nabrały dwie wyprawy ukrainnych magnatów zwanych królewiętami – chorążego koronnego Aleksandra Koniecpolskiego i księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. Możemy spróbować odtworzyć drogę, którą wówczas przemierzyli. Aleksander Koniecpolski wyruszył pierwszy, osobno, ponieważ skłócony był z Wiśniowieckim. Podążał w stronę Oczakowa, twierdzy obsadzonej przez Turków u ujścia Dniepru do Morza Czarnego. Prowadził potężne siły – własne wojska nadworne, żołnierzy księcia Władysława Dominika Ostrogskiego, a także trzy lub cztery pułki kozaków rejestrowych. Prawą ręką Koniecpolskiego był znany warchoł i swawolnik Samuel Łaszcz.

Chorąży koronny wyruszył z Uścia, które znajduje się na południowy zachód od Humania. Szedł do Mikuliniec, dziś nierozpoznanych, do Baru, a potem do Korsunia. Tutaj skierował się w stronę Dniepru i Dzikich Pól. Na początku listopada dywizja, poprzedzana przez straże kozaków rejestrowych Semena Zabuskiego, Iwana Handży i Filona Dziedziały, dotarła do rzeki Ingulec, być może w okolicach dzisiejszego Krzywego Rogu, i pomaszerowała aż do ujścia rzeki do Dniepru, na wschód od dzisiejszego Chersonia. Wówczas Kozacy dali znać, że 15 tys. tatarskiej ordy stoi w Koczuhurach, w nierozpoznanym miejscu za Dnieprem. Wówczas chorąży koronny podzielił wojsko – u ujścia Ingulca pozostawił tabor i artylerię, pod osłoną 300 żołnierzy, a sam z jazdą i lekkimi wozami przeprawił się przez Dniepr w pobliżu dzisiejszej Nowej Kachowki i tamy, wyzywając ordę do bitwy.

Niespodziewanie jednak Tatarzy rozproszyli się i znikli. Wówczas Koniecpolski powrócił do obozu i kazał rozpuścić chorągwie lekkiej jazdy pod wodzą Krzysztofa Koryckiego, Aleksandra Brzuchańskiego i Azameta murzy, krewnego słynnego Kantymira „Krwawego miecza", dowodzącego nadworną rotą tatarską. Podjazdy te zapuściły się na tereny koczowisk tatarskich między Dnieprem a Morzem Czarnym, napadając na ułusy i rabując stada bydła. Jak podaje Witold Biernacki: „Polacy zagarnęli kilkudziesięciu jeńców tatarskich oraz obfite łupy (rzekomo 2000 wołów, 3000 koni i 10 000 owiec) i zawrócili do granic Rzeczypospolitej". Wzięto też w jasyr kilkudziesięciu Tatarów.

Podobny przebieg miała druga wyprawa na Dzikie Pola – księcia Jeremiego Wiśniowieckiego – która również rozpoczęła się w październiku. Wyruszył on z wojskiem liczącym przynajmniej kilka tysięcy ludzi, wśród których byli wybrańcy z jego dóbr służący w piechocie i dragonii, gromadząc najpierw siły w Żołninie, nad Dnieprem, po wschodniej stronie rzeki. Następnie ciągnął stepami pod fortecę Kudak, gdzie kazał dać trzykrotną salwę z dział, dając znać gubernatorowi Grodzickiemu, że przybywa. Następnego dnia książę udał się w eskorcie swojej chorągwi kozackiej na wizytę do twierdzy. Nazajutrz, 15 października, wziąwszy ok. 3 tys. jazdy, wyruszył na południe, ku Mołocznym Wodom – prawdopodobnie dotarł w okolice dzisiejszej rzeki Mołocznej, na północny wschód od obecnego Melitopola. Stąd rozpuścił zagony po Dzikich Polach i w stronę Morza Azowskiego. Nakazał też na uroczysku Kuczkasy usypać wysoką mogiłę z kamieni, gdyż stwierdził, że w tych stronach nie bywał jeszcze żaden „pan naszego narodu".

Wyprawa Wiśniowieckiego nie spotkała żadnego Tatara, gdyż orda wycofała się na Krym, gdzie trwały zamieszki i walki pomiędzy zwolennikami chana Islama Gereja a wezyrem Seferem Gazi agą wspieranym przez ród Szirin murzów. W związku z tym po sześciu dniach Wiśniowiecki zarządził odwrót do swoich zadnieprzańskich włości.

Obie wyprawy wywołały falę plotek i przesadzonych wieści w Rzeczypospolitej. Opowiadano, że książę Wiśniowiecki i Koniecpolski zapuścili się aż pod stolicę Krymu, zabili wielu Tatarów, innych zaś schwytali i zaprowadzili do więzienia. Prawda była jednak zupełnie inna. Obie rejzy zostały zainicjowane przez króla Władysława IV w związku z jego planami wojny z Turcją odrzuconymi kilkakrotnie przez sejm. Władca nakazał zatem chorążemu i księciu udanie się z prywatnymi wojskami w głąb posiadłości chana, mając nadzieję, że wywoła to w odpowiedzi tatarski najazd i stanie się pretekstem do wojny. Nic takiego jednak się nie stało. W granice Rzeczypospolitej wpadły tylko jak zwykle małe oddziały ordy, zwane besz basz to znaczy „sześć głów". Wyprawy Wiśniowieckiego i Koniecpolskiego były ostatnimi działaniami zbrojnymi przed powstaniem Chmielnickiego, w których Polacy i Kozacy rejestrowi działali w zgodzie przeciw koronnemu nieprzyjacielowi. ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

NISSAN X-TRAIL E-POWER 4WD

FOT. JAP

Zelektryfikowany SUV japońskiej marki zapewnia wrażenia z jazdy podobne do jazdy samochodem elektrycznym. Testowany wariant to bowiem hybryda szeregowa z dodatkowym silnikiem do napędzania tylnych kół. Nissan X-Trail wykorzystuje turbodoładowany silnik benzynowy jedynie w roli generatora energii do ładowania ukrytego w podłodze akumulatora (o pojemności brutto 2,1 kWh). Dzięki temu „ładowany" benzyną rodzinny X-Trail daje wolność tankowania na dowolnej stacji benzynowej, a jednocześnie jest cichy, przyspiesza miękko i płynnie (sprint od zera do 100 km/h zajmuje wersji z napędem na cztery koła zaledwie 7 s) i pozwala błyskawicznie cieszyć się maksymalnym momentem obrotowym (330 Nm). Łączna moc maksymalna wynosi w tym przypadku 213 KM, a prędkość maksymalna została ograniczona do 180 km/h.

To właśnie napęd jest największą zaletą testowanego modelu. „Elektryczny" Nissan X-Trail wydaje się bowiem autem bardzo dynamicznym, które ochoczo reaguje na dociśnięcie pedału gazu. To zresztą może być niemal jedyny pedał, którego używa się do jazdy. Technologia e-Pedal pozwala bowiem przyspieszać i zwalniać praktycznie wyłącznie przy użyciu pedału gazu (nogę na hamulec trzeba przełożyć wyłącznie w razie potrzeby nagłego zahamowania lub zatrzymania auta).

Energii X-Trailowi nie brakuje ani w mieście, ani na drogach szybkiego ruchu, choć oczywiście tego typu auta nie są tworzone z myślą o kolejnych odcinkach „Szybkich i wściekłych". Na pochwałę zasługuje też układ kierowniczy. Jak na SUV-a przystało X-Trailem można jeździć nie tylko po asfalcie. Wysoki, 19-centymetrowy prześwit, wspomaganie zjazdu ze wzniesienia i różne tryby jazdy (eco, normal, sport, a także snow i off-road) pozwalają na ciche przemierzanie nieutwardzonych szlaków. Jednocześnie nie tylko w terenie odradzam przełączanie w tym modelu napędu na tryb ekonomiczny, bo zepsuje całą radość z jazdy.

Sam napęd jest zaś nie tylko cichy, lecz także stosunkowo oszczędny. Średnie zużycie paliwa w naszym jesiennym teście na drogach krajowych, w zakorkowanej Warszawie oraz na zatłoczonej autostradzie A2 w stronę Łodzi wyniosło 7 l/100 km.

Przyjemnie wykończona, przestronna kabina umożliwia komfortowe podróżowanie. Fotele są ergonomiczne i wygodne, a tylna kanapa ma już podgrzewanie oraz regulowany kąt pochylenia oparć. W najwyższej wersji wyposażenia do dyspozycji jest też trzystrefowa klimatyzacja. Na wykończonej miękką skórą desce rozdzielczej dominuje wyświetlacz o przekątnej 12,3 cala. Do dyspozycji kierowcy jest też cyfrowy kokpit (również o przekątnej 12,3 cala). System multimedialny sprawnie łączy się z Android Auto oraz Apple CarPlay. Miejsca w kabinie nie brakuje i z przodu, i na tylnej kanapie. Pojemność kufra w testowanej wersji pięcioosobowej wynosi 575 l pojemności, a w wariancie siedmioosobowym 485 l.

Na Nissana X-Trail z napędem e-Power w wersji e4orce (czyli napędem na obie osie) trzeba wydać co najmniej 208,2 tys. zł (wersja wyposażenia N-Connecta). Odmiana N-Trek to już koszt 211,8 tys. zł, a najwyższa wersja Tekna kosztuje 218,8 tys. zł.

POCO F7 ULTRA

Wydajny procesor, długi czas pracy na baterii, szybkie ładowanie, odporność na kurz i wodę (IP68) oraz atrakcyjny stosunek ceny do możliwości – to największe zalety smartfona ze stajni Xiaomi z ceną ze średniej spółki, który ambitnie próbuje konkurować z droższymi flagowcami.

Do wyboru są dwie wersje kolorystyczne: czarna i żółta. Do testów dostaliśmy tę drugą. Młodszym i starszym dzieciom skojarzy się ona zapewne z Minionkami albo ze SpongeBobem Kanciastoportym. Smartfon nie robi jednak wrażenia zabawki. Przeciwnie. Jakość wykonania na poziomie sprzętów klasy premium może sugerować, że ten model kosztuje istotnie więcej, niż rzeczywiście trzeba za niego obecnie zapłacić. Podobać mogą się np. bardzo wąskie ramki wokół wyświetlacza AMOLED o wielkości 6,67-cala, rozdzielczości 2K i wysokiej maksymalnej częstotliwości odświeżania (120 Hz). Wyświetlacz obsługuje Dolby Vision i HDR 10+. Kolory są naturalne, biel biała, a kontrast głęboki. Zaletą tego ekranu jest również wysoka jasność, dzięki której nawet jeśli zza jesiennych chmur wyjdzie ostre słońce, to z obsługą tego smartfona nie powinno być żadnych problemów.

Sercem tego modelu jest procesor Qualcomm Snapdragon 8 Elite. Fanów gier ucieszy zarówno wysoka wydajność, jak i to, że nawet podczas intensywnej pracy obudowa POCO F7 Ultra zazwyczaj zbytnio się nie nagrzewa. I chociaż nie jest to model do bicia rekordów w benchmarkach, to na co dzień wszystko śmiga. Nic się nie zacina ani nie zawiesza.

POCO F7 Ultra – wyposażony w dużą baterię o pojemności 5300 mAh – obsługuje ultraszybkie ładowanie przewodowe (120 W) oraz bezprzewodowe (50 W). Na jednym ładowaniu bez problemu powinno się dotrwać do końca dnia, a niektórzy użytkownicy ten model do kontaktu podłączać będą mogli co drugi dzień.

Testowany smartfon wyposażony jest w główny sensor 50 MP z optyczną stabilizacją obrazu. Poza tym do wyboru są aparat ultraszerokokątny 32 MP oraz teleobiektyw 2.5x. Przy dobrym oświetleniu zdjęcia zrobione tym smartfonem są naprawdę niezłe.

Wady? Brakuje obsługi eSIM. System operacyjny HyperOS 2.0 wciąż jest pełen niechcianych programów (tzw. bloatware'u), ale na szczęście można je odinstalować. Z kolei modne obecnie funkcje AI przy obróbce zdjęć w tym modelu działają gorzej niż u konkurencji.

POCO F7 Ultra występuje w dwóch wariantach. Tańszy z 12 GB pamięci RAM i 256 GB pamięci na dane kosztuje 2299 zł. Na wersję 16/512 GB trzeba zaś wydać 2,5 tys. zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl c7cac20f2f

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Ciasto francuskie

Ciasto francuskie jest „wszechstronne", możemy z niego przygotować zarówno słodkie desery, jak i słone przekąski. Doskonale sprawdzi się na obiad jako wytrawna tarta z rozmaitymi dodatkami. My dziś proponujemy francuską tartę z leśnymi grzybami, bo sezon na grzyby już nastał, a po ostatnich deszczach będzie ich sporo, więc przepis na pewno się przyda. Ciasto francuskie ma wyjątkowy smak i specyficzną strukturę – składa się z kilku warstw. Aby je zrobić, musimy połączyć dwa rodzaje ciast: pierwszy składa się z mąki pszennej, jaj i soli oraz odrobiny octu lub kwasku cytrynowego, drugi to ciasto maślane, które zawiera dużo masła i niewiele mąki. Te dwa rodzaje ciast składa się razem i rozwałkowuje, czynność się powtarza kilkukrotnie, następnie schładza się i wypieka w wysokiej temperaturze. To tak w skrócie.

FOT. ADOBE STOCK

Przyznajemy się, że nie podjęłyśmy próby zrobienia ciasta francuskiego same – tak jak czyniła to nasza mama Teresa, która samodzielnie na swoje imieniny, przypadające w październiku, przygotowywała swoje ulubione napoleonki. Zajmowało to trochę czasu i kosztowało wiele wysiłku, ale efekt był wyśmienity. Mama zawsze robiła do tego przepyszny krem budyniowy z masłem i wanilią. My robimy tartę z gotowego ciasta francuskiego – i też wychodzi dobrze. Należy jedynie pamiętać, że ciasto musi być porządnie schłodzone przed upieczeniem, więc zawsze wszystkie składniki mamy przygotowane wcześniej, a piekarnik jest nagrzany do 200 st. C. Potem już tyko wyjmujemy ciasto, nakładamy farsz, pieczemy i „voila", jak to mówią Francuzi, gotowe!

Tarta francuska z leśnymi grzybami

• 1 opakowanie ciasta francuskiego • 400 g leśnych grzybów – podgrzybki, borowiki lub kurki • 1/3 kostki masła • 1 cebula cukrowa lub zwykła • 1 łyżka mąki ziemniaczanej • skórka z cytryny • gałązki rozmarynu • ½ łyżeczki oregano • sól, pieprz do smaku • 1 ząbek czosnku • ½ małego kubka słodkiej śmietanki • 2 jajka • 60 g sera parmezan Grana Padano do posypania

Grzyby oczyszczamy, kroimy na drobne kawałki, cebulę szatkujemy. Na patelni rozgrzewamy masło, podsmażamy cebulę, aby się zeszkliła, dorzucamy grzyby, dusimy je kilka minut, następnie dodajemy przyprawy, zioła i rozgnieciony czosnek, potem zaś słodką śmietankę wymieszaną z mąką. Piekarnik nagrzewamy do 200 st. C, ciasto wyjmujemy, rozkładamy w naczyniu, nakłuwamy i podpiekamy. Powinniśmy je obciążyć, aby nam zbytnio nie wyrosło, dlatego kładziemy papier do pieczenia i wysypujemy na niego fasolę. Pieczemy ok. 15 min. Wyjmujemy. Pierwszą warstwą będzie tarta z połową sera parmezan, kolejną – masa śmietanowo-grzybowa, na wierzchu zaś – reszta parmezanu. Całość jeszcze raz zapiekamy ok. 25 min. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Co kupić dziadkowi?

Można mieć różne zarzuty do „New York Timesa", część z nich popieram, chociaż nic z tego nie wynika, bo od paru lat prenumeruję cyfrowe wydanie i przyznaję, że jest to kawał solidnej gazety, z którą nie trzeba się zgadzać, ale warto jednak ją czytać.

Staram się dystansować od polityki, wszak bieżące wypadki w Wenezueli interesują mnie mniej, ale lubię rzucać okiem m.in. na całkowicie apolityczny dodatek „NYT", jeden z wielu.

Jest to „Wirecutter" (po polsku „przecinak drutu"), gazetka konsumencka. Oferuje ona solidne analizy różnych produktów, od szlafroka poprzez obierak do jarzyn i kanapę do salonu po kosiarkę. I wybiera najlepszy. Oczywiście dla mieszkańców Ameryki. Są tam dokładny opis wybranego przedmiotu, doświadczenia użytkowników, ceny na różne budżety. Sama, kierując się tamtejszymi rekomendacjami, kupiłam może ze dwie rzeczy, ale z uwagi na problemy celno-pocztowe nie polecam.

Tym, co interesuje mnie w tym dodatku, jest obserwacja życia w Ameryce od strony – że tak ją nazwę – użytkowej. „Wirecutter" pokazuje różnice kulturowe i cywilizacyjne między naszymi krajami. Nie, nie tylko o poziom zamożności tu chodzi, chociaż to też ważne. Chodzi o przyzwyczajenia, nawyki, możliwości.

Ostatnio „Wirecutter" wybiera 38 najlepszych prezentów dla dziadków. Wiadomo, Ameryka to wielki kraj i różni są tam dziadkowie. Dziadkowie „NYT" to fragment tej grupy, coś w stylu naszych młodych wykształconych z wielkich miast. Z tym, że nie młodzi, tylko starzy i niekoniecznie z wielkich miast. Co zatem kupić tym dziadkom? Nawet żyjący na przyzwoitej emeryturze starsi Amerykanie dziadkowie narzekają na zdrowie. Zatem: Apple Watch trzeciej generacji do mierzenia danych zdrowotnych będzie idealny, cena 240 dol. Puszka herbaty angielskiej firmy Fortnum & Mason umili życie emeryta za jedyne 25 dol. W kraju, gdzie głównym napojem jest ice tea z puszki, gorąca herbata, nie z torebki, jest czymś egzotycznym. Pokojowe drzewko cytrynowe za 72 dol. – przyjemnie popatrzeć na kawałek ciepłego kraju w swoim salonie. Lornetka Pentax za 145 dol. ma służyć głównie obserwacji ptaków, ponieważ bird watching to zajęcie, któremu emeryt amerykański oddaje się z przyjemnością w zaciszu swego ogrodu w Connecticut. Nie musząc stać w kolejce do lekarza.

Wracając do rzeczywistości bez drzewek cytrynowych, bez angielskiej herbaty. Jeśli amerykański emeryt zachoruje na coś, czego Apple Watch (nawet 10. generacji) nie uleczy, to może być mniej przyjemnie, zważywszy ichni system ubezpieczeń. Tego „Wirecutter" nie musi przewidywać.

Tak że jeśli chodzi o prezent dla dziadka, pozostańmy przy ciepłych bamboszach. ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Polska 2025?

Szymon Hołownia ogłosił, że wycofuje się z przywództwa swej partii, co wraz z jego umówionym odejściem z rotacyjnego stanowiska marszałka Sejmu oraz nieprzyjęciem przez niego propozycji wicepremierostwa oznaczać może koniec ruchu Polska 2050. Skłania to do krótkiego bilansiku tego zjawiska.

Ruch Hołowni można zaliczyć do stałego i systemowego generowania „trzecich dróg", które nam się już przewijały w przeszłości całej III RP. Mamy więc kolejne oczko łańcuszka nizanego przez system polityczny, gdyż Hołownia dołączył do Petru, Biedronia, Palikota czy – w pewnym sensie – Kukiza. Jaka jest funkcja „trzecich dróg"? Widać, że są to twory taktyczne, które mają przekierować różnie definiowaną niechęć do PO-PiS z powrotem do… dwupolowego podziału. O co chodzi? Ano bierze się i głównie tworzy (Petru, zanim w ogóle otworzył usta, miał już ponad 10 proc. w sondażach) ugrupowanie, które ma ubarwić tę szarą plemienną nawalankę poprzez wytykanie błędów rządzącym. Taka partia ogłasza swój program naprawczy skierowany pośrednio przeciwko dwóm rządzącym partiom, głosujący suweren przyjmuje tę obietnicę na poważnie, głosuje za zmianami, a nasz nowy bohater, po przedarciu się do rozdawania władzy, albo zostaje spożyty jako przystawka przez jedną z głównych partii, albo daje alibi zmiany koalicji rządzącej, gdy do uzyskania większości był w sam raz, a do rządzenia nie bardzo.

Hołownia spełnił taką funkcję, dokładnie według powyższego przepisu. To dzięki niemu Tusk ma obecnie władzę. Wielu ludzi naprawdę szczerze nabrało się na tę „alternatywę" 13 października roku pamiętnego. Ci nie chcieli głosować na PO, ale chcieli zmian na tyle, że Polska 2050 walczyła na przepływy elektoratu z… Konfederacją. A więc hasła czy obietnice antysystemowe były tu częścią wspólną, co dziwne – bez względu na podziały lewica – prawica.

Polska 2050 zużyła się w trakcie, jak cała reszta „trzecich dróg", z tym jedynie wyjątkiem, że lider, czyli Szymon, sam się na dobre wyautował z polityki. Co oznaczać może, że swój udział w polityce oparł na naiwnej szczerości, którą zweryfikowała Realpolitik. Skoro więc to koniec „Shołowni", to pora się zastanowić, co to był za fenomen – czy cynik, który przegrał, czy jednak taki, co to się „do polityki nie nadaje", mimo swych górnolotnych deklaracji zmian? A to by oznaczało, że realny system jest w stanie przerobić każdego pięknoducha, chyba że pójdzie on do polityki nie wyłącznie z ideałami, ale z ostrymi szabelkami na czele zdeterminowanego oddziału. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Złóżcie wniosek do TK!

Dzięki odważnym naukowcom mamy coraz więcej wiarygodnych badań, których wyniki pokazują prawdziwe, czyli negatywne, konsekwencje szczepień na COVID-19. A jednak nadal trwają postępowania dyscyplinarne wobec 114 lekarzy sceptycznych wobec metod „walki z pandemią", którzy na przełomie lat 2020 i 2021 publikowali apele do władz RP, domagając się debaty dotyczącej strategii walki z wirusem. Zostali oni oskarżeni przez naczelnego rzecznika odpowiedzialności zawodowej o szerzenie szkodliwych antyzdrowotnych poglądów, niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną. Na tej podstawie kilkoro z nich zostało ukaranych czasowym odebraniem prawa wykonywania zawodu. Wobec innych orzeczono nagany i upomnienia, w kilku przypadkach orzeczono winę, bez wymierzenia kary.

Wszystkich skazanych lekarzy obciążono kosztami postępowań i zamawianych (skrajnie nierzetelnych) opinii biegłych (co przypomina obowiązek opłacenia przez skazańca kosztów sznura na szubienicy). Wiem, że po dokonaniach ministrów Bodnara i Żurka skandaliczne naruszenia i uchybienia przepisów Kodeksu postępowania karnego, których dopuszczają się sędziowie sądów lekarskich, nie zrobi na nikim wrażenia, ale uporczywe odrzucanie wszystkich wniosków dowodowych, konflikt interesów, w którym pozostawali lekarze – członkowie składów orzekających, blokowanie pełnomocnikom dostępu do akt itp. pokazuje, czym tak naprawdę są izby i sądy lekarskie.

Dyktat koncernów farmaceutycznych coraz bardziej zaciska pętlę nad systemem ochrony zdrowia, a jego potęgę widać teraz w zmaganiach sekretarza do spraw zdrowia USA, Roberta F. Kennedy'ego Jr. Zanim Kennedy wygra tę walkę, tu, w Polsce, nie jesteśmy bezradni. Dobrym ruchem był wniosek Zbigniewa Ziobry do Trybunału Konstytucyjnego, złożony jeszcze przed zmianą rządu, o zbadanie zgodności z ustawą zasadniczą obowiązku przynależności lekarza do izby i uprawnień izb do odbierania prawa wykonywania zawodu. Po zmianie władzy minister Bodnar natychmiast wycofał ten wniosek i niestety obecna opozycja nie wpadła na pomysł, by zebrać odpowiednią liczbę posłów i złożyć go ponownie do TK, jako poselski.

Tymczasem nękani od pięciu lat lekarze zostali sami. Choć rzeczywistość potwierdziła, że ich sceptycyzm wobec szczepień był uzasadniony, że mieli rację, teraz wymierzane są im kary. Oskarżeniem całej opozycji jest fakt, że pozbawiona prawa wykonywania zawodu lekarza Ewelina Gierszewska musi organizować zrzutkę na pokrycie kosztów sądowych. ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Żeby wstydu nie było

Po tym, jak poseł Franciszek Sterczewski popłynął zbawiać świat do Palestyny, i po tym, jak oczywiście zatrzymali go izraelscy żołnierze, po sieci zaczęły krążyć różne memy. Stop. Wygrał ten ze zdjęciem Beniamina Netanjahu, który wypowiada do słuchawki telefonicznej kwestię: „Albo zapłacicie okup, albo go wam oddamy".

No bez szans, sprawiedliwie przyznać muszę, że jestem bez szans z taką Urszulą Zielińską wiceministrem klimatu i środowiska. Stop. Tu się niby staram jakieś zabawne zdanie sklecić, a tu przychodzi pani Ula z rozbieganym oczkiem i ad hoc, a nawet sauté, mówi takie rzeczy, że nie mam szans, żadnych, a nawet najmniejszych. No zacytuję państwu i proszę ocenić: „Co prawda, energia słoneczna z energią wiatrową bardzo dobrze się uzupełniają. Znaczy wiatru jest co do zasady więcej w nocy i zimą, słońca nie ma w nocy i brakuje go zimą, mówię o polskich warunkach pogodowych, to znaczy jest ona mniej stabilna, to znaczy jest pogoda zależna, czyli zależy od pogody". Stop. Ona to naprawdę powiedziała, że słońca nie ma w nocy, a wiatru jest co do zasady (niby jakiej?) więcej w nocy niż w dzień podobno. Stop. Skąd ona ma takie informacje? Stop. Ale że pogoda zależy od pogody, to jednak hit, trudno się nie zgodzić. Stop.

Jest taka posłanka Aleksandra Wiśniewska-Uznańska, znana z tego, że wzięła sobie kosmonautę za męża i pozwoliła mu trochę się w jej blasku polansować, ale nie o tym, nie o tym. Stop. Pani Ola ostatnio zaczęła z jakiegoś powodu oceniać znajomość języka angielskiego prezydenta Polski i nie była zachwycona, oj nie. Stop. Oceniała niestety w języku polskim, którego niestety w zasadzie nie zna. Stop. Akcent ma pani z Marsa, a wtręty yyy, mmm i aaa prosto z Grójca. Stop. Pani Olu, z wykształcenia jestem m.in. nauczycielem języka polskiego, tani nie jestem, ale mogę panią trochę polskiego poduczyć, żeby wstydu nie było.

Zamiast Trzeciej Drogi mamy Ślepą Uliczkę. Stop. Szymon Hołownia po podręcznikowym roztrwonieniu elektoratu zapowiedział ewakuację z Polski do ONZ. Stop. Podobno wysłał tam swoje CV i aplikuje na stanowisko komisarza do spraw uchodźców. Stop. Po tym, co nawyrabiał z Polsce, po wiszącym nad nim widmie odpowiedzialności karnej, bycie uchodźcą wygląda na rozsądne rozwiązanie. Stop.

Mija tydzień, a zagadka nierozwiązana. Stop. Po co policja wysłała funkcjonariuszy pod trzy polskie adresy, żeby zatrzymać Ziobrę i dowieźć go na komisję naleśnikową, skoro wszyscy wiedzieli, a telewizja pokazywała na żywo, że Zbigniew Ziobro był w samolocie z Brukseli do Warszawy? Stop. Odpowiedź: „No przecież to policjanci" wydaje się najtrafniejsza. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Filmowcy prowincjonalni

Bardzo ciekawa dyskusja rozgorzała ostatnio w izraelskim środowisku filmowym. Tamtejsza Akademia Filmu i Telewizji zdecydowała się przyznać swoją główną nagrodę Ofir, a także nominację do najbliższych Oscarów filmowi „Morze", nakręconemu przez izraelskiego reżysera Shaia Carmeli-Pollaka. Film opowiada historię 12-letniego palestyńskiego chłopca, który wybiera się na wycieczkę szkolną, żeby zobaczyć morze. Podróż jego przybiera dramatyczny obrót, gdy zatrzymują go izraelscy żołnierze na posterunku kontrolnym. Innym bohaterem filmu jest ojciec dziecka, pracujący w Izraelu nielegalny robotnik, ryzykujący wolność, by odnaleźć swojego syna.

Izraelski minister kultury, Miki Zohar, publicznie zapowiedział odebranie nagrodom Ofir wszelkich państwowych dotacji. „Nie można wymierzyć obywatelom Izraela większego policzka, niż stało się to podczas tegorocznej, zawstydzającej ceremonii przyznawania nagród Ofir. Poczynając od przyszłego roku, ta żałosna ceremonia nie będzie już fundowana z pieniędzy podatników. Nie dopuszczę do tego, by obywatele Izraela byli zmuszeni płacić z własnej kieszeni za plucie w twarz heroicznych izraelskich żołnierzy".

Prezes Izraelskiej Akademii Filmu i Telewizji, producent Assaf Amir, odpowiedział na zarzuty ministra: „W obliczu ataków rządu Izraela na izraelską kulturę i kino, a także wezwań części światowego środowiska filmowego do bojkotowania izraelskiej kinematografii nagroda dla filmu »Morze« jest głośną i znaczącą odpowiedzią". Miał on zapewne na myśli apel podpisany przez ponad 3 tys. światowych filmowców, wzywających do bojkotu izraelskich instytucji filmowych ze względu na „zaangażowanie w ludobójstwo i segregację rasową wymierzoną w Palestyńczyków". Apel podpisali m.in. Javier Bardem, Emma Stone i Olivia Colman.

Hollywoodzkie studio Paramount skrytykowało organizatorów bojkotu, zarzucając im „uciszanie głosu artystów w oparciu o ich narodowość". Podobnie sądzi zapewne amerykański komik Jerry Seinfeld. „Porównując ruch Wolna Palestyna do Ku Klux Klanu, uważam, że Ku Klux Klan wypada nieco lepiej. Oni mówią otwarcie »Nienawidzę czarnych, nienawidzę Żydów«. OK, to przynajmniej jest szczere".

Polskie środowisko filmowe nie zabrało dotychczas głosu w tej sprawie. Jego najwybitniejsi przedstawiciele zajęci są, jak zwykle, zwalczaniem „klerykalizmu", a przez walkę o wolność rozumieją swobodę wyboru płci. W obliczu takich zagadnień ludobójstwo wydaje się im zapewne problemem mniejszej wagi. ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

O polski Punkt Zwrotny

„Skóry pozdzierać! Popalić!" – zakrzyczała młodzież, nie dając starym dojść do słowa.

Piotrowski uciszył wrzask gestem ręki i rzekł gniewnie:

„Kto chce męczyć, ten wart, abym mu mordę obił. Cóż to my, poganie?! Ludojady dzikie?! Trzeba ukarać porządnie, ale po chrześcijańsku i po gospodarsku".

Czy ta scena sądu nad rabusiami z powieści „Nadberezyńcy" Floriana Czarnyszewicza może skłonić do refleksji nad tym, czym jest polskość? A czy nie skłania do tego los pisarza, „nadberezyńca", który skończył cztery klasy polskiej szkoły, w 1924 r. wyemigrował do Argentyny, gdzie pracował fizycznie w rzeźni i napisał cztery wspaniałe powieści, dziś mało komu w Polsce znane? Czy tak nietypowy życiorys mówi coś o najnowszej historii Polski? Jakie znaczenie ma dziś polskość „nadberezyńców" sprzed 100 lat? Czy mogą oni być dziś zrozumieni w swej kresowej mowie, tęsknotach, brawurze i tragicznym losie? Czy pamięć o nich jest jeszcze częścią polskości A.D. 2025?

Pytania to niełatwe, ale warto je zadać współczesnym profesorom nauk humanistycznych publikującym za PAN-owskie punkty w anglojęzycznych pismach. Nie wiem, czy zastanawiają się oni czasem, czym jest obecna polska „wspólnota", poważnie zagrożona w tożsamości z Zachodu, a w bezpieczeństwie od Wschodu? Ktoś z nich szuka odpowiedzi, tropiąc ślady żydokomuny, inny zaś ubolewa, że musi dźwigać na karku ciężar polskiego rolnika i górnika. Odpowiedź jednak jest trochę bardziej skomplikowana.

Spójrzmy na sprawę sine ira et studio. Na polskość składa się bowiem mnóstwo często sprzecznych doświadczeń. Dzieci i wnuki kresowych uchodźców we Wrocławiu często narzekają na „kielczan", czyli potomków mazowieckich szabrowników i milicjantów z pierwszych lat po wojnie. Praworządni Małopolanie wychodzą „na pole", a nie „na dwór", jak ci królewiacy nadal pachnący ruskim bezprawiem i bezhołowiem. Ktoś ze Szczecina może lepiej rozumieć kogoś z Gdańska, kto był synem brutala Polaka pocieszanym przez matkę Niemkę i musiał stale kłamać, więc polskość to dlań nienormalność. A w Zamościu naturalna jest duma z odrodzonej po stuleciach Akademii. Dzieci endeka znalazły w Solidarności wspólny język z lewicą laicką i znalazły się po stronie „elity", więc wydziwiają na polską tromtadrację i słomiany zapał. Stale narzekamy, ale tu i ówdzie cieszą z dobrego zarządzania, a tu i ówdzie pielęgniarki czule opiekują się uciążliwymi chorymi. Skąd im się to bierze? Dzieci i wnuki uchodźców z Nowogródka z rodziną na Zachodzie, pochodzącą od weteranów spod Monte Cassino, czują bliskość tradycji patriotycznej, ale spotykając rodzinę współmałżonka z partyjnej nomenklatury, będą się hamować w uczuciach. A co, gdy teściowie to dzieci ubeków swego czasu mocno zaangażowane w Solidarność? Przy okazji pierwszej komunii w kościele można spotkać wszystkich, ale trudno wyczuć nastrój każdego z uczestników ceremonii. Wszyscy okazali zainteresowanie dzieciom. Ale co z tego wyniknie w najbliższej przyszłości? Więc te ruchy obrony granic, kontroli wyborów i tłumy gromadzące się pod Jasną Górą nie dają nadziei? Czy nie mogą opanować chaosu i fatalnych rządów? Zawrócić z drogi w przepaść?

Wspólny język nastolatków nie nadaje się do sformułowania właściwych diagnoz i sprawiedliwych odpowiedzi na pytanie o polskość, więc może być coraz trudniej dotrzeć to prawdy o tym, co nas łączy, jeśli dodatkowo obetnie się podstawy programowe lekcji historii i wyrzuci stare lektury

Wspólny język nastolatków nie nadaje się do sformułowania właściwych diagnoz i sprawiedliwych odpowiedzi na pytanie o polskość, więc może być coraz trudniej dotrzeć do prawdy o tym, co nas łączy, jeśli dodatkowo obetnie się podstawy programowe lekcji historii i wyrzuci stare lektury. Mieszkańcy tego kraju będą się zamieniać w luźną masę ludzi zainteresowanych sobą i swoimi trudnymi uczuciami niezakorzenionymi w żadnej przeszłości.

Może prezydent historyk coś zmieni? Może pozwoli uświadomić, że z pogmatwanej historii może wyłonić się wspólnota interesu i wartości. Może uruchomi polski Turning Point, czyli Punkt Zwrotny? ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

ONZ

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Cytuję oficjalne źródła: ONZ to „organizacja międzynarodowa, założona w 1945 r. przez 51 krajów, które zobowiązały się do utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa, rozwijania przyjaznych stosunków między narodami, promowania postępu społecznego oraz lepszego standardu życia i praw człowieka". Żaden z tych celów nie został zrealizowany, czyli 80 lat istnienia po nic. Bezużyteczna i bezzębna organizacja przepala miliardy dolarów i nie robi nic konkretnego.

***

Niedawno w ONZ przemawiał Trump i mówił tak: „W ciągu zaledwie siedmiu miesięcy zakończyłem siedem »niekończących się« wojen. Mówiono, że tych konfliktów nie da się zakończyć. Jestem dumny, że to zrobiłem. Szkoda tylko, że to ja musiałem się tym zająć, a nie Organizacja Narodów Zjednoczonych. Niestety, w żadnym z tych przypadków ONZ nawet nie próbowało pomóc. Nigdy nie otrzymałem nawet telefonu od ONZ z ofertą pomocy przy wypracowywaniu porozumień. Jedyne, co dostałem od ONZ, to ruchome schody, które w trakcie jazdy zatrzymały się w połowie drogi. Gdyby pierwsza dama nie była w świetnej formie, przewróciłaby się. A potem prompter, który nie działał. To są dwie rzeczy, które otrzymałem od ONZ: zepsute ruchome schody i zepsuty prompter. Dziękuję bardzo".

***

Ruchome schody w siedzibie ONZ są w kolorze złotym i przypominają złote schody, po których Trump z małżonką zjechał, by ogłosić, że będzie startował w wyborach w roku 2015. Schody w siedzibie ONZ są krótsze i Trump miał nimi jechać w górę. Scena w gmachu ONZ przypominała odwróconą scenę z wieżowca Trump Tower. Przy schodach ustawiono kamery, a transmisja na żywo szła w świat. Melania weszła na schody pierwsza, za nią Donald i w tym momencie ktoś wyłączył urządzenie. Gdyby Trump upadł, można by go wyśmiać i porównać do łamagi Joe Bidena, który wywalał się kilka razy, idąc po schodach do samolotu. No ale Trump się nie wywalił, bo jest w dobrej kondycji, mimo że z nadwagą.

A potem, gdy był na mównicy, ktoś wyłączył teleprompter, czyli urządzenie wyświetlające tekst przemówienia w taki sposób, aby mówca nie musiał zaglądać w notatki. Prompter to standard i zawsze działa. Tym razem „się zepsuł", a później w trakcie przemówienia, gdy okazało się, że Trump radzi sobie doskonale z kartek i z głowy, urządzenie nagle ożyło.

Te dwie awarie były doskonałą ilustracją tego, o czym Trump mówił – ONZ jest organizacją w stanie upadku. Źle działa. Nawet głupich schodów nie potrafią obsługiwać.

***

W Stanach Zjednoczonych istnieją ruchy działające na rzecz wypisania Ameryki z ONZ. W Izbie Reprezentantów zgłaszano wnioski w tej sprawie w latach 2009 i 2017. Trump też mówił o tym, że ONZ to „organizacja działająca przeciwko interesom Stanów Zjednoczonych".

Oto kolejny fragment przemówienia: „ONZ nie tylko nie rozwiązuje problemów, którymi powinno się zajmować, lecz także tworzy nowe. Najlepszym przykładem jest najważniejszy problem polityczny naszych czasów – kryzys niekontrolowanej migracji. Nie ma nad nią kontroli. Niszczy wasze państwa. Organizacja Narodów Zjednoczonych finansuje atak na państwa Zachodu i ich granice. W zeszłym roku ONZ przeznaczyło 372 mln dol. w gotówce, by wesprzeć migrantów zmierzających do Stanów Zjednoczonych. Pomyślcie o tym. ONZ wspiera ludzi, którzy nielegalnie przedostają się do USA i których potem musimy wyrzucać. ONZ zapewniało też nielegalnym imigrantom żywność, schronienie, transport i karty płatnicze. Możecie w to uwierzyć?!".

***

Skąd ONZ bierze forsę? Trochę z prywatnych darowizn takich osobników jak Bill Gates, ale większość budżetu to składki państw członkowskich. Wysokość tych składek jest nierówna. Są kraje, które płacą prawie nic, a składka USA jest najwyższa i wynosi prawie 30 proc. całego budżetu. Stany Zjednoczone są ciężkim frajerem, że jeszcze się nie wypisały.

Polska płaci 40 mln dol. rocznie oraz utrzymuje stałe przedstawicielstwa przy ONZ w sześciu miejscach: Nowy Jork, Genewa, Wiedeń, Paryż, Nairobi, Rzym. Po co? Co mamy w zamian za wydane pieniądze? Moim zdaniem nic i chętnie podyskutuję z kimś, kto będzie w stanie udowodnić, że ta forsa przynosi obywatelom RP pożytek większy, niż gdyby ją rokrocznie wydawać na remonty wałów przeciwpowodziowych. Czy Polska powinna być w ONZ? Na to pytanie większość odpowie automatycznie, że tak, a nawet że przecież musimy być, bo jakby to było, gdyby nas tam nie było. Kolejne moje pytanie jest takie: A co w życiu Polaka zmieniłoby się, gdyby Polska przestała należeć do ONZ? Konkretnie proszę! Czy… Polacy by wtedy mniej zarabiali? Nie. Czy nasze możliwości podróżowania lub możliwości handlowe by się zmieniły na gorsze? Nie. No to co konkretnie zmieniłoby się na gorsze, gdybyśmy nie należeli do ONZ?

***

Narody Zjednoczone – w tej nazwie nie ma prawdy. Gdy na ambonę ONZ wszedł Beniamin Netanjahu, przedstawiciele 77 krajów demonstracyjnie opuścili salę. To daje bardzo słaby współczynnik zjednoczenia – tylko 60 proc. zjednoczonych kontra 40 proc. tych, którzy nie chcą nawet słuchać, co mówi inny „naród zjednoczony". Wyszli, bo dla nich Netanjahu jest ludobójcą. W takim razie nie powinien w ogóle przemawiać w ONZ. Lub te 77 krajów powinno się natychmiast wypisać z organizacji, która toleruje ludobójcę. Ale przecież ONZ to tylko gra pozorów. Przykład: Międzynarodowy Trybunał w Hadze to organ sądowy ONZ. Ten organ wydał nakaz aresztowania B. Netanjahu. Czyli błękitne hełmy powinny osaczyć i aresztować Netanjahu na terenie dowolnego kompleksu ONZ, a potem zaprowadzić do sądu. Nie zrobiły tego, bo wszystko jest grą pozorów, a ONZ nie robi nic, nic, nic…

Gdy Netanjahu leciał na sesję ONZ, jego samolot musiał robić w powietrzu zygzaki, bo kraje po drodze odmawiały mu prawa przelotu. Każdy z tych krajów należy do ONZ. Czyli brzydzą się żydem, który im leci nad głową, ale nie brzydzą się należeć z nim do tej samej organizacji. ©℗

eprasa.pl c7cac20f2f

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

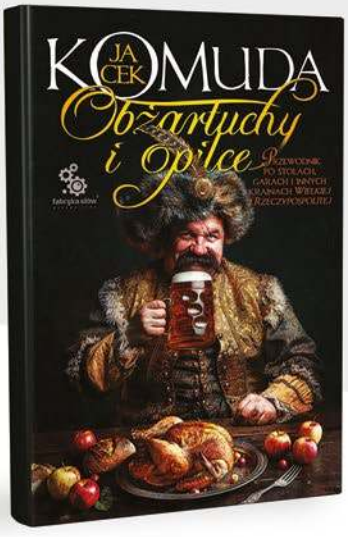

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~601 ZŁ~~

273,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 328 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c7cac20f2f

Kochać i chronić

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

4 listopada 2025 r., Kielce

Wojewódzki Dom Kultury im. Józefa Piłsudskiego

Na Gali nagrodzimy najlepsze inicjatywy, ludzi, organizacje i firmy z województwa świętokrzyskiego działające na rzecz ochrony dzieci i młodzieży, dzięki którym ich dzieciństwo jest harmonijne a świat bezpieczny. Widzimy w naszych dzieciach przyszłość dla wszystkich dzieł naszego życia.

W każdym narodzie istnieje cel nadrzędny, czyli szczęśliwe i bezpieczne dzieci wychowywane przez kochające rodziny, wśród prawdziwych przyjaciół, pedagogów, w przyjaznych placówkach oświatowych i otoczeniu. Wychowanie to musi być osadzone mocno w wartościach bliskich także redakcji tygodnika „Do Rzeczy".

PARTNER GŁÓWNY

URZĄD MARSZAŁKOWSKI WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO

PATRONAT HONOROWY

PATRONAT MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO RENATY JANIK

PARTNER

WDK WOJEWÓDZKI DOM KULTURY W KIELCACH

eprasa.pl c7cac20f2f